



# ŚNIEŻYNKI

Jedno życie i dwie pary, które uważają,  
że mają prawo zdecydować o jego losie.

LILIANA FABISIŃSKA

LILIANA FABISIŃSKA

# ŚNIEŻYNKI

FILIA

Pierwszy raz od niepamiętnych czasów była w domu całkiem sama. Wszędzie leżały dziecięce ubranka. Nie miała siły wstać i ich pozbierać.

A więc teraz tak już będzie przez cały czas? Naprawdę będzie musiała przyzwyczać się do tej ciszy?

Podniosła małego, pluszowego misia leżącego na podłodze. Przytuliła go do siebie. Z oczu, po raz pierwszy od dawna, popłynęły jej łzy.

## ROZDZIAŁ 1 POCZĄTEK

Mijały się przez kilka lat. Nie miały pojęcia, że ich ścieżki przecinają się niemal przez cały czas.

Ten pierwszy raz mógł być jednocześnie ostatnim. Dagmara zmieniała programy w radio. Spuściła wzrok z jezdni, tylko na ułamek sekundy, żeby złapać stację z informacjami. Kiedy go podniosła, zobaczyła przed sobą młodą, jasnowłosą kobietę w zielonym płaszczu, przechodzącą przez jezdnię. W obu dłoniach niosła wypchane reklamówki. Z jednej z nich wystawała bagietka. Śniła jej się jeszcze kilka miesięcy później. Nie zapamiętała twarzy kobiety, tylko tę bagietkę, która zbliżała się z każdą chwilą.

Wcisnęła pedał hamulca w podłogę, najmocniej jak mogła. Gwałtownie skręciła kierownicą w lewo. Zatrzymała się z piskiem opon, w poprzek jezdni. Futerał z instrumentem i torebka spadły z fotela pasażera na ziemię. Bagietka minęła o włos jej lusterko. A kobieta w zielonym płaszczu... Nie do wiary! Nawet się nie zatrzymała! Uniosła tylko pięść i uderzyła ze złością w maskę czarnego nissana. A potem poszła dalej, szybkim krokiem, ze swoimi zakupami.

Dagmara nie widziała chyba wcale jej twarzy. A Monika... Nie, Monika w ogóle nie zapamiętała tego samochodu. A nawet gdyby, to co by jej to dało? W końcu ile jeździ po Warszawie czarnych nissanów micra? Pewnie kilka tysięcy? Nie miała głowy do zapisywania numeru rejestracyjnego albo robienia awantur nieostrożnemu kierowcy. Nie

zauważyła nawet, czy za kierownicą siedzi kobieta, czy mężczyzna. Spieszyła się do domu. Tego dnia z wizytą miała zjawić się teściowa. Przyszła teściowa. I jej brat. Planowała obiad, z zupą porową, pierogami z kaszą gryczaną, a na deser szarlotkę na gorąco. Miało być jednocześnie tradycyjnie i nowocześnie. Czekало ją jeszcze mnóstwo pracy.

Po raz kolejny wpadły na siebie w mniej dramatycznych okolicznościach. Właściwie, były to bardzo miłe okoliczności dla każdej z nich. Monika wybierała srebrny medalik dla swojej bratanicy, w prezencie na Pierwszą Komunię. Była na tym skupiona tak bardzo, że niemal nie zauważyła pary oglądającej obrączki.

– Tyle forsy? – jęknęła Dagmara. – Naprawdę potrzebujemy złotych obrączek?

– To inwestycja na całe życie – przypomniał uprzejmy sprzedawca. Dagmara prychnęła lekceważąco:

– Na całe życie? Mała szansa. W Polsce rozpada się już ponad czterdzieści procent małżeństw.

Monikę nagle bardzo zainteresowało, jak wygląda kobieta, która mówi coś takiego. I kim jest mężczyzna, z którym te obrączki wybiera. Jak mogli szykować się do ślubu, nie wierząc, że będą razem aż do śmierci?

Podniosła wzrok znad medalików, nie zobaczyła jednak nic oprócz mankietu czerwonej marynarki, którą miała na sobie Dagmara tego dnia. Całą resztę zasłaniał sprzedawca, podsuwający tańsze modele obrączek.

Zapamiętała więc tylko to prychnięcie. Gdyby usłyszała je ponownie, na pewno skojarzyłaby je z tamtą kobietą ze sklepu jubilera. Ale kiedy wreszcie się spotkały, prawie siedem lat później, Dagmara prychała już w zupełnie inny sposób.

Nie, Daga nie była wcale pozbawiona romantyzmu. Ani uczuć wyższych. Kochała Igora do szaleństwa. Ona tylko, od pewnego czasu, nie do końca wierzyła w instytucję małżeństwa. Za dużo napatrzyła się w pracy na ludzi prowadzących drugie życie. Orkiestra symfoniczna podróżowała po całym świecie. I chyba tylko Dagmara (kontrafagot) i Joanna (drugie skrzypce) nie miały w czasie tych tournée żadnych

przygód, skoków w bok, czy stałych kochanków z tej samej orkiestry.

– Okropne z nas nudziary – mówiła czasami Joanna, kiedy siedziały po koncercie w ciasnym, hotelowym pokoju i dzwoniły do domu. Joanna zawsze starała się powiedzieć dzieciom „dobranoc”. Nawet z koncertów w Stanach wydzwaniała każdego dnia, nie zważając na różnicę czasu. A kiedy myślała, że Daga nie widzi, ukradkiem ocierała łzy. Strasznie za nimi tęskniła. Patrząc na te jej rozterki, Dagmara cieszyła się, że nie ma dzieci. Oczywiście, tęskniła za Igorem. Ale to była inna, dobra tęsknota. Nie niszczyła jej, a raczej dodawała skrzydeł.

– Wiesz, kiedy pomyślę o tym, jakie fajerwerki czekają mnie po powrocie, w łóżku – opowiadała Aśce, przed ostatnim koncertem w Hanoi – to tak chce mi się grać. Najlepiej Szostakowicza... Igor go uwielbia.

Po poprzedniej dwutygodniowej rozłące nie wychodzili z łóżka przez cały weekend. Igor zasypał podłogę w sypialni kwiatami i zrobił na kolację jej ukochanego łososa w teriyaki. Chwilę przed wyjściem na scenę bawiła się zgadywaniem, jakie niespodzianki szykuje dla niej tym razem. Ale w momencie, gdy zajęła miejsce na podeście i wzięła do ręki instrument, wszystko przestało się liczyć. Była tylko ona. Ona i muzyka.

– Świetna robota, pani Dagmaro. – Po koncercie wietnamski dyrygent osobiście uścisnął jej rękę.

Była zaskoczona, że zapamiętał jej imię. Pracował z ich orkiestrą tylko przez kilka dni. Wydawało się, że w ogóle nie odróżnia ich europejskich twarzy. A jednak... To było bardzo miłe.

Niestety, nie wszyscy usłyszeli komplementy. Joannę dyrygent ominął szerokim łukiem.

– Nie ma się co dziwić. Drugich skrzypiec zwykle się nie zauważa – tłumaczyła sobie i Dagmarze, gdy znalazły się z powrotem w hotelowym pokoju i otworzyły butelkę wina, ostatnią w tej podróży.

Daga zgodziła się z nią natychmiast. Nie chciała przecież robić jej przykrości. Udawała więc, że nie zauważyła, że pan Kho podszedł do wszystkich altówek i obojów, a z jednym z fletów uciął sobie nawet krótką pogawędkę.

Zeszły do hotelowego baru i wypili tam jeszcze jedno wino. Przy

stoliku obok jakaś drobniutka Azjatka tonęła w ramionach pierwszych skrzypiec z ich orkiestry. Ojciec trójki dzieci, które zawsze zasiadały na koncertach w pierwszym rzędzie, razem z mamą, posągową blondynką, słynął z zamiłowania do bardzo filigranowych, czarnowłosych młodych dziewczyn.

– On chyba nie dzwoni do domu, żeby powiedzieć „dobranoc” – szepnęła Dagmara do Joanny.

To miał być żart, ale chyba jej nie wyszedł.

– Asia, ty płaczesz? Co ja takiego powiedziałam? – Nie rozumiała.

– Nie, nic, nic. To nie twoja wina. – Przyjaciółka pociągnęła łyk wina i wytarła oczy wierzchem dłoni. – Po prostu, wiesz... Jestem kiepska. Czuję to. Nie mam czasu ćwiczyć. Spóźniam się na próby. A kiedy wyjeżdżamy, tęsknota za dziećmi prawie mnie paraliżuje. Gram coraz gorzej. Nie, nie zaprzeczaj. Nie pocieszaj mnie. Powinnam chyba zrobić sobie przerwę...

Tak naprawdę Joanna wcale nie zamierzała odchodzić z orkiestry. Kochała tę pracę. Jeszcze niedawno była jednym z największych talentów, laureatką konkursu imienia Wieniawskiego, stypendystką dwóch fundacji. Niedawno, wieki temu... W epoce przed dziećmi...

– Pani Joanno! Znow się pani spóźniła! – syknął kierownik orkiestry, kiedy torowała sobie drogę w labiryncie nóg, ramion i instrumentów, do ostatniego wolnego krzesła w sali prób. – Wróciliśmy z Hanoi już osiem dni temu. Chyba za późno na jet lag?

– Przepraszam bardzo, naprawdę. Mój synek ma świnkę i...

– Zna pani zasady. Nawet malaria z cholerą razem wzięte nie usprawiedliwiają spóźnienia. Zapomniała pani?

– Przepraszam bardzo – powtórzyła Joanna, przygryzając wargę. Dagmara wiedziała, że to sygnał alarmowy. Jeszcze słowo i jej przyjaciółka nie zdoła powstrzymać łez.

– Nie chodzi o mnie. – Szef orkiestry najwyraźniej jeszcze nie skończył. – Pani nie szanuje kolegów. Tak nie można. Proszę potraktować to ostrzeżenie bardzo poważnie. I nie opowiadać mi więcej o śwince, różyczce czy tyfusie! A teraz już, uwaga! Zaczynamy!

Dagmara pogratulowała sobie w duchu. Już dawno stwierdzili z Igorem, że dzieci tylko by im przeszkadzały. Byli całkowicie

szczęśliwi we dwoje, nie potrzebowali nikogo więcej. Jej pozycja kontrafagocistki numer jeden w tym kraju była niezagrożona.

Trzeci raz Dagmara i Monika wpadły na siebie tuż przed Bożym Narodzeniem, w zatłoczonym sklepie z ozdobami choinkowymi. Ocierały się o siebie plecami przez dłuższą chwilę. Daga raz potrafiła nawet Monikę ramieniem i mruknęła: „przepraszam”. Nie spotkały się wzrokiem, skupione bez reszty na wybieraniu bombek – i chronieniu ich przed łokciami innych kupujących, którzy próbowali wywalczyć dla siebie skrawek miejsca albo dopchać się do upatrzonej ozdoby.

Monika kupiła ostatni komplet malutkich, złotych bombek z delikatnym zdobieniem.

Prawie takie same, jak te u mojej babci – pomyślała ze wzruszeniem. Babci już nie było. Jej domu też nie. A bombki, tak jak większość rzeczy, wynieśli sąsiedzi, zanim rodzina zdołała dojechać z drugiego końca Polski.

Teraz, trzymając w dłoniach te maleńkie złote kulki z wypukłym wzorem, czuła się przez moment tak, jakby czas cofnął się do tamtych szczęśliwych dni z jej dzieciństwa.

Dagmara zauważyła te bombki kątem oka. Prychnęła – ale tym razem tylko w myślach, bezgłośnie. Co za oklepany wzór! Jeśli ktoś przychodzi do sklepu firmowego najslawniejszej i najstarszej wytwórni bombek w stolicy, powinien chyba rozejrzeć się za czymś niepowtarzalnym? A nie kupować takie babciowe złote kulki! Banał, straszny banał!

Prychnęła jeszcze raz. Teraz chyba nawet na głos. Nie była pewna, w sklepie panował taki harmider, że nie słyszała nawet samej siebie. Tym bardziej nie mogła więc usłyszeć jej Monika.

Dagmara przychodziła do tego sklepu co roku, dzień przed Wigilią. Uważała się za osobę wolną od przesądów i zabobonów... a jednak, to była jej szczęśliwa wróżba na kolejny rok. Jedyna, na jaką sobie pozwalała.

Kupowała zawsze dwie bombki. Jedną wybraną starannie z katalogu online, już wiele dni wcześniej. Drugą zaś losowała z kosza z bombkami za dziesięć złotych. Kiedy zaczęła tu przychodzić, jeszcze



ze swoją mamą i Marlenką, kosztowały pewnie trzy razy mniej.

Wszystkie bombki w tym koszu były nieduże, znacznie mniej pracochłonne, niezbyt wyszukane... Wieszala je potem gdzieś między gałązkami, wstydliwie ukryte za piękniejszymi i droższymi koleżankami.

Niektóre wcale jej się nie podobały. Jak ta sprzed roku, z wieżą Eiffla. Czarna, niestaranie pomalowana. A jednak ją kupiła. I siedem miesięcy później, nieoczekiwanie dla wszystkich, dostała propozycję występów z paryską filharmonią.

Zgodziła się od razu. Jej orkiestra grała w tym czasie tylko jeden duży koncert, a Fabian, kontrafagocista trzymany w rezerwie, tak dawno nie dostał żadnego zastępstwa za Dagę, że aż palił się do wyjścia na scenę. Jak mogłaby się nie zgodzić? Zarobiła na tym tournée tyle, co w Polsce przez pół roku, zjechała z Francuzami całą Hiszpanię. W Paryżu co prawda spędziła tylko trzy godziny, na lotnisku, gdzie zaraz po wyjściu z samolotu spotkała się z całą orkiestrą i razem z nią odleciała do Barcelony – ale i tak była przekonana, że ta bombka w kształcie wieży Eiffla stanowiła przepowiednię nagłego zastępstwa za francuską kontrafagocistkę.

Monika akurat płaciła za swoje banalne, beznadziejne, mieszczańskie złote bombki z wypukłym wzorem, kiedy Dagmara zacisnęła powieki i ostrożnie wsunęła dłoń do wiklinowego kosza. Tę cudowną, minimalistyczną, fioletową bombkę wycinaną w drobne trójkątne wzorki, którą wypatrzyła w Internecie, trzymała już w drugim ręku.

*No, losie, poproszę o coś bardzo interesującego i niebanalnego!* – pomyślała i wyciągnęła z kosza jakąś małą bombeczkę, której kształtu nie potrafiła rozpoznać palcami.

Otworzyła oczy.

Co? Śniegowa gwiazdeczka? Nawet ładna, jak na przypadkową zdobycz za dziesięć złotych, ale w charakterze wróżby na najbliższy rok raczej do niczego. Co miałyby zapowiadać? Srogą zimę z rekordowymi opadami śniegu?

Ostatnie, czwarte spotkanie, kilka tygodni później, też miało miejsce w sklepie. Tyle że z bielizną. Niewiele rzeczy sprawiało

Dagmarze taką przyjemność, jak kupowanie bielizny. Uwielbiała przymierzać, wybierać... Zwłaszcza jeśli przed przymierzalnią stał Igor, który patrzył pożądliwie, kiedy odchyłała kotarę i pokazywała mu się w kolejnych staniczkach oraz majteczkach. Właśnie tak jak teraz. To był prezent od niego, z okazji trzydziestych trzecich urodzin Dagmary.

Zabrał ją tego dnia do sklepu, który uwielbiała. Z wielkimi przymierzalniami i dyskretną obsługą. Obiecał, że zapłaci za wszystko, co żona uzna za godne uwagi. Znał ją, wiedział, że włoży do koszyka najbardziej luksusowe rzeczy, wyłącznie z nowych kolekcji, ale nie więcej niż dwie albo trzy. Nie lubiła kupować bielizny na zapas. Wołała rozkoszować się częściej przymierzaniem i wybieraniem... a potem zaskakiwać go w sypialni. A poza tym, wcale nie chciała, żeby wydawał na nią majątek.

To przecież były ich wspólne pieniądze. Nawet jeśli wciąż mieli osobne konta i składali się tylko na większe wydatki, takie jak lodówka czy wakacje w Maroku. I nawet jeśli naprawdę, od pewnego czasu, było ich stać na takie prezenty.

– Pięknie – szepnął z uznaniem, gdy kotara przebieralni zaszeleściła i w progu ukazała się Dagmara w szmaragdowym, koronkowym komplecie. Jej piersi wydawały się w tym staniku pełniejsze niż zwykle. Wyjątkowo skąpe stringi wydłużały jej szczupłe nogi. Miał ochotę dotknąć jej teraz, natychmiast. Zedrzyć z niej te delikatne koronki i kochać się z nią w tej przebieralni aż do utraty sił.

– Wiem, o czym myślisz. – Dagmara wygięła się seksownie, sprawdzając wzrokiem, czy nikt nie nadchodzi z prawej ani z lewej strony. – Kupujemy te szmatki? Tak? Skoro sobie życzysz... – Przyciągnęła go do siebie i pocałowała szybko w rozchylone usta.

– Nie mierz już niczego więcej – poprosił, z trudem powstrzymując się przed wejściem za nią do przymierzalni. – Chodźmy do domu, jak najszybciej...

Znowu się pocałowali. Tym razem trwało to odrobinę dłużej. Igor położył dłonie na pośladkach żony. Tylko na moment. Zadrżał, czując pod palcami jej ciepłą, jędrną skórę.

Kotara sąsiedniej kabiny leciutko zafalowała. Monika mierzyła tam beżowy stanik i dopasowane do niego majtki, wyszperane na przecenie.

Doskonały komplet pod sukienkę do pracy. Albo do lekarza. Miała wrażenie, że od pewnego czasu nieustannie odwiedza lekarzy. Musiała mieć odpowiednią bieliznę...

Zapinając stanik przed lustrem, usłyszała namiętne szepty i śmiechy jakiejś pary. Zastanawiała się przez chwilę, kim są ci ludzie, którzy tak swobodnie zachowują się w miejscu publicznym. Próbowwała nawet wyjrzeć dyskretnie zza kotary. Zaraz się jednak cofnęła, widząc dużą męską dłoń pieszczącą drobny śniady pośladek w ciemnozielonych stringach.

Stringi zawsze wydawały się Monice strasznie niewygodne. Ciekawe, co powiedziała by Mateusz, gdyby kupiła sobie takie majtki jak ta kobieta? Nie białe, nie cieliste, nie czarne nawet, tylko zielone, z koronki, z tym wąskim paseczkiem między pośladkami? Może kiedyś się odważy? Kiedyś, gdy skończy się ten koszmar... Gdy życie znowu stanie się proste...

## ROZDZIAŁ 2 FRĘDZEL

Stały naprzeciwko siebie. Monika na wycieraczce. Dagmara w środku. Nie miały pojęcia, że już się kiedyś spotkały. Nigdy nie dowiedziały się, że los stykał je już wcześniej. W dwumilionowym mieście wpada się przecież codziennie na tyle osób.

Wybiła właśnie druga w nocy. Monika przyjechała taksówką, z zapasowymi kluczami w torebce. Jeśli tylko uda jej się dowiedzieć, gdzie Mateusz zaparkował samochód... Ręce jej drżały, wargi też. Nie mogła zrozumieć, co się stało. Przeżywała piekło od ponad sześciu godzin.

– Przepraszam, że panią przestraszyłam. – Uśmiechnęła się Daga niepewnie i odgarnęła z czoła zlepione potem kosmyki. Szybkim ruchem przyglądziła jej i założyła za ucho. – Nie pamiętam, kiedy czułam się taka wściekła. I taka bezradna. Nie ma z nim żadnego kontaktu. Z żadnym z nich. Nie wiedziałam, co robić. Z jego kieszeni wyjęłam komórkę, weszłam w ostatnie połączenia, zobaczyłam siedemnaście nieodebranych od pani i pozwoliłam sobie...

– Dobrze, że dodzwoniła się pani do mnie, a nie do jego matki. – Monika wzdrygnęła się na samą myśl o ściągniętych ze złości brwiach na bladej twarzy teściowej. Zerknęła na telefon Mateusza. Wyciszony, oczywiście. Mogła wydzwaniać do niego choćby do jutra! Wyciszał go nieustannie w czasie pracy. Na lekcjach, spotkaniach z rodzicami, radach pedagogicznych... I w czasie tych wizyt w kuratorium i w wydziale oświaty, których tak nie cierpiał. Ale przecież dziś był już po pracy. Przecież już się widzieli... Obiecywał, że wróci w ciągu godziny. A więc? Dlaczego wyciszył telefon i nie przyjechał do domu, zgodnie z obietnicą? Czy to mogło mieć coś wspólnego z tym, co się wydarzyło... Tym, co wydarzyło się między nimi tego popołudnia?

– Proszę, niech pani wejdzie do środka. – Daga cofnęła się, żeby ją przepuścić. – Pomogę pani go zanieść do samochodu... Ale co pani zrobi z nim u siebie pod domem? Sama sobie pani przecież nie poradzi, a sąsiadów o tej porze budzić raczej głupio. Zupełnie o tym nie pomyślałam. Cóż, w takiej sytuacji chyba lepiej będzie zostawić go tutaj, u mnie, do rana.

Monika nie odpowiedziała. Wciąż zastanawiała się, gdzie mógł

zaparkować. Co robił po wizycie u lekarza? O ile w ogóle tam dotarł? Przejechała przed chwilą z taksówkarzem pod kliniką, nawet dwa razy. Okrążyli ogrodzony, zamknięty na głucho, pusty parking. Z całą pewnością nie było tam jego czerwonego fiata.

– Czy zna pani mojego męża? Igora Małeckiego? – zapytała Dagmara.

Monika bezradnie pokręciła głową. Nigdy nie słyszała o żadnym Igorze.

– Może mogłabym go zobaczyć? – zaproponowała. – Może nie kojarzę nazwiska tylko twarz? Mąż styka się w pracy z tyloma ludźmi...

Daga otworzyła drzwi do sypialni. Na podłodze, w czułym uścisku, leżało dwóch mężczyzn. Jeden miał na sobie garnitur, drugi – koszulkę polo i dżinsy.

Monika odwróciła wzrok. Nie mogła na to patrzeć.

– Mam nadzieję, że nie zaszła pomyłka? To jest pani mąż, tak?

– Tak, tak, oczywiście – przytaknęła Monika. – Nie wiem tylko, jakim cudem... Mąż od prawie ośmiu lat nie bierze alkoholu do ust.

– Najwyraźniej dzisiaj zrobił wyjątek – prychnęła Daga. Nie siląc się na delikatność odciągnęła głowę swojego męża do tyłu, tak by Monika mogła zobaczyć jego twarz. – Zna go pani?

Mężczyzna beknął potężnie, ale nie otworzył oczu.

Monika pochyliła się i patrzyła przez moment z uwagą.

– Nie. Przykro mi. To nie jest nikt znajomy...

– W takim razie wygląda na to, że pani mąż upił się dzisiaj w towarzystwie nieznanego. Tak jak i mój.

Igor przewrócił się nagle na plecy i zaryczał:

– Kelner! Jeszcze raz do pełna, dla mnie i dla mojego przyjaciela Frędzla!

Po czym machnął ręką i zaczął miarowo chrapać.

– Dla Frędzla? – Daga po prostu musiała się roześmiać. – Jak pani mąż ma na imię?

– Mateusz. – Westchnęła Monika. – Nikt nigdy nie mówił na niego Frędzel.

Dagmara oparła się o ścianę. Wyglądało na to, że będą musiały poczekać do rana. Nie wiedziała, jakim cudem mężczyźni doszli do

taksówki i podali kierowcy prawidłowy adres. Gdy dojechali na miejsce, obaj byli już nieprzytomni. Otrząsnęła się z niesmakiem na wspomnienie tego, jak, razem z taksówkarzem, wносиła ich do domu. Co za szczęście, że nie wyrzucił obu na chodnik i nie odjechał z piskiem opon. No ale w rezultacie chyba mu się to opłaciło. Dostał dwieście złotych napiwku.

Stowę odda mi Frędzel, jak oprzytomnieje – pomyślała.

Frędzel? Zaraz, zaraz... Coś jej to mówiło. Jakieś odległe wspomnienie... Wakacje, spotkanie towarzyskie, chyba tu, w ich ogrodzie. Tak, na pewno, to była rozmowa ze starymi znajomymi Igora przy grillu...

– Czy pani mąż nie chodził do podstawówki na Targówku? – zapytała nagle.

– Tak, oczywiście. – Monika pokiwała głową. – Jego matka mieszka do dzisiaj obok szkoły.

Frędzel, no jasne! Teraz Daga pamiętała już dokładnie tamte opowieści, które snuł Igor w sierpniową noc dwa czy trzy lata temu. Odwiedził ich wtedy Piotr, jego najlepszy przyjaciel z dzieciństwa. Frędzel! Szkolny oferma w sweterku z frędzelkami! Tak, oczywiście. Sweterek... Stąd wzięło się przezwisko. Igor z Piotrkim nabijali się z niego wtedy przy grillu bez cienia litości. Większość historyjek nie nadawała się do powtórzenia...

– Igor chodził chyba do klasy z pani mężem – wyjaśniła zdeprymowanej Monice. – Nie wiedziała pani, że mówili na niego Frędzel?

Mina kobiety wystarczyła za odpowiedź. Nie miała pojęcia ani o przezwisku, ani o tym, że Mateusz był kiedyś klasowym pośmiewiskiem. To tak do niego nie pasowało... Dlaczego nigdy jej o tym nie opowiedział?

– Z nikim się dziś nie umawiał – powiedziała Monika, której coraz bardziej chciało się płakać. – Miał wrócić do domu przed osiemnastą.

– Igor też. – Dagmara się uśmiechnęła. – Dzwonił do mnie kilka razy, ale nie mogłam odebrać. Byłam w pracy. Wygląda na to, że wpadli na siebie przypadkiem gdzieś w mieście i postanowili to oblać.

– Mój mąż nie pije! – Monika zapiszczała nagle histerycznie. – Nie pije alkoholu, kawy, czarnej herbaty... Nie wiem, jakiego podstępu użył

pani mąż w tej sprawie, ale z całą pewnością Mateusz nie sięgnął po alkohol dobrowolnie.

Dagmara wyjęła szpilkę, przytrzymującą kok na jej karku, i potrząsnęła głową. Miedziane loki rozsypały się we wszystkie strony.

Monika na moment straciła wątek. Zachwyciła ją ta burza włosów, do tej pory ukrywana w ciasnym koku. Ile by dała za takie włosy! Chciała powiedzieć jakiś komplement, nawet otworzyła usta, ale zaraz je zamknęła. Przypomniała sobie, dlaczego tu jest. Coś jej się bardzo w tej historii nie podobało.

– Mój mąż nie pije alkoholu ze względów zdrowotnych – wyjaśniła. – Wiem, że nie złamałby zasad bez powodu.

– Może miał poważny powód? – prychnęła Daga, zamykając starannie sypialnię, pełną zapachu wymiocin i trawionego alkoholu. Przysiadła na brzegu kanapy. Czuła się już bardzo zmęczona. – Chyba nie dowiemy się dzisiaj niczego więcej. Niepotrzebnie tu panią ścigałam w środku nocy. Proszę jechać do domu, zadzwonię po panią, jak się obudzą.

Monika otworzyła usta, żeby powiedzieć: *Mój dom jest prawie czterdzieści kilometrów stąd. Nie wiem, gdzie stoi nasz samochód. Wydałam na taksówkę fortunę. Nocna taryfa, jazda za miasto. Nie stać mnie na powrót do domu tą samą drogą. Czy mogłabym... Przepraszam, wiem, że to kłopot... Czy mogłabym posiedzieć u pani do rana?*

Coś w stanowczym spojrzeniu Dagmary nie pozwoliło jej jednak wydobyć z siebie głosu. Posłusznie otworzyła drzwi, mruknęła: „dobranoc” i wyszła na ciemną ulicę.

A Daga z ulgą padła na kanapę w dużym pokoju. Nie zamierzała spać w sypialni z dwoma chrapiącymi pijakami! I z tym smrodem, który roztaczał się z dywanu. Jutro wezwie firmę, która go upierze. Jutro...

Owinęła się kocem i zasnęła jak kamień.

Mateusz otworzył oczy kwadrans po dziewiątej. I zaraz je zamknął. Słońce raziło go niemiłosiernie, w głowie huczało. Stopniowo przypominał sobie wydarzenia wczorajszego dnia. Po pracy spotkał się z Moniką... Miało być miło. Był przekonany, że dobrze to zaplanował. Wszystko jednak poszło nie tak.

Zrobiło mu się niedobrze na myśl o tamtej chwili. Patrzyła na

niego z taką rozpaczą... Nie miał wyjścia. Wybiegł na korytarz, wpadł do samochodu, naciągnął na głowę kaptur starej wiatrówki. Wziął ją ze sobą specjalnie, żeby nie rozpoznał go nikt ze znajomych. Nie chciał nawet myśleć, jak zareagowałyby jego brat, mama, a zwłaszcza wuj, gdyby ktoś go tam spotkał.

– Znajomi twojego brata, a tym bardziej wuja, nie bywają w klinikach leczenia niepłodności – śmiała się Monika, widząc tę kurtkę. Ale on wolał dmuchać na zimne. Kaptur i szalik miały załatwić sprawę.

Wychodził z laboratorium w tym kapturze, głęboko upokorzony, ale jednocześnie zadowolony, że ma to już za sobą. Jeszcze tylko kilka kroków do drzwi i już będzie w samochodzie. Bezpieczny. Zrobił to, na czym tak zależało Monice. Miał to z głowy. Nie wróci tu nigdy więcej.

W ciasnym korytarzu niemal wpadł na jakiegoś dryblasza w garniturze. Dryblasz popatrzył na niego uważnie. Zupełnie, jakby go rozpoznał. Mateuszowi po karku przebiegł zimny dreszcz. Kim był? Czy go znał? Czy mógł powiedzieć matce, że go tu widział? A może to ojciec jednego z jego uczniów? Żeby tylko nie rozgadał w całej szkole...

– Frędzel? Frędzel, słowo daję, to naprawdę ty! – zawołał.

Mateusz chciał zapaść się pod ziemię. Frędzel! Nienawidził tego przezwiska. I wszystkich żartów, które mu robiono. Ci dwaj z ostatniej ławki pod oknem byli najgorsi. Igor i Piotrek. Nie przepuścili przez osiem lat żadnej okazji, żeby z niego drwić. To oni wymyślili na wycieczce do Białowieży tę okropną ksywkę. Frędzel.

Co za pech, że musiał spotkać jednego z nich akurat tutaj! Nie był nawet pewny, którego. Zlali się w jego pamięci już dawno w jedną wysoką, pałakowatą, kpiąco roześmianą postać.

Musiał jednak zachować spokój. Minęło dwadzieścia pięć lat. Dziś dawny Frędzel jest dyrektorem szkoły. Walczy jak lew z wszystkimi wyzwiskami i poniżaniem mniej popularnych dzieciaków. Nie da się więc poniżyć temu Igorowi... czy Piotrkowi... czy może jednak Igorowi? Nie da z siebie kpić na tym długim, zielonym, koszmarnym korytarzu. Już tylko kilka kroków dzieli go od samochodu...

Chciał wyminąć dryblasza w garniturku, ale ten zastąpił mu drogę.

– Stary, nie pamiętasz? Igor Małecki, z twojej klasy! Ale numer, że spotykamy się właśnie tutaj! – A więc jednak Igor, nie Piotrek.



– Cześć, Igor. – Uścisnął mocno jego dłoń. – Kopę lat...

– Ale numer! Ty tutaj! A myślałem, że zostałeś księdzem! Miałeś takie plany, prawda?

– A ty, zdaje się, miałeś w planie podbój kosmosu. – Mateusz uśmiechnął się szeroko, zadowolony z ciętej riposty, która wpadła mu do głowy dosłownie w ostatniej chwili. – Robiłeś sobie kostium kosmonauty z kartonów po butach. I co?

– I nic. Plany się zmieniły. – Jeden zero dla Mateusza. Zmazał z twarzy Igora ten szeroki uśmiech.

Ale tylko na chwilę.

– Stary, musimy iść na wódkę, pogadać o dawnych czasach! Nie puszcze cię ot tak, po tylu latach! Wychodzisz już czy wchodzisz? Mogę na ciebie poczekać, jeśli trzeba.

– Nie trzeba. – Mateusz z wysiłkiem też przywołał na twarz uśmiech. – Już wszystko załatwiłem.

– No to świetnie, świetnie! – Igor znowu poklepał go po plecach, otwierając drzwi prowadzące z kliniki na parking. – Ja też mam już sprawę z głowy. Kurczę, pierwszy raz tu jestem. A ty?

– Ja... – Mateusz nie wiedział, co powiedzieć. Nie chciał dzielić się z nim swoimi przeżyciami.

Na szczęście Igor wcale nie czekał na odpowiedź. Wziął tylko oddech i mówił dalej:

– Wyobraź sobie, moja żona wpadła nagle na pomysł, że czas na dziecko. Nagle, w zeszłym miesiącu, masz pojęcie?

– W zeszłym miesiącu? I już zaczęliście się leczyć? – Mateuszowi coś się nie zgadzało.

– No co ty, my jeszcze nawet nie zaczęliśmy tego dziecka robić! – Zaśmiał się tubalnie, przyciągając spojrzenie jakiejś kobiety w pomarańczowej wiatrówce, biegnącej drobnymi kroczkami przez parking.

Mateusz naciągnął kaptur mocniej na głowę.

– Jak to? – zapytał, zdezorientowany.

– Najpierw musimy zrobić przegląd, no... kontrolę... Rozumiesz?  
– Znów ten śmiech! – Słuchaj, stary, nie znasz mojej Dagi. Ona ma wszystko zaplanowane trzy lata naprzód. Gra w orkiestrze symfonicznej

na kontrafagocie. Wiesz co to znaczy?

– Kontrafagot? – powtórzył z uśmiechem Mateusz. – Wiem, oczywiście. Instrument dęty, chyba większy niż fagot, trochę podobny do fletu...

– Podobny do fletu? Ha, ha, ha, Daga nieźle by się ubawiła, gdyby to usłyszała. Ale nie o to mi chodziło, czy wiesz, co to jest kontrafagot... Przecież wiem, że nie jesteś idiotą...

– Naprawdę? – Mateusz uniósł brwi w udawanym zdumieniu. – Coś się w takim razie zmieniło przez dwadzieścia pięć lat...

Dwa zero dla Mateusza. Igor zaczerwienił się i na moment stracił wątek. Błyskawicznie się jednak pozbierał.

– Stary, nie wracajmy do tego. Byliśmy dziećmi, mieliśmy różne pomysły... Chyba nie zamierzasz obrażać się za to, co wyprawialiśmy w podstawówce?

Obrażać? Nie, Mateusz nie zamierzał się obrażać. Ale to nie znaczy, że o tym zapomniał.

– Co z tym fagotem? – Miłosiernie zmienił temat.

Igor przyjął to z wyraźną ulgą.

– Orkiestra ma zaplanowane koncerty kilka lat do przodu. Daga długo walczyła o pracę w najlepszej orkiestrze symfonicznej w kraju. Skrzypkom czy kontrabasistom jest łatwiej, w każdej orkiestrze jest ich wielu, zawsze ktoś się wykruszy, pójdzie na macierzyński, albo na rentę, na coś przewlekłe zachoruje... Ale kontrafagot jest jeden. Można liczyć na cud albo na emeryturę poprzedniego muzyka.

– I co? Cud się zdarzył? – Mateusz z niedowierzaniem patrzył na twarz Igora. Kiedy mówił o żonie, łagodniał, oczy zaczynały mu błyszczeć. Takim nie widział go nigdy przedtem.

– Zdarzył. Tak. – Pokiwał głową Igor. – Poprzednik Dagi dostał angaż we Włoszech. Na taką szansę czeka się całe życie. Spakował się w trzy dni i w piątek już go nie było. A w sobotę orkiestra grała wielki koncert, na widowni siedzieli prezydenci trzech państw.

– Nie mają nikogo w rezerwie? Na wypadek choroby?

– Mają, oczywiście... Ale ta rezerwa właśnie leżała w szpitalu.

Daga weszła z marszu. Podbiła serce dyrygenta. I kierownika orkiestry. Powiedział, że nigdy nie widział osoby tak zdeterminowanej i odpornej

na stres. Dostała tę pracę. I nie zamierza z niej odejść.

Mateusz trochę się pogubił w tej historii. Skoro nie zamierza odejść z orkiestry i nic nie jest dla niej równie ważne, to po co jej nagle dziecko? I dlaczego, zamiast zamknąć się z mężem w sypialni, ona od razu wysłała go do kliniki leczenia niepłodności?

Nie wiedział, jak o to zapytać... Czy w ogóle powinien pytać... W końcu to tak intymne sprawy... Stali na parkingu przed lecznicą, rozmawiali po raz pierwszy od dwudziestu pięciu albo dwudziestu sześciu lat... A tak naprawdę, po raz pierwszy w życiu. Bo przedtem były to tylko docinki, wyzwiska, krzyki... Żadnej normalnej rozmowy z Igorem nie potrafił sobie przypomnieć.

Przez moment zastanawiał się nawet, czy ta opowieść o żonie kontrafagocistce nie jest jakąś grą... Czy nie zamierza w ten sposób wpędzić Mateusza w kłopoty, wzbudzić jego zaufania, a potem bezlitośnie wyszydzić... Ale nie. Nawet Igor nie umiałby udawać tego ciepła w głosie, gdy mówił o Dagmarze.

– Orkiestra jedzie na tournée, takie wiesz, tylko dla pieniędzy – wyjaśniał, otwierając drzwi srebrnego sportowego mitsubishi z przeszklonym dachem. – Są dwa rodzaje tournée. Jedne są szalenie prestiżowe, w salach koncertowych, które zapraszają tylko najlepszych, pod batutą wybitnych dyrygentów. A drugie to takie wyjazdy za chlebem. Gra się w halach sportowych, kiepsko nagłośnionych, w azjatyckich teatrzykach, dla Polonii amerykańskiej albo kanadyjskiej, a nawet na statkach wycieczkowych. Zarabia się na tym świetnie, ale ci najwięksi nie jeżdżą, o ile nie mają kredytu we frankach albo innego noża na gardle. Wiesz, co mam na myśli?

Kredyt we frankach? Mateusz wiedział doskonale. Byłby gotowy uczyć Tunezyjczyków chińskiego w hali sportowej na Manhattanie, byle tylko pozbyć się tego balastu. Mógłby wiele opowiedzieć Igorowi... Ale on, rzecz jasna, nie oczekiwał odpowiedzi. Mówił dalej o wyjazdach orkiestry.

– A więc, rozumiesz, stary, tylko kasa. Bo satysfakcji z tego nie ma żadnej. I właśnie w przyszłym roku orkiestra Dagi rusza w taki objazd po Azji i Ameryce Północnej. Jedzie trzeci garnitur muzyków i paru desperatów spłacających hipotekę, albo byłą żonę. Daga uznała, że to

niepowtarzalna okazja, żeby zrobić sobie przerwę na dziecko. Tym bardziej, że córeczka jej koleżanki z orkiestry idzie w przyszłym roku do przedszkola i będzie do wzięcia świetna niania. A wiesz, jak trudno o dobrą nianię? Daga już ją wstępnie zarezerwowała... Tylko, sam rozumiesz, musimy się wstrzelić z porodem idealnie w termin tournée.

– Wstrzelić się? – Mateusz roześmiał się cicho. Naprawdę go to rozbawiło. Przypomniawszy sobie własne rozmowy z Moniką, sprzed wielu lat. Zajdzie w ciążę w podróży poślubnej, to będzie takie romantyczne. Urodzi dziecko na pierwszą rocznicę ślubu. Na urodziny jego mamy. Na Boże Narodzenie. – Tak, ja też miałem takie złudzenia. Dawno, dawno temu. Ale wiesz, złote strzały udają się chyba tylko nastolatkom pod namiotem. Kiedy się chce mieć dziecko, wszystko idzie na opak...

– Lepiej, żeby moja Daga tego nie słyszała – Westchnął Igor. – Ona od razu zabrała się do działania. Zaplanowała, że zaczniemy starania dokładnie za trzy miesiące. Poleciała na badania, zaczęła łykać kwas foliowy. No i mnie też przysłała do kliniki. Na wszelki wypadek.

– Na wszelki wypadek? – Dla Mateusza przechodzenie przez piekło tych badań „na wszelki wypadek” brzmiało naprawdę egzotycznie.

Ale Igor nie widział w tym nic dziwnego.

– No wiesz, ona musi się do połowy przyszłego miesiąca zadeklarować, czy jedzie na to tournée. Jeśli okaże się, że jestem bezpłodny, albo że u niej są jakieś trudności i że może nam to zająć więcej czasu, sprawa będzie prosta.

– Prosta? – Mateusz stał jak wryty na środku parkingu. – Co masz na myśli?

– No jak to co? Zawiesimy projekt pod kryptonimem „Dziecko” i Daga pojedzie w trasę. Kasa zawsze się przyda... Za poprzednie tournée, sprzed kilku lat, postawiliśmy stan surowy naszego domu. Ja wtedy zmieniałem pracę, chwilowo niewiele zarabiałem, więc wyjazd Dagi naprawdę nas uratował.

Mateusz oparł się o srebrne sportowe cacko, nie zauważając grymasu na twarzy Igora. Miał wrażenie, że rozmawia z kosmitą. Wstrzelić się, wdrożyć plan, zawiesić projekt „Dziecko”, wymienić go na stan surowy... Słyszał o takich ludziach, ale nigdy nie rozmawiał

z nimi osobiście! I nie był pewny, czy ma na taką rozmowę ochotę.

– No to co, stary? Skoczymy gdzieś na piwko? Musimy pogadać o dawnych kumplach, nie wypuszczę cię ot tak. – Igor przechylił się do wnętrza auta, położył rękę na desce rozdzielczej, nacisnął jakiś guzik i szklany dach samochodu bezszelestnie osunął się w tył i schował gdzieś między fotelami a bagażnikiem.

Mateusz poczuł nagle gwałtowną pokusę, żeby przejechać się kabrioletem, po raz pierwszy w życiu. Wiatr we włosach... Wszyscy, którzy jechali takim autem, mówili przede wszystkim o tym.

Nie zostało mi tych włosów tak wiele – pomyślał, odruchowo dotykając czoła, które robiło się z każdym rokiem coraz wyższe. – Może to ostatnia szansa, żeby poczuć ten wiatr?

To wcale nie była pogoda na kabrio. Zimno, wietrznie, ponuro... W każdej chwili mogło znowu zacząć padać. Ale kto by się tym przejmował?

– No, stary, wskakuj! Znam taką knajpkę nad Wisłą, gdzie będziemy mogli spokojnie pogadać. – Igor siedział już za kierownicą. Silnik pracował cicho i rytmicznie.

Mateusz nie mógł mu się oprzeć.

Dopiero w połowie drogi przypomniał sobie o czerwonym fiacie, zaparkowanym przy ogrodzeniu, na parkingu kliniki.

– Cholera, mogliśmy jechać moim samochodem – syknął. – Ja przecież i tak nie będę pił alkoholu... Nie mogę, ze względu na żołnierzyki.

Wcale nie chciał powiedzieć tego ostatniego zdania. Przez wydarzenia dzisiejszego popołudnia zupełnie stracił nad sobą kontrolę. Nie chciał... ale było już za późno.

– Jakie żołnierzyki? – Igor ze zdziwienia zahamował trochę mocniej, niż zamierzał. Mateusza wcisnęło w fotel.

Przełknął ślinę.

– Naprawdę jesteś początkujący w tych sprawach. – Uśmiechnął się. – Żołnierzyki to plemniki. Tak się na nie mówi.

– Kto tak mówi? – Igor roześmiał się w głos. – Żołnierzyki? Dobrze, naprawdę!

– Ludzie na forach parentingowych.

– Na czym?

– Na forach parentingowych. Czyli rodzicielskich. Na stronach na temat płodności. No, wszyscy, którzy mają takie problemy, jak my... Wiesz, Monika siedzi przy komputerze od rana do nocy i szuka dla nas jakiegoś rozwiązania.

– Jest tak źle? – Igorowi zrobiło się żal poczciwego Frędzla. W czasach szkolnych był fajtłapą i najwyraźniej do dzisiaj nim został. Ale skoro tak bardzo chciał mieć dziecko...

– Nie, nie aż tak. Mamy chyba spore szanse. – Mateusz nie chciał wdawać się w szczegóły. – Monika przeszła kurację hormonalną, dwie laparoskopie. U niej wszystko jest już chyba pod kontrolą. Oczywiście, lekarz podejrzewa, że może być problem z moimi żołnierzkami. Trzeba będzie je, być może, trochę podleczyć... To znaczy polepszyć parametry nasienia... Jeśli wolisz język medyczny...

– Nie wiem, co wolę. – Wzruszył ramionami Igor. – Po prostu trochę zaskoczył mnie pomysł Dagmary i wszystko, co się z nim wiąże. Umawialiśmy się, że nie będziemy mieli dzieci, a tu nagle taka zmiana.

Mateusz nic na to nie odpowiedział. Powtarzał tylko w myślach: *Umawialiśmy się, że nie będziemy mieli dzieci... Nie będziemy mieli dzieci, tak postanowiliśmy... Nie chcieliśmy nigdy mieć dzieci...*

To brzmiało jak język obcy, w każdym wariantcie. Jak wiadomość z innego świata. Zupełnie, jakby Igor jednak spełnił dziecięce marzenie i poleciał w kosmos... A po powrocie zaczął używać jakiegoś księżycowego czy marsjańskiego języka.

Mateusz nigdy nie brał pod uwagę takiej możliwości. Już w przedszkolu wiedział, że szczęśliwa rodzina to ta, w której jest dużo synów i córek. A ślub bierze się nie po to, żeby panna młoda założyła piękną suknię, ale po to, żeby mieć dzieci. Jak najwięcej dzieci. Nigdy nie myślał, że można mieć inny plan.

– To dlatego nie możesz pić alkoholu? – Głos Igora wyrwał go z zamyślenia. – Plemniki nie lubią procentów? Mam nadzieję, że Daga nie wpadnie na to, żeby zabronić mi drinka wieczorem albo lampki wina do obiadu. Lubi to, tak samo, jak ja...

Igor uśmiechnął się przez sen do wspomnień z poprzedniego dnia.

Nie było trudno przekonać Frędzla, że jedno małe piwo wcale nie zaszkodzi tym jego... Jak on to nazywał?... Generałam? Drugie piwo też wypił bez oporów. Zwłaszcza kiedy dowiedział się, że może wybierać spośród kilkunastu gatunków ciemnego, które uwielbiał od zawsze.

– Nie masz pojęcia, jakie to uczucie. – Uśmiechał się znad kufła pełnego niemieckiego klasztorного portera. – Pierwsze piwo od ośmiu lat...

– Staracie się o dziecko od ośmiu lat? – Igor popatrzył z niedowierzaniem.

– Od ponad dziesięciu – sprostował Frędzel. – Ale wiesz... Nie od razu się zorientowaliśmy, że coś jest nie tak. Myśleliśmy, że po prostu uda się za miesiąc... Za kolejny miesiąc... Że musimy być cierpliwi. I tak minęły pierwsze dwa lata.

– Musieliście wydać fortunę na in vitro! – Igor zaczął dodawać w myślach kolejne pięciocyfrowe liczby. – Słyszałem, że to kosztuje kilkanaście tysięcy.

– Nie bierzemy in vitro pod uwagę. – Frędzel spuścił wzrok, złapał leżącą na stole słomkę i zaczął nią grzebać w pustej butelce po piwie. Zupełnie, jakby zgubił coś na jej dnie.

– Jasne, stary, rozumiem. To są jednak ogromne pieniądze. – Igor pokiwał głową ze współczuciem.

– Nie chodzi o pieniądze tylko o... no, o światopogląd. – Frędzel wziął głęboki oddech i spojrzał mu prosto w oczy. – Nie bierzemy pod uwagę takich metod. Są niegodziwe i niezgodne z nauką Kościoła.

Igor miał ochotę się roześmiać. Nie dlatego, że miał coś przeciwko Kościołowi. Nie miał, naprawdę. Uważał, że każdy ma prawo do swoich poglądów. Nawet najdziwniejszych. Mieszkał w czasie studiów z chłopakiem z Afryki, który jeździł w wakacje do czarownika. Luz, skoro mu to pomaga, to niech jeździ. Wierni wyznawcy Latającego Potwora Spaghetti też mieli jego zdaniem prawo do swojej zwariowanej religii. Dlaczego więc miałby się śmiać z przykładowego katolika, takiego jak połowa jego pracowników i ukochanych ciotek z Wałbrzycha? A jednak, nie mógł się powstrzymać. Ten język! Co to miało być? *Niegodziwe i niezgodne z nauką Kościoła?* To brzmiało jak

z przemówienia jakiegoś polityka. Jakby nie mógł tego powiedzieć jakoś po ludzku.

No tak, teraz pamiętał już całkiem wyraźnie. Frędzel miał być księdzem. Miał wuja księdza, chyba nawet proboszcza w jakiejś dużej parafii. I jeden z braci, Frędzel albo Marek, musiał iść do seminarium. Z każdego pokolenia ktoś odkrywał w sobie powołanie. Frędzel już w trzeciej klasie twierdził, że je odkrył. Coś musiało się zmienić...

Igor uznał jednak, że jeszcze nie czas o to pytać. To było chyba bardziej intymne i delikatne niż rozmowa o bezpłodności.

Może za dwa albo trzy piwa przyjdzie odpowiedni moment?

Nie mógł sobie przypomnieć, czy w końcu zapytał w tej knajpie o to, dlaczego Frędzel nie został księdzem. Zamówili jeszcze jedno piwo. I jeszcze jedno. A potem Frędzel powiedział, już trochę bełkotliwie:

– Kiedyś, kiedy jeszcze piłem... Kurde, jak ja lubiłem whisky! Myślisz, że mają tu jakąś dobrą whisky?

Mieli. Dużo gatunków. Za dużo, żeby spróbować wszystkich. Ale siedem single maltów? Czemu nie? Postanowili sprawdzić, czy im się uda.

– Monika nie może się o tym dowiedzieć – powiedział Frędzel, zanim wychylił pierwszą szklaneczkę.

– Nie dowie się, przysięgam – zawołał Igor, trochę za głośno. I to było chyba ostatnie, co pamiętał.

Mieszanie whisky z piwem było cholernie złym pomysłem.

Otworzył oczy i z ulgą stwierdził, że jest we własnej sypialni. Tylko dlaczego nie w łóżku, ale na podłodze? W garniturze? Coś mu się tu nie zgadzało. A przede wszystkim, dlaczego tulił w ramionach Frędzla, śmierdzącego jak gorzelnia?



## ROZDZIAŁ 3 GUMOWA RĘKAWICA

Gdyby ktoś powiedział Dagmarze jeszcze miesiąc wcześniej, że zaprzyjaźni się z Moniką, roześmiałyby mu się prosto w nos. Z taką sztywniarą, której szczytem ambicji jest urodzenie gromadki dzieci i zachwywanie codziennie męża obiadem z trzech dań? Z kobietą, która nigdy w życiu nie była w filharmonii ani w operze? Która podśpiewuje w samochodzie „Ona tańczy dla mnie”? O nie!

Kiedy jechała z nią odebrać fiata, odholowanego w nocy z parkingu pod kliniką, nie miała jeszcze pojęcia ani o tym, że Monika śni po nocach o gromadce dzieci i gotuje bajeczne obiady, ani o jej zamiłowaniu do piosenek, grywanych na weselach i szkolnych dyskotekach. A mimo wszystko, marzyła tylko o tym, żeby żadne czerwone światło nie przedłużyło tej drogi choćby o minutę. Nie mogła wytrzymać jej nieustannego jęczenia:

- Jakim cudem on nie zauważył tej tablicy?
- Jak mógł nie przeczytać, że parking zamykają o dwudziestej drugiej?
- Co za nieodpowiedzialność!
- Ile nas to będzie kosztowało?
- Zawsze jest taki uważny, nie wiem, co mu się stało...
- Przecież tam napisali wyraźnie, że wszystkie samochody po tej godzinie będą odholowane na koszt właściciela!

I tak w kółko! I jeszcze raz! I od nowa!

Dagmara zaczynała żałować, że zaproponowała jej podwózkę na ten parking. Ale co innego miałyby zrobić? Nie mogła przecież wysłać Igora. Wiedziała, że minie jeszcze ze dwanaście godzin, zanim znów będzie mógł prowadzić. Na razie wciąż leżał w sypialni, razem z mężem Moniki. Przenieśli się z zarzyganego dywanu na łóżko i zasunęli zasłony. Światło powodowało, że ich głowy pękały na milion kawałków. Z zimnymi okładami na czołach jęczeli na zmianę i wypijali kolejne butelki wody gazowanej.

Wolała już jechać z Moniką, niż zmieniać im okłady, podawać wodę i patrzeć na tę plamę na cudownym, włoskim dywanie.

Nie przypuszczała tylko, że Monika będzie tak marudzić przez całą drogę!

– Naprawdę są w życiu gorsze nieszczęścia niż odholowany samochód – powiedziała po dziesięciu minutach. – Ciesz się, że nie prowadził po pijanemu. Wtedy miałybyś prawdziwe powody do płaczu.

Nie zauważyła nawet, kiedy przeszły na ty. Ale jak miała mówić do kobiety, której mąż spał w tym momencie w jej własnym łóżku, z jej własnym mężem? Pani Moniko? A do niego jak? Panie... Kurczę, zapomniała, jakie imię podała jej Monika! Mikołaj? Przecież nie będzie go tytułować „Panie Frędzel”?

– Czym się zajmujesz? – zapytała, żeby przerwać jakoś te jej jęki.

– Pracuję w urzędzie gminy – opowiedziała sucho Monika.

Nie zamierzała najwyraźniej dodać nic więcej. Wyjaśnić, w jakim dziale, wydziale, departamencie, czy co tam jeszcze jest w takich urzędach. Dla Dagmary była to czarna magia. Urzędy omijała szerokim łukiem. Większość spraw załatwiał Igor. Nie miał sobie równych w czarowaniu urzędniczek.

Pewnie Monika była właśnie jedną z takich pań w zakiecikach, siedzących za biurkiem i podbijających stempelki. No dobra, tak, nie było w tym nic ekscytującego. Nic dziwnego, że nie opowiadała o tym z wypiekami na twarzy.

*Podciąłabym sobie żyły, gdybym miała codziennie siedzieć osiem godzin w urzędzie i wyjaśniać klientom, w której rubryczce mają się podpisać* – pomyślała Dagmara.

Ale jednak dziwiło ją milczenie Moniki. Powinna chyba mieć o tej swojej pracy coś do powiedzenia?

*Po co ona mnie o to pyta? – myślała w tym samym czasie Monika. – Przecież widzę, że nic jej nie obchodzi ani ja, ani moja praca. Zadziera nos i marzy tylko, żebyśmy obydwój zniknęli wreszcie z ich życia.*

Przez pierwsze lata bardzo lubiła swoją pracę. Rejestrowanie wszystkich tych zakochanych par, które przychodzą zarezerwować termin ślubu, bardzo jej się podobało. Zdarzały się wzruszenia, zdarzały i śmieszne sytuacje, kiedy narzeczeni zaczynali kłócić się o to, jakie nazwisko będą nosić po ślubie, o to, kto będzie świadkiem, albo o godzinę uroczystości.

Wydawanie aktów zgonu było mniej przyjemną częścią pracy. A jednak właśnie za nią zbierała najczęściej pochwał. Delikatna, empatyczna, współczująca... Tak opisywali ją petenci, przychodzący zgłosić śmierć kogoś bliskiego. Właśnie ich opiniom zawdzięczała dwie podwyżki i jedną premię, której wcale się nie spodziewała. Cztery lata temu.

Wtedy jeszcze miała więcej nadziei. Jeszcze potrafiła współczuć... Ale też cieszyć się szczęściem młodych rodziców, przychodzących po akt urodzenia. Wzruszała się razem z nimi, doradzała zagubionym tatusiom w sprawie imienia dla dziecka, uśmiechała się pobłaźliwie na widok ich niewyspania. Wtedy jeszcze była pewna, że lada dzień... jeśli nie teraz to za miesiąc czy dwa, zobaczy te swoje upragnione dwie kreski na teście ciążowym. I to dla niej jakaś miła, empatyczna urzędniczka będzie wypisywać akt urodzenia synka albo córeczki. Będzie uśmiechać się z za swojego biurka, patrząc, jak Monika walczy ze zmęczeniem i sennością, siedząc obok Mateusza i wypełniając druczki.

Wtedy jeszcze wierzyła.

Teraz już chyba nie.

Teraz nie umiała zdobyć się na ciepły uśmiech i komentarz: „Ach, jakie piękne imiona państwo wybrali!”. Chowała twarz w dokumenty, żeby nie patrzeć na szczęście tych wszystkich rodziców, rejestrujących swoje dzieci przy jej biurku. Miała już tylko cień nadziei.

Nadziei na cud... czyli na decyzję Mateusza.  
Wszystko zależało teraz od niego.

Gdyby ktoś powiedział Monice, że w ciągu miesiąca Dagmara z ekscentrycznej nieznajomej zamieni się w jej najbliższą przyjaciółkę, powiedziała by krótko: „Niemożliwe”.

Nie polubiła jej wtedy, w czasie pierwszego spotkania. Nie mogła jej darować, że spędziła pół nocy, błakając się po mieście i siedząc na lodowatej ławce. Dobrze, że znalazła całodobowe Tesco, w którym mogła się ogrzać i, nie zwracając niczyjej uwagi, pospacerować trochę między regałami. Było tam dużo bezpieczniej niż na ulicy.

Oczywiście Daga nie wiedziała, że wysłała Monikę na ulicę o drugiej w nocy. Nie miała pojęcia, że przyjechała taksówką i że nie stać jej było na to, by wrócić do domu taką samą drogą, po zidentyfikowaniu śpiącego na podłodze męża. Nie przyszło jej do głowy, że narobiła kłopotu.

*To nie jej wina, mogłam przecież powiedzieć jasno, w jakiej jestem sytuacji – myślała ta jaśniejsza część Moniki. Część, która każdego stara się zrozumieć, rozgrzeszyć, zaakceptować.*

*Jest zwyczajną samolubną larwą, która myśli tylko o sobie – podpowiadała druga część. Ta, której istnienia Monika wstydziła się nawet przed sobą samą.*

Jasna część chwilowo zyskała przewagę. Monika postanowiła dać Dagmarze drugą szansę. Potrzebowała jej, żeby odnaleźć i odzyskać czerwonego fiata, którego Mateusz tak lekkomyślnie porzucił pod kliniką.

*Szkoda, że nie porzrzucał swoich wizytówek po całej okolicy – pomyślała, nagle zirytowana niefrasobliwością męża. – Wszyscy uczniowie i ich rodzice znają ten samochód. Niewiele takich jeździ dziś po Warszawie, to nietypowy model, a czerwony bardzo rzuca się w oczy. Kto wie, kto zobaczył go pod tą kliniką? I jeszcze to holowanie!*

Nie spodziewała się, że tak od razu go odholują. Gdyby chciała być uczciwa... Tak całkiem uczciwa... Cóż, musiałaby przyznać, że ona też nigdy nie zauważyła tej tablicy informującej, że pozostawione auta zostaną usunięte na koszt właściciela. Nigdy!

*Ale ja jeżdżę do kliniki zwykle autobusem* – odpowiedziała zaraz ta jej gorsza strona, nieskłonna do kompromisu.

Mieli jeden, wspólny samochód. Nie potrzebowali dwóch. A zresztą, nawet gdyby bardzo potrzebowali drugiego auta, i tak nie byłoby ich na nie stać. Nie w obecnej sytuacji.

Mieli więc jedno auto, do spółki. Najczęściej korzystał z niego Mateusz. Bo przecież dyrektorowi nie wypada chodzić do szkoły pieszo albo podjeżdżać pięć przystanków autobusem.

Oczywiście, jeśli potrzebowała samochodu, mogła zawsze powiedzieć.

O wizytach w klinice wołała jednak mu nie opowiadać. Wiedziała przecież doskonale, co o tym myślał.

Dlatego zawsze siedziała sama na końcu długiego korytarza, próbując nikomu nie rzucić się w oczy. Łzy piekły pod powiekami. Nie znosiła tam przychodzić. Robiło jej się słabo na widok zielonych ścian, na których wisiały podobizny tłusciutkich bobasów. Zazdrościła tym wszystkim parom, które przechodziły przez to razem. Trzymały się za ręce, przytulały... Mężczyźni głaskali swoje żony po włosach. Ocierali im łzy i całowali ze szczęścia. Niepewność, nadzieja, rozczarowanie, radość. Na tym korytarzu mieszało się wszystko.

Tylko ona jedna zawsze była sama.

– Jeśli musisz to idź, ale mnie w to nie mieszaj – powiedział Mateusz, gdy usłyszał, że doktor Bańkowska rozłożyła tylko ręce i oświadczyła, że nie może zrobić nic więcej. – Skoro już siódmy czy ósmy lekarz wysyła cię do kliniki... do takiej kliniki...

Słowa „klinika leczenia niepłodności” nie chciały mu przejść przez gardło.

– Zachowujesz się, jakbym chciała iść do burdelu! – Nie wytrzymała. – Albo na plantację marihuany. Albo...

– Skończ z tymi barwnymi porównaniami. – Mateusz najchętniej w ogóle by o tym nie rozmawiał. – Wiesz, co myślę na ten temat. W tych klinikach znajdują tylko jedną drogę do rodzicielstwa. In vitro. Tak, in vitro! Pobranie ode mnie plemnika, od ciebie jajeczka, i połączenie ich bez naszego udziału, gdzieś w laboratorium, pod mikroskopem, na kawałku szkła. O nie! Ja naprawdę nigdy się na to nie zgodzę. Szkoda

twojego czasu, szkoda pieniędzy. I tak ich nie mamy! A ja naprawdę nie zmienię zdania. Pamiętasz rozmowę z wujem przy wielkanocnym śniadaniu?

Pamiętała. Oczywiście. Jak mogłaby zapomnieć? Biskup Kazimierz był w świetnej formie. Pojawiły się plotki, że jego nominacja kardynalska jest już na ostatniej prostej. Że może zostać zaproszony do Watykanu jeszcze w tym roku. Promieniał z radości. I przez cały poranek szlifował kazanie, które miał wygłosić nazajutrz. Miało być transmitowane w radiu, o dziewiątej rano.

Monika mocno trzymała się krawędzi stołu, słysząc o kulturze śmierci. Kostki palców aż jej zbieleły. Chciała siedzieć cicho. Naprawdę bardzo chciała. Przekonała się już wiele razy, że wdawanie się w dyskusję z matką, wujem lub bratem Mateusza jest pozbawione sensu. Nie są ciekawi cudzego punktu widzenia. Nie są gotowi na jakąkolwiek rozmowę. Nie zamierzają przyznać: „Szanuję cię, mimo że myślisz inaczej”. Znała tylu wspaniałych księży. Ludzi, z którymi można było rozmawiać do białego rana. Odchodzić od stołu, wciąż nie mając wspólnego zdania, a mimo to podając sobie ręce. W rodzinnym domu Mateusza odgryzało się ręce tych, którzy myśleli inaczej.

*Nie odzywaj się* – powtarzała więc sobie w czasie rodzinnych spotkań. Liczyła do dziesięciu w różnych językach, nawet tych całkiem wymyślonych. Byle tylko nie powiedzieć ani słowa.

Ale tym razem nie wytrzymała.

– W dniu triumfu Pana, w dniu zmartwychwstania, uświadomcie sobie wreszcie, że „tak” dla in vitro to „tak” dla śmierci – perorował wuj Kazimierz do wyimaginowanego tłumu wiernych po drugiej stronie pokoju.

Wtedy jeszcze udało jej się powstrzymać. Zassała tylko gwałtownie powietrze, jakby czymś się zakrztusiła. Nikt nie zwrócił na to uwagi. Mateusz, Marek i ich matka wpatrywali się w biskupa jak natchnieni. Kto by pomyślał, że Monika też do niedawna uważała go za największy autorytet?

– In vitro to synonim wysublimowanej, wyrafinowanej, przeprowadzonej z pełną premedytacją aborcji! – ryknął wuj.

– Co to za brednie?! – ryknęła Monika.

Cztery pary oczu odwróciły się w jej stronę. W dwóch widać było zdziwienie, w jednej rozbawienie. Czwartą parą płonął furia. Oczy teściowej, oczywiście.

– Chciałaś coś powiedzieć, Moniczko? – zapytała. Jad wymieszany z cukrem sączył się z każdej sylaby. Jej usta rozciągały się w krzywym uśmiechu.

– Nie, nic. Prawda, kochanie? – Mateusz kopnął ją pod stołem.

Powinna pokiwać głową, że nie, nic, oczywiście, że nie. I przeprosić. Ale nie zamierzała tego robić. Policzyła do dziesięciu. Nie pomogło.

– Wujku. – Monika wzięła głęboki oddech. – Nikt nie decyduje się na in vitro, żeby zabić dziecko. Robią to ludzie, którzy pragną je mieć. Których zawiodły inne metody. Można ich nie popierać, ale nie można porównywać tego, co robią do aborcji. To dla nich bardzo bolesne.

– Widzisz tu gdzieś takich ludzi? – Marek roześmiał się, trochę za głośno. – Ja też nie. A więc wuj chyba nikogo nie dotknął, prawda? A poza tym...

– A poza tym niektórych trzeba dotknąć, żeby zrozumieli swój błąd – dokończył biskup. – A więc, moja droga, nie musisz się o nich martwić. Dopóki grzeszą, nie zasługują na współczucie. A gdy przyjdą wyznać grzechy i szczerze przysięgną poprawę, Kościół na pewno się nad nimi pochyli.

Monika otworzyła usta, żeby powiedzieć, że dla niektórych pragnienie zostania rodzicem jest silniejsze niż strach przed ogniem piekielnym... Nie odezwała się jednak. Poczowała bezsens tej całej dyskusji. Wiedziała, że nie może tu liczyć na zrozumienie. Nawet Mateusz, przyparty do muru, nie stanie po jej stronie. Nie w obecności swojej matki.

– To co, Monisiu? – Teściowa spojrzała na nią wymownie. – Jeśli już skończyłaś wygłaszać swoje genderowe manifesty, może pomożesz mi uprzątnąć ze stołu i podać słodkie?

– Słodkie? Tak, oczywiście. – Monika z wysiłkiem podniosła się z krzesła.

Nie rozmawiali o tym aż do chwili, gdy Mateusz zapytał w tamten

poniedziałkowy wieczór:

– Pamiętasz rozmowę z wujem przy wielkanocnym śniadaniu?

Oczywiście, że pamiętała. Do dziś kipiała ze złości na to wspomnienie.

– Nie wszyscy księża myślą tak, jak twój wuj – powiedziała ostrożnie.

To był błąd. Mateusz po prostu wyszedł z pokoju.

Rozmowy o religii od dawna im się nie udawały. Monika znowu poczuła się tak, jakby jej wiara była gorszej jakości. Bo zadawała pytania, bo nie potrafiła uwierzyć, że Bóg uważa *in vitro* za wyrafinowane morderstwo z premedytacją.

Zresztą, wcale nie marzyła o *in vitro*. Nie mieściło się w jej systemie wartości, tak samo jak w systemie Mateusza. A poza tym, zwyczajnie, stanowczo i nieodwracalnie, nie mieściło się w jej budźecie.

Chciała tylko spotkać lekarza, który postawi diagnozę i powie, co robić dalej. A takiego lekarza nie udało jej się znaleźć nigdzie. Naprawdę nigdzie.

Była w lecznicy polecanej na jednym z forów dla wierzących mam i przyszłych matek. Wiedziała, że nikt nie będzie jej tam namawiał na *in vitro*. Słyszała tyle dobrego o tej klinice, specjalistach i nowoczesnych, zgodnych z zasadami wiary, metodach wspomagania poczęć.

Być może inni lekarze, dla innych pacjentek, mieli naprawdę jakieś nowoczesne metody. Siwa pani doktor, do której trafiła Monika, zaproponowała jednak wyłącznie obserwację śluzu i mierzenie temperatury. Żeby mogła lepiej poznać i zrozumieć swój organizm. Zupełnie, jakby nie robiła tego od prawie dziesięciu lat!

Potem była w rejonowej przychodni... specjalistycznej przychodni... w przychodni przyszpitalnej... i w ordynatorskiej. W każdej z nich wcześniej czy później dostawała ten sam zestaw dobrych rad:

Po pierwsze, mąż musi zrobić badanie parametrów nasienia.

Po drugie, powinniście państwo iść do kliniki leczenia niepłodności.

Na pierwsze nie było co liczyć. Mateusz pokazał jej stronę w Internecie, na której jeden z przedstawicieli episkopatu jasno



wypowiadał się przeciwko takiemu badaniu. Wiązało się z masturbacją, czyli... Jak to tam było napisane? Pozyskiwaniem plemników w sposób nienaturalny, w celu niezwiązanym z przekazywaniem życia?

Jej zdaniem był to cel bardzo związany z przekazywaniem życia. Mateusza jednak przekonać nie zdołała.

Zrealizowała więc sama punkt drugi i poszła do kliniki. Zrobiła wszystkie możliwe badania. Przyjmowała hormony. Jedne, potem drugie. Przeszła nawet dwie laparoskopie. Siedziała w tym długim, zielonym korytarzu już chyba siedemnaście razy, sama jak palec, patrząc na te wszystkie pary. Z coraz słabszą nadzieją na cud.

– Jeśli mąż nie podda się wreszcie badaniom, naprawdę nie zdołamy pani pomóc – powiedział podczas ostatniej wizyty miły doktor Wasilewski, poprawiając na nosie małe druciane okulary. – Proszę powiedzieć, dlaczego on tak się sprzeciwia? Czy chodzi o religię?

Gula, którą nosiła w gardle od dawna, urosła do monstrualnych rozmiarów. Dusila ją przy każdym oddechu. Nie mogła powiedzieć ani słowa. Mogła tylko pokiwać głową i zacząć płakać.

– Trzeba było mówić tak od razu. – Lekarz uśmiechnął się, znowu dotykając oprawek. – Jesteśmy przygotowani na takie sytuacje. Konsultowaliśmy to z ekspertami.

Sięgnął do szuflady i podał jej małą, płaską paczuszkę.

– Co... co to jest? – Zrobiła się czerwona jak burak. – Prezerwatywa?

Chyba po raz pierwszy wypowiedziała głośno to słowo. Nie rozmawiała z Mateuszem o antykoncepcji. Nie musiała.

Poznali się na pielgrzymce. Wpadli na siebie akurat wtedy, kiedy obydwoje stracili już niemal nadzieję, że spotkają swoją drugą połowę. On znowu myślał o wstąpieniu do zakonu. Poszedł na tę pielgrzymkę właśnie po to, by przemyśleć sprawę powołania. Już kiedyś był pewny, że je ma. Potem zwątpił. A teraz? Sam nie wiedział, jaką drogą powinien dalej iść. Liczył, że znajdzie odpowiedź gdzieś między Warszawą a Częstochową.

Nie zawiódł się, nie tym razem.

Ona właśnie zastanawiała się nad wizytą w biurze matrymonialnym, albo poszukiwaniem kogoś przez Internet. Ale jak

znaleźć uczciwego chłopaka w zalewie ofert na jedną noc? Wtedy nie było jeszcze chrześcijańskich portali randkowych. Przynajmniej ona nic o nich nie wiedziała.

Obydwoje zbliżali się do trzydziestki. Nie czekali ze ślubem. Tak naprawdę już tam, na tej pielgrzymce, byli przekonani, że to właśnie to... Ten związek, na który czeka się przez całe życie. Że to przeznaczenie.

Od początku wiedzieli, jakie zasady będą obowiązywać w ich małżeństwie. I wiedzieli, że dziecko, każde dziecko, nawet piąte czy szóste... będzie dla nich radością. Nie chcieli unikać ciąży. Chcieli w nią zająć, jak najszybciej. Choćby w noc poślubną.

– Mój mąż jest katolikiem – powiedziała oburzona. – Pan chyba nie rozumie...

Mateusz miał rację. Nie powinna przychodzić do tej kliniki. Tu nikogo nie obchodzi to, w co wierzą.

– To jest specjalna prezerwatywa do badania nasienia. Dla osób, którym religia nie pozwala na masturbację. Z otworkiem na końcu. Proszę sprawdzić, co zapisano w wytycznych Papieskiej Rady do spraw Duszpasterstwa Służby Zdrowia, już dwadzieścia lat temu. To jest dozwolone przez Watykan. Nie ma żadnych „ale”.

– Ale... – Nie rozumiała. Nie mogła sobie tego wyobrazić. – Ale jak...?

Lekarz pokazał więc obrazek. A nawet serię obrazków, jak z komiksu dla dzieci. Na pierwszym kopulowały dwie laleczki, jedna płci przypuszczalnie męskiej, brodata i umięśniona, a druga żeńska, dużo mniejsza i długowłosa. Na drugim rysunku z prezerwatywy, przez otworek, uciekały plemniki z wygiętymi figlarnie ogonkami. Na trzecim brodacz podawał jakieś naczynko kobiecie w białym fartuchu.

– Nasienie pozyskiwane jest w czasie normalnego małżeńskiego stosunku, zgodnie z wytycznymi Watykanu. – Wyliczał na palcach doktor Wasilewski. Mówił szybko, mechanicznie, jak z płyty. Brzmiało to trochę tak, jakby nauczył się tych formułek na pamięć. – Część nasienia wydostaje się z prezerwatywy, dzięki czemu para pozostaje otwarta na przekazanie życia w czasie stosunku. Watykan aprobejuje takie pobranie próbki, ma to pani zapisane czarno na białym. A ejakulat, który

zostaje w prezerwatywie możemy zbadać w klinice. Nadaje się on nawet do inseminacji.

Monice z radości zakręciło się w głowie. Tyle możliwości, o których nie miała pojęcia! Tyle możliwości, które zwiększają nadzieję na cud. Skoro Watykan mówi „tak”, to chyba Mateusz nie może jej odmówić?!

– Musicie tylko państwo dostarczyć nasienie do badania w ciągu czterdziestu minut od pobrania – zastrzegł lekarz.

Nadzieja gwałtownie pobladła.

Nawet bez korków, w środku nocy samochodem jechało się od nich z domu do kliniki prawie godzinę.

Lekarz najwyraźniej od razu zrozumiał, co oznacza jej mina. Pewnie wiele osób miało ten sam problem.

– Może poproszą państwo o pożyczenie mieszkania kogoś znajomego? – zaproponował. – Albo rodziców czy teściów?

Teściów, tak! Bingo! Matka Mateusza mieszkała przecież nie więcej niż kwadrans od kliniki.

Monika po prostu musiała się roześmiać. Wyobraziła sobie minę teściowej, gdy zaproponują: Niech mamusia wyjdzie na godzinkę, bo musimy odbyć stosunek i pobrać nasienie do badania. Zgodnie z wytycznymi Watykanu.

– Coś wymyślimy – obiecała lekarzowi.

To było trzy dni temu.

Przez te trzy dni Mateusz wertował strony internetowe, zadawał pytania rzeczownikowi kurii, episkopatu i konsultował się ze specjalistami od naturalnego planowania rodziny. Oczywiście anonimowo.

Wreszcie podjął decyzję.

Zadzwoił do niej do pracy w samo południe.

– Wynająłem pokój w hotelu. Zapisz adres.

To nie był dobry hotel. Prawdę mówiąc, to był najgorszy hotel, jaki widziała. Nawet schronisko młodzieżowe wydawało się przy nim miłym, przytulnym miejscem. W pokoju nie było łazienki. Ani nawet umywalki. Pościel śmierdziała stęchlizną. A właścicielka... Monika próbowała nie myśleć, co sądzi o nich właścicielka hoteliku.

– Mogłeś nie mówić, że potrzebujemy pokoju tylko na godzinę –

szepnęła z wyrzutem do Mateusza, kiedy szli korytarzem. – Mogliśmy zostać tu do jutra, żeby zachować pozory. Pojechałbyś do kliniki, wrócił, i przenocowalibyśmy w tym hotelu normalnie, jak zwykli goście.

– Nie zamierzam nocować w takiej norze – odpowiedział, trochę za głośno.

Ona też nie zamierzała. Naprawdę nie. Ale nie mogła znieść wzroku właścicielki tej nory, który mówił: „Jeszcze jeden facet wyrwał się żonce na godzinę i bzyka kochankę”.

– Możemy zacząć? – zapytał Mateusz, opuszczając spodnie do kolan.

Zacisnęła zęby.

To był cud, o który się modliła. Cud, na który nie miała już nadziei. Jej mąż odda nasienie do badania i może wreszcie coś ruszy się do przodu.

Nie musi być romantycznie. Przecież nie musi. Dziś chodzi o coś znacznie większego, znacznie ważniejszego. Nie musi być nawet miło.

– Hej, nie bądź taka spięta. – Położył jej rękę na plecach, niezdarnie rozpiął biustonosz. – Myślisz, że mi jest łatwo? Wciąż nie wiem, czy to była dobra decyzja. Nie wiem, dokąd nas zaprowadzi.

O nie! Tylko nie te dylematy moralne! Nie mogła na nie pozwolić. Wiedziała, czym się to skończy. Jeżeli Mateusz zacznie roztrząsać sytuację i słowa wuja, z badania nici.

Wzięła głęboki oddech.

W końcu naprawdę nie chodzi o to, żeby było przyjemnie. Nie dzisiaj.

Przyciągnęła do siebie jego głowę i zaczęła całować go w usta. Najgłębiej, najnamiętniej, najgoręcej jak umiała.

Był gotowy niemal natychmiast.

Ona nie.

Ale nie chodzi o to, żeby było miło. Powtarzała to jak mantrę.

– Nie umiem tego założyć. – Jego żaloszny głos sprowadził ją na ziemię.

– Nigdy nie próbowałeś? Z kolegami? W szkole? – zapytała z niedowierzaniem.

– Z kolegami? – Patrzył na nią zde gustowany. – Za kogo ty mnie

masz?

O matko... On był naprawdę świętszy od papieża. Czasami ją to przerażało. Nie dawał sobie prawa do żadnych błędów, nawet z zamierzchłej przeszłości. Jej starszy brat też był wierzący. Bardzo wierzący. Tak jak cała rodzina. A jednak kiedyś, gdy miał piętnaście albo szesnaście lat, znalazła w jego szufladzie prezerwatywę. I pisemko ze zdjęciami nagich dziewczyn. Czy przez to stał się grzesznikiem, którego czekają ognie piekielne?

Chyba nie.

– Pomogę ci – powiedziała.

To przecież nie mogło być trudne. Trochę jak gumowa rękawica kuchenna.

Próby założenia tej rękawicy, coraz bardziej nerwowe i rozpaczliwe, ciągnęły się w nieskończoność. Wszelkie podniecenie, o ile w ogóle pojawiło się dziś w tym pokoju, zostało zastąpione przez złość, niemoc, frustrację obydwojga. I paniczny strach Moniki, że mąż zaraz wstanie, ubierze się, wyjdzie i zakończy tę farsę.

Wstał, założył spodnie.

Przełknęła łzy. A więc to była ta jedyna szansa, o której marzyła. Jej wyśniona szansa na cud. Straciła ją, właśnie w tym momencie.

– Jadę do tej kliniki. Daj mi adres – powiedział.

– Ale... – Z wrażenia odebrało jej mowę.

– Daj adres – powtórzył.

Drżącą ręką zapisała nazwę ulicy na wymiętym paragonie, znalezionym na dnie torebki.

– Co chcesz zrobić? – zapytała, niepewna czy dobrze zrozumiała tę całą sytuację.

– To, czego ode mnie oczekujesz ty i ci twoi lekarze – mruknął. – Nawet mój brat... Nie powinienem ci tego mówić... Nawet Marek kiedyś to robił, jako nastolatek. Przyłapałem go w łazience. Obiecałem, że nikomu nie powiem. I co? I żyje. Został księdzem. Będzie musiał dać mi rozgrzeszenie. Będzie musiał.

– Chcesz iść do niego wyspowiadać się z tego, że... – Nie wiedziała, jak to nazwać, żeby go nie urazić. Nie chciała, żeby zmienił

zdanie. Chciała wypchnąć go za drzwi i odtańczyć wielki, szalony taniec radości.

– Oddam nasienie do badania, jak setki pacjentów tej kliniki – odpowiedział, z dłonią na klamce. – Zrobię to bez tej żalostnej hipokryzji. Prezerwatywa z dziurką! To nie dla mnie. Wolę już zgrzeszyć na całego, niż bawić się w zakładanie tego, tego... tego wynalazku! Zgrzeszę, jak miliony dojrzewających chłopców. A potem się wypowiadam.

– Nie możesz, jeśli nie będziesz szczerze żałował – przypomniała mu.

– Już żałuję! Żałuję jak cholera! – Podniósł głos. Chyba po raz pierwszy widziała go aż tak zdenerwowanego. Po raz pierwszy słyszała jak przeklina. – Uważam, że to wielki błąd... Nie powinniśmy wchodzić na tę drogę. W tej klinice nie spotka nas nic dobrego. Ale wiem, że tego ode mnie oczekujesz. Więc pójdę tam, zrobię to cholerne badanie i proszę, nie pytaj o nic, kiedy stamtąd wrócę. I nikomu nigdy o tym nie mów. Bez względu na wszystko.

Wyszedł, zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć.

Monika wyszła z obskurnego hotelu pięć minut później. Szła w stronę przystanku, zanosząc się od płaczu. Nie próbowała nawet go powstrzymać, wiedziała, że to bez szans. Sama nie wiedziała, czy to są łyzy upokorzenia, czy radości. A może jedno i drugie, wymieszane w równych proporcjach?

SMS od niego przyszedł, kiedy wsiadała do autobusu.

*Jestem na miejscu. Nie zmienię zdania, nie bój się.*

A jednak się bała. Każda chwila dłużyła jej się w nieskończoność. Nie mogła znaleźć sobie miejsca w domu. Krążyła od okna do drzwi. Tak bardzo się bała, że zrezygnował w ostatniej chwili. Że wściekł się, kiedy wprowadzono go do tego „pokoju pobrań”, pełnego pisemek porno. Może był tam nawet telewizor z takimi filmami? Mogła się tylko domyślać. Jeśli Mateusz to zobaczy, zawinie się na pięcie i wyjdzie.

I pewnie już nigdy nie zechce spróbować.

Po dwóch godzinach nie wytrzymała, wybrała jego numer. Nie odbierał.

Potem jeszcze raz. I jeszcze. Kilkanaście razy. Bez skutku. Aż do

północy.

Wpadła w panikę.

Zadzwoiła na pogotowie i na policję. Nie mieli żadnego zgłoszenia o wypadku z udziałem mężczyzny koło czterdziestki.

Zadzwoiła do kliniki. Włączyła się automatyczna sekretarka.

Chciała zatelefonować do teściowej. Ale co miałyby jej powiedzieć? Mateusz nasłuchałby się potem od niej wymówek. Byłby wściekły. Wolała mu tego oszczędzić.

Zresztą, naprawdę nie miała ochoty budzić teściowej po północy.

O pierwszej w nocy zmieniła zdanie. Niech się dzieje, co chce. Musi się dowiedzieć, gdzie jest jej mąż. Choćby od teściowej.

Wyciągnęła rękę po telefon, i w tym momencie zabrzączał. Zobaczyła na wyświetlaczu numer Mateusza.

– Na litość boską, gdzie ty jesteś? – krzyknęła, wściekła i szczęśliwa jednocześnie.

Ale to nie był on.

Po drugiej stronie odezwała się nieznajoma kobieta.

– Chyba powinna pani tu przyjechać – powiedziała, nie wyjaśniając, kim jest. – Zaraz prześlę adres SMS-em. Ktoś tu na panią czeka.

Wzięła taksówkę. Poprosiła kierowcę, żeby powoli przejechali wokół kliniki. Okrążyli ją dwa razy. Na parkingu z całą pewnością nie było czerwonego fiata. Nie było tam ani jednego samochodu.

Nie wiedziała, czego ma się spodziewać. Kim jest ta kobieta? Co robi Mateusz u niej w domu w środku nocy? Dlaczego nie zadzwonił do niej sam? Miała sto różnych myśli. Może uderzył się w głowę i ma amnezję? A może to jego kochanka? Podobno mężczyźni, którzy latami tłumią swoje namiętności są jak bomba z opóźnionym zapłonem. Te namiętności muszą wybuchnąć wcześniej czy później. Może to właśnie była noc ich wybuchu? Może ta sytuacja w hotelu wyzwoliła w nim jakąś mroczną stronę, o której istnieniu sam do tej pory nie miał pojęcia?

Taksówkarz zostawił ją pod bramą strzeżonego osiedla. Nie знаła nazwiska tamtej kobiety, która dzwoniła. Nie zdążyła o nie zapytać. Wiedziała tylko, że musi trafić pod numer czwarty. Ochroniarz otworzył brzęczykiem furtkę i uśmiechnął się, jakby wiedział więcej niż ona.

Jakby wiedział, po co tam idzie i kim jest.

Rozejrzała się dookoła. Nawet w ciemności w oczy rzucały się równo przystrzyżone trawniki, niskie ogrodzenia, dobre samochody zaparkowane na podjazdach. W kilku domach wciąż paliło się światło. Pod ósemką jakiś mężczyzna siedział w wysokim fotelu, zatopiony w lekturze. Pod jedenastką kobieta nosiła na rękach płaczące dziecko. A pod czwórką?

Weszła ostrożnie na trawnik pod oknem i zajrzała do środka. W salonie, urządzonej nowoczesnymi, białymi meblami, paliły się dwie lampy. Na szklanym stole stał włączony laptop. Ale nie było widać nikogo. Nawet psa ani rybek w akwarium. Tylko na rozłożystej szarej kanapie leżała... Czy to możliwe? Tak, to była kurtka Mateusza. Ta stara kurtka z kapturem, którą założył, żeby nikt go nie rozpoznał.

On naprawdę tam był. Nie zaszła żadna pomyłka.

Był u jakiejś nowoczesnej kobiety. To na pewno jakaś młoda, seksowna, bajecznie bogata kotka, która nie mierzy każdego poranka temperatury, żeby wychwycić najbardziej płodne dni.

Nacisnęła dzwonek przy brązowych drzwiach z witrażową szybą. Otworzyły się bezszelestnie.

Na progu stała filigranowa dziewczyna... kobieta, niewiele chyba młodsza od Moniki. Miała na sobie klasyczną, czarną sukienkę. Miedziane włosy ściągnęła na karku w gładki kok. Duże czarne oczy były wyraźnie podkrążone. Wyglądała na wyczerpaną.

Monika chciała coś powiedzieć, ale nie wiedziała co.

Oddawaj mojego męża?

Gdzie on jest?

Jak go tu zwabiłaś, szmato?

Żadne z tych zdań chyba się nie nadawało...

Miedzianowłosa odezwała się pierwsza.

– Przepraszam, że panią przestraszyłam – powiedziała zadziwiająco niskim, aksamitnym głosem. – Nie wiedziałam, co robić. Nie ma z nim kompletnie żadnego kontaktu...



## ROZDZIAŁ 4 KAPRYS

Prawdopodobnie nie spotkaliby się nigdy więcej, gdyby nie kaprys Dagmary.

Wzięła to nagłe zastępstwo w Gdańsku wyłącznie dla kaprysu. Nie z powodu sympatii dla kontrafagocisty z Poznania, który miał tam grać, ale zaraził się od synka ospą. Nie znała tego człowieka. Nie miała w zwyczaju robienia komuś bezinteresownych przysług. A pieniądze, które jej zaproponowano, absolutnie nie usprawiedliwiały trzydniowej wycieczki.

Planowała posiedzieć wreszcie kilka dni w domu, ostatnio ciągle koncertowała poza Warszawą. Chciała spędzić spokojnie czas z Igorem. Ale zmieniła zdanie.

– Mam cholerną ochotę na spacer po plaży. Dawno nie byłam w Trójmieście – wyjaśniła mężowi przez telefon, pakując walizkę. – Wiem, że wracasz dziś z Wrocławia, że mieliśmy pobyć razem, ale przecież możemy to przesunąć o kilka dni... Rozumiesz, prawda? Morze mnie wzywa! A moja orkiestra nie gra w środę ani w czwartek, więc nic nie stoi na przeszkodzie, żebym wyjechała. Nie, nie muszę, kochanie. Po

prostu, taki mam kaprys...

On też miał kaprys. Ostatnio wciąż się mijali... Tęsknił już za nią, za jej ciepłym ciałem... I bardzo chciał przejść się po tej plaży razem z nią. Miał akurat luźniejsze cztery dni. Ekspertyzy, na które czekał, utknęły gdzieś między rzeczoznawcą a urzędem. Mógł zabrać komputer i popracować w hotelu.

– Niespodzianka! – zawołał, zajmując miejsce obok niej, chwilę po tym, jak pustawe Pendolino ruszyło z Dworca Centralnego.

Nie mogła uwierzyć własnym oczom.

– Nic nie podejrzewałam! – Chichotała, wtulona w jego ramię. – Myślałam, że z Wrocławia pojechałeś od razu do siebie do biura!

Objął ją ciasno i pocałował prosto w usta. Zadrżała. Oddała ten pocałunek. Poczula się lekko, radośnie jak beztroski dzieciak. Jak nastolatka, która wyrwała się z domu ze swoim pierwszym chłopakiem. Cały świat stał przed nimi otworem.

– Kocham cię – szepnęła i pocałowała go jeszcze raz, dłużej i namiętniej niż przed chwilą.

– Dobrze, że ten wagon jest taki pusty – odpowiedział, przesuwając dłoń w górę po jej udzie i wślizgując się pod sukienkę.

Od razu wiedziała, co chce zrobić. Znała te jego pomysły. Seks w toalecie samolotu lecącego nad oceanem. W pustej łoży na jaskółce Teatru Wielkiego. W szatni filharmonii, dosłownie trzy minuty przed występem. Dla niego nie było złego miejsca i czasu.

– Chcesz tego tak samo jak ja – szepnął, wsuwając palce pod gumkę jej majtek. – Moja mała, zepsuta do szpiku kości dziewczynka.

Rozłożyła nogi. Położyła na kolanach gazetę. I zaraz ją zdjęła. Co za głupi pomysł. Papier szeleścił przy każdym ruchu jego dłoni.

– Podoba ci się? Wiem, że tak. – Z przyjemnością patrzył na jej twarz. Na przymknięte oczy. Na plecy wyginające się w kolejowym fotelu w łuk, poddające się rozkoszy, która rozpływała się po całym jej ciele. Sięgnął po kurtkę, otulił ją troskliwie i przyspieszył.

Nie umiała się oprzeć symfonii, którą wygrywały jego palce.

Znał ją tak dobrze. Wiedział, jak sprawić, że odfrunie, dosłownie w trzy minuty.

– Jesteś okropny – jęknęła, chyba ciut za głośno.

– Mam przestać? – Uśmiechnął się, a jego dłoń na moment znieruchomiała.

– Nie. – Jej oddech przeszedł w świst. – Nie przestawaj, błagam.

Po przyjeździe do hotelu kochali się trzy razy. Nienasytzeni, jakby poznali się dopiero w tym pociągu, chwilę temu.

Uwielbiała Igora. Nie można się było z nim nudzić. Kochał ją i kochał seks. Dokładnie tak jak ona. Zawsze był gotowy zmienić plany, wyjechać na kilka godzin, kochać się w górskim strumyku albo w ciasnej basenowej przebieralni.

– Muszę iść na próbę – jęknęła, ujeżdżając go tyłem na hotelowym fotelu.

Uwielbiał widok jej jędrnych, śniadych pośladków. Uwielbiał to, że opalała się nago. Nie mógł się doczekać, aż wreszcie znowu zrobi się ciepło. Wtedy pojedą, jak zwykle, na tę plażę, gdzie nikogo nie gorszy jej nagie, piękne ciało.

Musnął palcami jej plecy. Wplótł dłonie w burzę miedzianych loków.

– Kocham cię – szepnął.

Jęknęła tylko cichutko. Przymknęła oczy. Jej ciałem wstrząsały dreszcze rozkoszy. Który to już raz tego dnia?

On też się im poddał. Przywarł do niej, przytrzymał mocno jej pośladki, zastygł w bezruchu, stopiony z nią w jedno.

Doskonałe zwieńczenie idealnego popołudnia. Świat naprawdę był piękny.

Sekundę później ciszę gwałtownie przeszył dzwonek telefonu.

Odebrała zmachana, półprzytomna. Musiała odebrać. Może odwołano próbę? Albo kontrafagocista z Poznania jednak zdecydował się przyjechać, mimo ospy?

– Dzień dobry, czy rozmawiam z panią Dagmarą Lor? Moje nazwisko Kowalczyk, telefonuję z kliniki przy ulicy Borowieckiego – powiedziała, ciut za szybko, kobieta po drugiej stronie. – Chodzi o wyniki badań. Robili państwo u nas badania, prawda? Pani i pani partner?

Borowieckiego? W pierwszej chwili, wciąż oszołomiona rozkoszą,

nie mogła skojarzyć z niczym tego adresu.

Potem zrozumiała. I uśmiechnęła się pod nosem. Pewnie nie podają nazwy, w razie gdyby odebrał ktoś przypadkowy... Badania płodności dla wielu osób były przecież czymś bardzo wstydlwym! Zupełnie tego nie rozumiała.

– Tak, oczywiście. – Pokiwała głową, wciągając powoli powietrze przez nos, by uspokoić oddech. – Ja i mój mąż, Igor Małecki...

Wiele osób myślało, że nie są małżeństwem, z powodu tych nazwisk. Zupełnie jakby w Polsce istniał obowiązek przyjmowania po ślubie nazwiska męża! Zawsze ją to irytowało. Od dzieciństwa wiedziała, że nie zmieni nazwiska. Było częścią jej tożsamości. Nawet największa miłość nie usprawiedliwiała takiej zmiany. Igor, na szczęście, doskonale to rozumiał. Tym bardziej w jej zawodzie... Ciężko pracowała na to, by być rozpoznawalną. Dagmara Lor. Tak. Nietypowe imię i krótkie nazwisko, które bez problemu wymawiano na całym świecie, były jej wizytówką. Dlaczego miałyby się jej pozbyć i zostać panią Małecką?

– Halo? – Kobieta po drugiej stronie chyba o coś zapytała. – Pani Dagmaro...

– Jestem, jestem – odparła, próbując się skupić. Przełączyła na głośnomówiący i zaczęła zakładać bluzkę. Naprawdę powinna niedługo wyjść z hotelu.

A ta klinika na Borowieckiego... Cóż, po dzisiejszym ataku dzikiej namiętności pewnie już nie będą potrzebować żadnej kliniki. Plan był co prawda zupełnie inny. Odstawiła pigułki, zgodnie z zaleceniami z amerykańskiego poradnika, trzy miesiące przed godziną zero, czyli przed rozpoczęciem starań o dziecko. Do tego czasu miała zmienić dietę, suplementować kwas foliowy i witaminę D3, przytyć dwa i pół kilograma (zgodnie z amerykańską tabelą, oczywiście), a przede wszystkim zrobić wszystkie badania i sprawdzić, czy ma szansę zajść w ciążę w wyznaczonym okienku i czy może liczyć na brak komplikacji oraz na zdrowe dziecko. A w tym czasie, oczywiście, miała uprawiać seks z zabezpieczeniem, czyli w prezerwatywie.

Dopiero w tym momencie dotarło do niej, że nie zdążyła jeszcze powiedzieć Igorowi, że nie bierze pigułek. Chciała kupić jakieś zabawne

prezerwatywy... Takie, które wniosłyby nową nutkę pikanterii... Miała po nie pojechać do ulubionego sex-shopu na Żoliborzu. To byłaby niespodzianka, jedna z tych, które lubił najbardziej. Nie spieszyła się. Przez ostatnie dni mijali się w domu. Ona koncertowała w Katowicach, on przejmował firmę w Olsztynie. Ona grała w Brukseli, on spotykał się z syndykiem jakiejś masy upadłościowej we Wrocławiu. Stęsknili się za sobą, nawet nie wiedziała, że tak bardzo. Dzisiejszy poryw namiętności był naprawdę niesłychany. I sprawił, że cały misterny plan, który miała, rozleciał się jak domek z kart.

Po takiej dawce szalonego seksu bez zabezpieczenia, jaką zafundowali sobie w ciągu ostatnich dwóch godzin, pewnie niebawem okaże się, że jest w ciąży. A przecież nie minęły jeszcze te trzy miesiące, nie przytyła dwóch i pół kilograma, nie zna wyników badań i nie przestawiła się na króliczą dietę. Żeby tylko nie okazało się, że urodzi dziecko z ciężką wadą genetyczną! Przez niefrasobliwość mamusi...

Ale kiedy ktoś przyjmuje pigułki od siedemnastego roku życia, niemal bez przerwy (no... z jedną, dwuletnią przerwą na spiralkę), to nie myśli przecież o zakupie prezerwatyw! Zwłaszcza gdy wybiera się samotnie w służbową podróż do Trójmiasta!

Kobieta po drugiej stronie wciąż coś mówiła.

Daga z wysiłkiem skoncentrowała się na jej słowach. Za moment, gdy skończy tę rozmowę, powie Igorowi, że odstawiła tabletki. I że być może właśnie przed chwilą udało im się zrobić dziecko. Za momencik, gdy tylko spławi tę kobietę...

– Musimy zamknąć laboratorium na trzy tygodnie. Widzieli państwo na pewno ogłoszenia o remoncie?

Nie widzieli. Przynajmniej ona. Nie pamiętała żadnych ogłoszeń.

– Nikt nas nie uprzedził – powiedziała, starając się brzmieć tak, jakby te badania jeszcze ją obchodziły.

– Proszę odebrać wyniki do jutra, do jedenastej – oświadczyła kobieta, pewnie recepcjonistka. – Staramy się, żeby wszyscy pacjenci dostali komplet wyników, zanim niemal na miesiąc zamkniemy laboratorium.

– Nie uda nam się do państwa przyjść dziś ani jutro. Jesteśmy nad morzem – rzuciła, gotowa rozłączyć się natychmiast. Musiała już wyjść,

naprawdę musiała! – Wyniki poczekają przez te trzy tygodnie, trudno...

– Ależ chwileczkę! – W głosie tamtej słycać było niemal histerię.  
– Nie wie pani, że wyniki szybko się dezaktualizują? Państwo macie wizytę u doktora Truszewskiego, jeszcze w tym miesiącu. Musicie mieć ze sobą wyniki badań!

– Nie może ich pani po prostu przekazać bezpośrednio doktorowi Truszewskiemu? – Dagmara nie chciała być niegrzeczna. To jej się po prostu wydało całkiem logiczne.

– Nie mogę! – Oburzyła się kobieta. – Niech państwo przyjdą po te wyniki do jutra. W czasie remontu mogą gdzieś zaginać...

– Zaginać? Naprawdę? Chyba wybraliśmy niewłaściwą klinikę – mruknęła Daga, coraz bardziej zirytowana. – Nie zauważyła pani, że jest dwudziesty pierwszy wiek? Dlaczego pan doktor nie może sprawdzić naszych wyników badań w systemie? W komputerze? Dlaczego musimy po nie jeździć?

– System informatyczny laboratorium przejściowo nie jest zintegrowany z pozostałymi systemami – wyjaśniła kobieta. – Ma to związek z remontem kliniki.

– Z remontem? Co ma pani na myśli? – Nie rozumiała Dagmara. – Komputery też remontujecie?

Po drugiej stronie rozległ się przeciągły świst. Jakby recepcjonistka z laboratorium próbowała zachować spokój.

– Proszę odebrać wyniki. Będą państwu potrzebne – powiedziała po chwili, bardzo cicho i powoli.

Durna babo, nie słyszysz, że jestem nad morzem? – chciała krzyknąć Dagmara, wyprowadzona z równowagi.

Zdołała jednak się opanować i powiedzieć tylko: – Jesteśmy nad morzem. Gram tu jutro koncert z orkiestrą symfoniczną. Nie zdołamy odebrać wyników przed weekendem.

– W takim razie proszę kogoś oficjalnie upoważnić. – Recepcjonistka wreszcie zaczęła wysuwać konstruktywne propozycje. Przynajmniej teoretycznie.

– Jak mam to zrobić? Powinam iść do notariusza, żeby potwierdził mój podpis na upoważnieniu? – zapytała Daga sarkastycznie.  
– I wysłać je kurierem do Warszawy? Obawiam się, że i tak nie zdążymy

do jutra, do jedenastej rano.

Recepcjonistka westchnęła przeciągle.

– Może to pani zrobić faksem.

– Faksem? – prychnęła Dagmara. – Skąd ja wezmę faks? Nikt ich już chyba dzisiaj nie używa! Nie może być mailem?

– Faksem. Wyłącznie. Z własnoręcznym podpisem. – Kobieta była nieugięta. – Potem doniesie pani oryginał, żebyśmy mogli zachować go w archiwum. Na upoważnieniu proszę koniecznie podać numer dowodu osobistego i datę urodzenia osoby, która odbierze wyniki. A także numer PESEL. Chyba że mamy to wszystko w naszych bazach danych.

– A dlaczego niby mielibyście mieć naszych przyjaciół czy krewnych w swoich bazach danych?

– Na przykład dlatego, że się u nas leczą. – Głos recepcjonistki stawał się coraz bardziej zniecierpliwiony. – Albo leczyli. Albo pracowali tu dziesięć lat temu.

No dobra. Recepcjonistka wygrała tę rundę.

– Rozumiem – powiedziała Dagmara. – Nie znamy jednak nikogo, kto u was pracował... i żadnego z waszych pacjentów.

Igor, który wyszedł już z łazienki i uważnie przysłuchiwał się rozmowie, zaczął nagle dawać jej gwałtownie jakieś niezrozumiałe znaki. Chwycił podkoszulkę, leżącą na brzegu łóżka, i szarpał jej brzeg. Potrząsał głową, skręcając włosy w jakiś dziwaczny kołtun.

– Co? – zapytała bezgłośnie.

Zamiast odpowiedzieć, zaczął skręcać włosy w palcach jeszcze szybciej, jeszcze mocniej.

– Nic nie rozumiem! – krzyknęła.

– Słucham?!

– Nie mówię do pani! Mąż próbuje mi coś powiedzieć, przepraszam na momencik... – Spojrzała z politowaniem na Igora. Zasłoniła dłonią mikrofon w telefonie.

– O co ci chodzi? Znamy jakiegoś bezpłodnego rastamana z Jamajki, który leczy się w Warszawie?

Igor przestał wreszcie kręcić dredy ze swoich jasnych włosów i powiedział krótko:

– Frędzel.

Frędzel, no jasne! Frędzel na sweterku... Frędzel z włosów...  
Dziwne skojarzenie, ale cóż... Najważniejsze, że znają Frędzla!

– Halo, proszę pani? Mamy jednak znajomego... znajomych, którzy się u państwa leczą. Chwileczkę... – Odwróciła się do Igora. – Jak on się nazywa?

– Mateusz... Cholera, nie pamiętam, jak dalej. Gajewski? Nie, z Gajewskim to on siedział w ławce... Cholera, zaraz sobie przypomnę.

– Zadzwoimy do nich. – Obiecała Daga recepcjonistce. – Odbiorą nasze wyniki. Do widzenia.

– W domu mam jego wizytówkę, dał mi w tej knajpie. – Igor nerwowo przeglądał portfel. – W domu, tak... Nie zabierałem jej ze sobą. Jest dyrektorem jakiejś szkoły. Chyba podstawówki... Mateusz... Mateusz... Matczak! No jasne! Mat-Mat, tak na niego mówiliśmy, zanim został Frędzlem.

Pięć minut później, dzięki wszechwiedzącemu wujkowi Google, wiedzieli już, że Mat-Mat vel Frędzel kieruje podstawówką na ulicy Lokalowej, na bardzo dalekiej Ochocie. Mieli numer do sekretariatu.

– Dzwon. – Dagmara wyciągnęła w stronę męża rękę z komórką.

Igor założył spodnie, koszulkę... Absolutnie nie sprawiał wrażenia, że mu się spieszy.

– Dzwon! – Niecierpliwiła się Dagmara, sama nie rozumiejąc, dlaczego. Chyba udzielił się jej nerwowy nastrój recepcjonistki, uważającej te wyniki badań za najważniejszą rzecz na świecie. – No już, dzwoni. Zaraz zamkną tę szkołę!

– Nie będę rozmawiał nago z dyrektorem. – Puścił do niej oko. A potem dodał, już poważniejszym tonem. – Jakoś mi głupio go o to prosić... Wiesz, nigdy się specjalnie nie przyjaźniliśmy. Raczej wprost przeciwnie...

– Narzygał nam na dywan! – Przypomniała mu Dagmara. – I na moje najlepsze buty! Jest nam za to coś winien.

Igor wziął telefon, ale wciąż się wahał.

– Dobra, mogę zadzwonić do niego sama...

– Nie, nie! Już dzwonię. Gdzie masz ten numer?

– Nie wydaje ci się to trochę dziwne? – zapytała Monika.



– Co? To, że zadzwonił akurat do mnie? No przecież nie znał nikogo innego. Był tam pierwszy raz, tak jak ja, kiedy na siebie wpadliśmy. Do kogo miał zadzwonić jak nie do mnie?

Monika wzruszyła ramionami. Argumenty Mateusza brzmiały logicznie... Ale mimo wszystko nie mogła się pozbyć wrażenia, że jest w tej sprawie drugie dno.

– Włożył w to tyle wysiłku... Znalazł twoją pracę, numer telefonu do niej...

– Monia, litości, to nie jest dziewiętnasty wiek, takie rzeczy znajduje się w sieci w pół sekundy.

Miał rację, naprawdę. Ale ona wiedziała swoje.

– Mam nadzieję, że mają wspaniałe wyniki – powiedziała szczerze. – I że uda im się za pierwszym razem.

– Nie przypuszczałem, że tak ich polubiłaś. – Mateusz spojrzał na nią nieufnie.

Nie odpowiedziała na to ani słowem. Wcale nie polubiła ani jego, ani jej. Byli jak ufoludki, o których do tej pory czytała tylko w gazetach. Jedyne, co mieli z nimi wspólnego, to klinika na Borowieckiego. Jeśli Dagmara zajdzie w ciążę, klinika zniknie z ich życia. A razem z nią Monika i Mateusz. Jeśli w ciążę nie zajdzie...

– Ciekawe, co oni zrobią, jeżeli okaże się, że faktycznie mają jakiś problem – mruknął Mateusz, jakby słyszał jej myśli. – Myślisz, że zapomną o sprawie i kupią sobie jakiegoś rodowodowego psa?

– Psa? – Roześmiała się Monika. – O nie! Psem trzeba się zajmować, wyprowadzać na spacer... Zostawiałby kłaki na tych ich cudownych białych meblach i kanapie z włoskiego czy duńskiego katalogu... Po co im pies?

– Po to samo, co dziecko. Do kochania. – Wzruszył ramionami Mateusz.

– Oni nie chcą go kochać. Oni chcą je mieć. Jak nowy samochód albo awans w pracy. Bo już czas, bo wszyscy mają, bo tak wynika z planu na najbliższy rok.

– Jesteś niesprawiedliwa. – Oczywiście, wcale nie wiedział, czy Dagmara i Igor będą dobrymi rodzicami. Albo dobrymi właścicielami psa. Ale poczuł się w obowiązku ich bronić. Zawsze bronił słabszych.

Albo tych, którzy nie mogli bronić się sami, bo nie mieli pojęcia, że ktoś właśnie ich atakuje.

Monika wzruszyła ramionami. Chciał bronić starego kumpla? Chciał mu pomagać i jeździć po wyniki badań, prawie trzydzieści kilometrów w korku? Proszę bardzo, jego sprawa. Ona nie kiwnęłaby palcem, żeby pomóc komuś, kto nazywał ją Frędzlem i ośmieszał przed całą klasą.

Nie umiała tego wytłumaczyć, nie umiała znaleźć logicznego wyjaśnienia, ale wiedziała jedno – ciąża Dagmary to najlepsze, co może się zdarzyć. Najlepsze dla niej i dla Mateusza. Zwłaszcza teraz, gdy wyniki jego badań, odebrane z kliniki leczenia niepłodności czterdzieści osiem godzin wcześniej, nie pozostawiły żadnych złudzeń. Nie mieli szansy na bycie rodzicami. Chyba że... Ale na to Mateusz nigdy by się nie zgodził.

## ROZDZIAŁ 5 PÓJDEŃ Z TOBĄ

– Jak my im to powiemy?

Od dwudziestu minut siedzieli i patrzyli na wydruki leżące na stole.

– Możemy nic nie mówić. Po prostu im to podać i wyjść.

– Bez słowa?

– Bez. W końcu nie musimy wiedzieć, co oznaczają te liczby i łacińskie nazwy.

Jasne, nie musieli. Ale przecież wiedzieli. Wiedzieli aż za dobrze. Widzieli bardzo podobne liczby i słowa na takich samych kartkach ze swoim nazwiskiem. Znali je na pamięć. Przeczytali na ich temat w Internecie wszystko, co dało się tam znaleźć.

– Może wsadzimy w kopertę i wyślemy im pocztą? – podsunęła Monika. – Mam gdzieś ich adres... Dagmara podała mi go SMS-em tamtej nocy. Pamiętam, że dom miał numer czwarty.

– Ich adres jest tutaj, na wydruku. – Mateusz postukał palcem w nagłówek kartki. – Cisowa cztery, osiedle Majowa Polana... Ale nie zamierzam im tego wysyłać pocztą, bez słowa komentarza. Naprawdę. Oni zasługują na coś więcej.

– Dlaczego? Dlaczego niby mają na coś zasługiwać? – Nie wytrzymała Monika. – Bo są bogaci, wykształceni i zawsze do tej pory dostawali wszystko, czego chcieli? Może na dziecko też zasługują bardziej niż my?

Nikt nie zasługuje na dziecko bardziej niż my – pomyślał Mateusz. Ale nigdy nie powiedziałby tego głośno.

– Wiesz, może oni wcale się nie przejmą... – powiedział za to głośno, bez większego przekonania. – Zamienią plan A na plan B. Ona poleci z orkiestrą do tych Chin, Australii, czy gdzieś tam, gdzie mają lecieć... On uratuje przed upadłością kolejną firmę i zainkasuje okrągłą sumkę... Kiedy opowiadał mi o tym, jak wyszukuje te firmy na skraju bankructwa, jak stawia je na nogi, albo sprzedaje z zyskiem... Naprawdę widać było, że go to pasjonuje. Może po prostu obydwójce skupią się na pracy?

– Może – przytaknęła mu Monika. Ale wcale nie wierzyła w to, co mówi.

– Zadzwońię do niego. – Mateusz sięgnął powoli po komórkę.

– Chcesz mu powiedzieć przez telefon?

– Nie, nie... Umówię się z nim jutro albo pojutrze po pracy, gdzieś w mieście.

– W mieście? – Przed jej oczyma stanął tamten obraz. Mateusz i Igor ciasno objęci, śpiący na puszystym, poplamionym dywanie, w oparach wymiocin i trawionego alkoholu. – Chcesz się z nim spotkać w mieście? – Jej głos przeszedł w nerwowy syk. – O nie. Nie! Nie zgadzam się! Nie przeżyję tego po raz drugi!

Spojrzał na nią zdumiony, rozbawiony i przerażony jednocześnie. W pierwszej chwili nie rozumiał, co ma na myśli. Dopiero po sekundzie albo dwóch przypomniał sobie tamtą scenę. Bar pełen ludzi... Zimne, ciemne piwo z poduszczką sztywnej piany... Nie miałyby nic przeciwko temu, żeby powtórzyć takie spotkanie. Tym bardziej teraz, kiedy nie musiał już dbać o żołnierzyki. Doktor Prusak, do którego odesłał ich jadący na zagraniczny staż Wasilewski, nie zostawił cienia złudzeń.

– Gdyby to się udało bez interwencji medycznej, zgłoszę sprawę do watykańskiej komisji cudów. – Roześmiał się, widząc ich upór, by po ośmiu... po dziesięciu latach... próbować dalej, naturalnie. – Jest chyba taka komisja, prawda?

Mateusz wiedział wszystko o watykańskich komisjach. Także o tej, która podobno rozważała kandydaturę jego wuja do godności kardynalskiej. Nie mógł nawet myśleć o rozwiązaniach innych niż naturalne. Nie mógł. A skoro tak...

– Umówię się z nim na kawę, nie martw się. – Uśmiechnął się do Moniki uspokajająco.

– Na kawę? – Daga potrząsnęła głową. – Nie znam żadnego faceta, który umawiałby się na kawę. Na piwo, na wódkę, na sushi, na lunch... Ale na kawę? Naprawdę zaproponował ci spotkanie na kawę? Matko Boska...

– To jest Frędzel, pamiętaj o tym. Nie zostaje się Frędzlem bez powodu. I nie przestaje się nim być tylko dlatego, że ma się na wizytówce nadruk „dyrektor szkoły podstawowej”.

Od rozmowy telefonicznej z Mateuszem minął kwadrans. Obydwoje czuli się nieswojo. Dlaczego nie chciał powiedzieć przez telefon, jakie są te wyniki? Dlaczego postanowił spotkać się na mieście?

Pewnie coś jest ze mną nie tak – myślał Igor.

A Daga robiła listę wszystkich swoich grzechów. Pigułki hormonalne przyjmowane jeszcze w liceum. Spiralka. Nadżerka, albo i dwie. Jakaś chlamydia, czy grzybica po szalonym trzydniowym maratonie niebiańskiego seksu na dzikim campingu nad jeziorem z tym długowłosym blondynem z gitarą. Matko, jak on całował. Obłądnie. Przebiegł ją dreszcz na samo wspomnienie. Cholera, nie pamięta już nawet jego imienia. A może to przez niego dziś nie może mieć dzieci? Nie może, na pewno... Inaczej Frędzel po prostu podałby Igorowi te wyniki przez telefon, albo wsadził w kopertę i wysłał pocztą.

Nie miała odwagi spojrzeć mężowi w oczy.

Ale on przecież wcale nie chciał, żeby była w ciąży. Zdziwił się i zaniepokoił, kiedy powiedziała miesiąc temu, że chciałyby spróbować... Że to może jedyny dogodny moment w jej życiu. Pewnie się ucieszy, jeżeli nic z tego próbowania nie wyjdzie.

A ona? Próbowала się na to teraz jakoś przygotować. Jeśli te wyniki, które odbiorą od Mateusza, faktycznie będą takie złe... Jeśli jednak nie jest jej pisane macierzyństwo... Prychnęła, słysząc swoje myśli. Jest jej pisane... Nie jest jej pisane... Co za biblijny język? Samo myślenie o Frędzlu sprawia, że zaczyna się mówić tak jak on!

A więc, jeśli okaże się, że nie może mieć dzieci... albo że powinna się leczyć, żeby je mieć... Co wtedy? Czy poczuje ulgę? Przecież wcale nie wie, czy byłaby dobrą matką. Nie przepada za niemowlętami. Swoje siostrzenice polubiła dopiero, kiedy skończyły dwa latka. Spotkań z maluchami Joanny do dziś unikała jak ognia, mimo starań przyjaciółki, żeby częściej spotykali się w dni, kiedy nie koncertują, całymi rodzinami. Dlaczego więc miałyby marzyć o zmienianiu pieluch i wstawaniu nocą do ryczącego dzieciaka?

Sama była zaskoczona tym, że chce spróbować.

– Nie to nie – mruknęła, nie zauważając nawet, że mówi głośno. – To był tylko taki luźny pomysł...

Igor stał i patrzył na nią uważnie.

– Myślisz, że coś jest z nami nie tak? – powiedział. – I dlatego Frędzel chce się spotkać?

Pokiwała głową i przytuliła się do niego z całej siły.

Boję się – pomyślała. Ale nie chciała mówić tego na głos. Nie lubiła przyznawać się do słabości, nawet przed sobą samą.

Wspięła się na palce i pocałowała go gwałtownie w usta, żeby zabić te głupie, niepokojące myśli.

Nie wahał się. Zaczął całować ją po szyi, policzkach, uszach. Podniósł ją w górę, jak piórko, i posadził na kuchennym blacie. Rozpiął zębami jej bluzkę, wyswobodził z wiśniowych koronek drobną pierś.

– Jesteś w tym dobry, cholernie dobry – mruknęła, ściągając spodnie.

Lepszy niż tamten blondas z gitarą – dodała w myślach. – Niż wszyscy blondyni z gitarami, jakich znałam.

Jego usta wędrowały niżej i niżej.

– Pójdziemy tam razem – powiedziała.

Spojrzał zdumiony. Uśmiechnął się. Myślał, że to nowa, poetycka przenośnia... Informacja, że nie chce szybkich, szalonych pieścizot, które doprowadzą ją do ekstazy. Że chce przeżyć to dzisiaj razem z nim. Kochać się z nim długo, powoli... Tak, żeby jednocześnie wspięli się na szczyt rozkoszy.

Posłusznie podniósł się, rozsunął dłońmi jej uda i wszedł w nią wolno... bardzo wolno... aż do samego końca.

Jęknęła. Przymknęła oczy. Zacisnęła palce na brzegu kuchennego blatu.

Znała ten niespieszny rytm. Wiedziała, że Igor doprowadzi ją i siebie na samą krawędź uniesienia. A potem odda jej pałeczkę i pozwoli dokończyć, we własnym tempie, na własnych warunkach. Uśmiechnęła się i zaraz zagryzła wargi.

– Kocham cię – szepnęła, przywierając do niego i kładąc dłonie na jego pośladkach.

Jej oddech przyspieszył.

Jego ruchy też. Może dzisiaj to wcale nie potrwa długo? Obydwoje byli tacy rozpaleni...

Nie miał pojęcia, że Dagmara kupiła przedwczoraj tester owulacyjny. Odrobina śliny na szkiełku miała wskazywać dni płodne skuteczniej niż mierzenie temperatury. „Gdy rysunek na płytce przypomina liść paproci, zapłodnienie jest bardzo prawdopodobne” –

mówiła, trochę koślawym językiem, dołączona instrukcja.

Dziś rano zobaczyła rozłożysty liść paproci z zarodnikami po jednej stronie. Jak w podręczniku do przyrody dla klasy piątej.

Jeśli wszystko pójdzie dobrze, wyniki badań, które ma im do przekazania Frędzel, nie będą już miały żadnego znaczenia.

Igor znieruchomiał. Wiedziała, co to znaczy. Jest już blisko. Bardzo blisko. Teraz to ona dyryguje tą orkiestrą.

Poruszył biodrami w lewo, w prawo... Jakby chciał powiedzieć: „No, hej, mała, nie każ mi czekać za długo!”.

Wysunął się z niej odrobinę, tylko centymetr lub dwa, by zrobić miejsce dla swej dłoni. Jego palce włączyły się do tego koncertu. Po chwili dołączyły do nich palce drugiej ręki. Muskały, gładziły, ścisnęły, pocierały. Ze wszystkich stron. Wdzierały się nawet do środka, choć przysięgłaby, że jest wypełniona po brzegi, że nie ma tam już ani skrawka wolnego miejsca.

Uniosła biodra, wysunęła je do przodu. Jej dłonie z jego pośladków też zsunęły się niżej. Igor zadrżał.

Żadne z nich nie mogło już czekać.

Pójdziemy tam razem.

Nie wiedział, że miała na myśli coś zupełnie innego niż tę rozkosz, która przenikała właśnie teraz ich ciała potężnym, cudownym, wspólnym dreszczem.

– Pójdę z tobą – oświadczyła Monika następnego dnia, o siódmej siedem.

– Gdzie? Do pracy? – Mateusz się roześmiał znad twarożku z rzodkiewką, który właśnie przed nim postawiła.

Spojrzała urażona, jakby co najmniej przez pomyłkę zwrócił się do niej imieniem swojej sekretarki.

– Nie udawaj – mruknęła. – Nie chcę, żebyś sam spotykał się z Igorem. Pójdziemy razem. Może będę mogła coś mu podpowiedzieć, wytłumaczyć... Wiesz, kobiety są bardziej empatyczne niż wy, mężczyźni...

– Chcesz powiedzieć, że umiem rozmawiać z dziećmiakami, z kuratorium oświaty, gminą i setkami rodziców moich uczniów,

z trzydziestką pracowników, firmą gotującą dla szkoły obiady oraz z dostawcą gazu, ale nie poradzę sobie z jednym starym kumplem z podstawówki? – Pokręcił głową. – Jesteś przewrażliwiona, kochanie. Nie mam pojęcia, dlaczego przywiązujesz takie znaczenie do tych kontaktów z Igorem. Po dzisiejszym dniu pewnie znowu nie zobaczymy się przez dwadzieścia pięć lat.

Jesteś przewrażliwiona... Te słowa brzmiały jej w uszach jeszcze, kiedy wysiadała z autobusu i szła, w strugach deszczu, do urzędu gminy.

– Dzień dobry, pani Moniko. Coś pani dzisiaj nie w sosie? – Pan Stanisław, ochroniarz, wydający jej klucze od pokoju, najwyraźniej miał rentgen w oczach. Nie zdołała w porę przywołać na twarz tego ciepłego uśmiechu, który wszyscy z nią kojarzyli.

Jesteś przewrażliwiona!

Tak, jestem – odpowiadała mu w myślach, włączając komputer i otwierając szeroko okno. – Jestem okropnie przewrażliwiona. Od kiedy odebraliśmy twoje wyniki, płaczę po dwadzieścia razy dziennie. Wiem, że to koniec. W życiu nie zgodzisz się na żadne z rozwiązań, które zaproponuje nam doktor Prusak na najbliższej wizycie. Szkoda czasu i pieniędzy. Znowu dwie stowy w błoto za spotkanie, na którym posłuchamy, jakie propozycje ma dla nas medycyna. Propozycje, których ty nawet nie zamierzasz serio rozważyć.

Dwie stowy... Zmroziło ją na samą myśl o kolejnym wydatku. Nie mieli już skąd brać pieniędzy. Wciąż spłacali kredyt na mieszkanie... Kredyt, który rósł, zamiast się zmniejszać. Jeśli były przez ostatnie lata jakieś dni, kiedy nie myślała ani razu o dziecku, to właśnie te, kiedy od rana do wieczora śledziła kurs franka i mnożyła, mnożyła, mnożyła.

Na koncie od dawna już nie było żadnej rezerwy. Czasami pod koniec miesiąca brakowało nawet na benzynę. Wtedy Mateusz podjeżdżał autobusem do szkoły. Jeśli spotkał kogoś z rodziców – albo uczniów – wyjaśniał, że dba o ekologię i kilka razy w miesiącu zostawia samochód w domu. Dwa albo trzy razy pobiegnął nawet te trzy i pół kilometra.

– Na biedzie też można sobie zrobić trochę reklamy – żartował. – Bieganie jest przecież teraz bardzo modne.



Wiedziała, że nie stać ich na wizyty w klinice. Nawet gdyby Mateusz zdecydował się na leczenie... Oczywiście, nie zrobi tego, ale czysto teoretycznie... nawet gdyby powiedział „zgoda”, i tak nie mieliby z czego zapłacić za kolejne badania, nie mówiąc już o inseminacji albo in vitro.

A on mówi, że jest przewrażliwiona!

## ROZDZIAŁ 6 MARMUROWY STOLIK

Punktualnie o osiemnastej usiedli przy okrągłym kawiarnianym stoliku z marmurowym blatem. Wertowali menu, komentowali kolejne pozycje.

- Hmm, eklerka, dawno nie jadłam...
- Jabłecznik na ciepło, podobno jest tu pyszny.
- Ciekawe, czy podają go z lodami, czy z bitą śmietaną?
- A może z jednym i z drugim?
- Mają ciastka ponczowe. Pamiętacie je z dzieciństwa?

– Trochę chyba za zimno na kawę mrożoną? Szkoda, mam na nią taką ochotę...

Cała czwórka próbowała stworzyć atmosferę beztrójskiego towarzyskiego spotkania. Najbardziej, ku zaskoczeniu pozostałej trójki, starała się Dagmara. Dosłownie wychodziła z siebie, żeby było miło i wesoło.

Kto by pomyślał, że tak jej zależy. – Uśmiechała się do siebie w duchu Monika. – Zdaje się, że to dziecko stało się dla niej dużo ważniejsze od kiedy podejrzewa, że nie uda jej się go urodzić zgodnie z planem, w wyznaczonym roku wcześniej dnia, w porze przypływu, gdy słońce wejdzie w znak Koziorożca...

Nie wiem, czemu ta Monika tak się jej czepia – myślał Mateusz. – Całkiem sympatyczna z niej babeczka. Sympatyczna i naprawdę ładna...

Co ona wyprawia? – Irytował się Igor. – Mizdrzy się do nich, chichocze... Tylko po co? To naprawdę tylko Frędzel i pani Frędzłowa! Weźmiemy od nich tę kopertę i spadamy.

Koperta wyzywająco leżała na środku marmurowego okrągłego blatu.

Jak stoliczek do wywoływania duchów – pomyślała Dagmara. – Tylko trochę przyciężki... Trudno byłoby nim potrząsać niezauważenie.

Nagle odleciała myślami w stronę starych kryminałów. Kto to opisywał? Agatha Christie? Oszustwo na seansie spirytystycznym... Delikatne ruchy stołu, które miały wskazywać, litera po literze, mordercę obecnego w pokoju... Te litery były chyba wypisane na karteczkach, które rzekomo wybierał duch? Daga nie mogła przypomnieć sobie dokładnie, jak to działało i nagle poczuła się tym okropnie zdenerwowana.

– Hej, słuchasz nas? – Igor delikatnie położył jej dłoń na ramieniu. – Rozmawiamy o tym remoncie w klinice. Podobno jak tylko skończą z laboratorium, biorą się za pokoje biurowe. A potem, za kilka miesięcy, będą mieli dłuższą przerwę w przyjmowaniu pacjentów. Albo nawet dwie przerwy, jeśli uda się to podzielić na etapy... Wysyłają lekarzy na przymusowe urlopy, żeby zrobić remont gabinetów.

Daga drgnęła, słysząc te słowa. Za kilka miesięcy?!

– Przecież ja chcę zająć w ciążę za kilka miesięcy. Najlepiej za dwa

– powiedziała, chyba trochę za głośno. – Gdybym wiedziała, że planują remont, poszłabym na te wszystkie badania do innej kliniki!

– Może zdążymy w dwa miesiące. – Dłoń Igora znowu dotknęła jej ramienia. – Jeśli będziemy się bardzo intensywnie starać...

Monika zaczerwieniła się, obserwując ich spotykające się spojrzenia, jego roześmiany wzrok i palce prześlizgujące się po karku Dagmary... I jej koniuszek języka oblizujący wargi jakoś tak... jakoś nieprzyzwoicie...

Mateusz też zauważył napięcie erotyczne, które przebiegło między Igorem i jego żoną, gdy padło słowo „starania”. Widział, jak speszyło to Monikę. Powinien poczuć się nieswojo, tak jak ona... A jednak, nie umiał się oburzyć. Podobała mu się ta ich więź, bliskość, także seksualna. Sam tego nie rozumiał, ale naprawdę patrzył z przyjemnością na ich piękne ciała w drogich ubraniach z nowych kolekcji jakichś marek, których nazw nie słyszał nigdy przedtem. Patrzył i patrzył. Nie z powodu marek tych butów, marynarek czy kosmetyków nadających włosom blask, lecz ze względu na niebywałe przyciąganie między Daga i Igorem. Jakby byli związani niewidzialną nitką, napiętą do granic możliwości. Chyba po raz pierwszy w życiu zasmucił się, porównując swój związek z Moniką ze związkiem innego małżeństwa.

Ale to trwało tylko sekundę, może dwie.

Natychmiast przywołał się do porządku.

Prawo do miłości mają wszyscy, nie tylko piękni i bogaci.

A miłość to coś znacznie więcej niż erotyczne przyciąganie, choćby najbardziej poetyckie.

– Czy mogę przyjąć zamówienie? – To kelnerka, stojąca przy ich stoliku, niecierpliwie stuknęła długopisem w notesik.

Mateuszowi wydało się, że patrzy na niego znacząco. Zupełnie jakby wiedziała. Jakby znała wszystkie jego myśli. Po jej ustach błędził dziwny uśmiech.

– Czyżbym powiedział na głos coś o erotycznym napięciu? – zastanawiał się w panice.

A może kobieta w kusej spódnicy i stylizowanym białym fartuszkę odczytała te myśli z jego twarzy?!

Dwadzieścia minut później ciastka były już zjedzone, kawy wypite, wszystkie śmieszne sytuacje z czasów szkolnych opowiedziane na zmianę przez Igora i Mateusza... A koperta wciąż leżała na środku stolika, jak jakiś talizman... Albo jak fatum, którego nikt nie chce dotknąć, żeby klątwa nie padła właśnie na niego.

– Czy mogę już posprzątać? – Kelnerka w infantylnym fartuszkach, ta sama co poprzednio, stała koło nich z pustą tacą.

– Tak, oczywiście. – Igor pokiwał szybko głową. – I poprosimy o rachunek. Musimy się zaraz zbierać.

Mateusz sięgnął po portfel. Przez jego twarz przebiegł jakiś dziwny grymas.

– Zostaw. – Igor przytrzymał delikatnie jego rękę. – Ja zapraszam. W końcu to przez nas mieliście problemy, dodatkowe jeżdżenie, teraz przekazywanie... Nie ma mowy, żebyście jeszcze mieli za to płacić!

Mateusz otworzył usta, żeby zaprotestować, ale Monika była szybsza.

– Dzięki. Miło z twojej strony.

Nie mogła pozwolić, żeby z ich konta zniknęło ponad sto złotych. W tym miesiącu byli zdecydowanie pod kreską. Nieprzewidziane wydatki na taksówkę w środku nocy, opłata za odholowanie samochodu, no i wynajęcie pokoju na godzinę w tym podłym hoteliku niedaleko kliniki... A teraz Daga, oczywiście, zamówiła najdroższe pozycje z karty! Kawa mrożona z bitą śmietaną... A do tego lody... Jak ona mieściła to wszystko w tym filigranowym ciałku? Góra bitej śmietany i lody w trzech smakach, polane adwokatem!

– Nie powinnaś... – przypomniała jej Monika. – Skoro staracie się o dziecko...

– Jeszcze się nie staramy. Dopiero planujemy się postarać. Daga, odstawiłaś już te tabletki? Może zaczniemy dziś wieczorem? Przy księżycu w pełni podobno najlepiej robi się dzieci. – Igor spojrzął na Dagę znowu tym swoim wzrokiem, obiecującym niesłychane rozkosze.

A razem z nim spojrzało pół kawiarni.

Bo właśnie w tym momencie skończyła się piosenka w radiu i w głośnikach, rozmieszczonych w ośmiu czy dziesięciu punktach sali, zapanowała głucha cisza.

Głos Igora w tej ciszy wybrzmiał bardzo donośnie.

Monika zaczerwieniła się jeszcze bardziej niż poprzednio.

Mateuszowi zrobiło się żal dawnego kumpla. Nikt nie zasługuje na takie chichoty obcych ludzi. Nie powiedział przecież nic złego...

Igor i Dagmara nie wyglądali jednak na zażenowanych.

Roześmiali się głośno i pocałowali w usta. Zdaniem Mateusza trwało to trochę za długo. I było cholernie, nieprawdopodobnie seksowne. Tak nieprawdopodobnie, że Mateusz przez moment walczył z pokusą, by złapać Monikę wpół i zrobić to samo.

Ale to był naprawdę bardzo krótki moment.

– No to jak tam te nasze badania? – Igor klasnął w dłonie, sztucznie ożywiony. – Na pewno już je przejrzeście i możecie powiedzieć, jak to wszystko wygląda.

– Nie jesteśmy lekarzami – odparł Mateusz dziwnie matowym głosem.

– Przecież wiem, stary! No przecież wiem! Ale sam mówiłeś, że tkwicie w tym od lat, że Monia zna na pamięć wszystkie te fora dla mamusiek...

Monika zrobiła się czerwona jak burak.

– Co ty, do diabła... – zaczęła, wściekła na męża. I zaraz ugryzła się w język. Miała w tym wprawę. Umiała milczeć, kiedy trzeba. Tak, da radę. Poczekaj kilka minut. A kiedy już będą sami, rozpęta prawdziwe piekło. Nie pozwoli robić z siebie pośmiewiska. Monia! Monią to ona była dla Mateusza i dla przyjaciół, a nie dla tej pary snobów, którym w CV brakuje jeszcze roli doskonałych rodziców, obstawionych sztabem niań! Monia zna na pamięć wszystkie fora dla mamusiek! Też coś! Jak on śmiał?!

Jej ciemna strona znowu pchała się do głosu. Miała ogromną ochotę powiedzieć coś w stylu: Moi kochani, tak mi przykro... Niestety, wasze wyniki nie pozostawiają żadnych wątpliwości. Jesteście całkowicie, nieodwracalnie bezpłodni. Obydwoje. Nie macie co wydawać już kasy na lekarzy.

Chciałaby zobaczyć ich miny. Ach, jak bardzo by chciała! Zobaczyć, jak zapadają się w sobie. Zmazać im z twarzy te zadowolone uśmiechy.

Ale, rzecz jasna, powiedziała coś zupełnie innego.

– Zdaje się, że twoim plemnikiem, Igor, trochę brakuje do doskonałości.

Miało to zabrzmieć łagodnie. Delikatnie.

Ale Igor zrobił się nagle blady, niemal przezroczysty.

Ciszę, która zapanowała przy stoliku, można byłoby kroić nożem.

– Jak wiele im brakuje? – zapytał po chwili milczenia.

– Ja nie... – zaczęła Monika, próbując nie spotkać się z nim wzrokiem. Nie potrafiła kłamać. Była w tym beznadziejna. – Ja nie chcę cię wprowadzić w błąd. Ale z tego, co wiem... Cóż, inseminacja powinna mieć spore szanse powodzenia. Oczywiście gdyby nie pewne sprawy, które pojawiły się w badaniach Dagmary.

Wiedziała już, że zrobiła błąd, przychodząc tu i próbując wszystko im wytłumaczyć. Lekarz na pewno zrobiłby to lepiej. Codziennie rozmawia z dziesiątkami takich par.

Zacisnęła zęby, czując, że policzki zaczynają drżeć jej z nerwów. Co jej strzeliło do głowy? Dlaczego wzięła to na siebie?

Nie mogła opanować tego drżenia. Poczwała nagle, że wszystko to kompletnie ją przerasta. Po lewym policzku potoczyła się pierwsza łza.

– Przepraszam – chlipnęła. – Wasze wyniki nie są dobre. Pewnie będziecie musieli się leczyć. Ale wcale nie są beznadziejne, takie kłopoty ma dziś bardzo wiele małżeństw... I jeśli zrobicie to, co powie wam lekarz, na pewno niedługo będziecie mieli dziecko.

Ludzie w kawiarni patrzyli na ich stół z coraz większym zainteresowaniem. Igor miał wrażenie, że kelnerka specjalnie ściszyła muzykę, żeby nie uronić nic z tego przedstawienia. Na pewno nie co dzień mogła oglądać takie sceny.

A więc to tak. Nie mogą mieć dziecka. Przynajmniej nie od razu. W pierwszej chwili poczuł się, jakby ktoś dał mu w twarz. Plemniki niedoskonałej jakości... Miał nadzieję, że będzie inaczej. Że jeśli odkryją w laboratorium jakiś problem to po stronie Dagi. Żeby mogła mieć pretensje tylko do siebie. Żeby nie patrzyła na niego z wyrzutem.

Ale teraz... Skoro obydwójce byli niedoskonali... Chyba nie mogło ułożyć się lepiej? Ona szybko się z tym pogodzi, zajmie nowymi

pomysłami, pojedzie w tę trasę do Azji oraz Ameryki Północnej, a potem wróci stęskniona i gorąca jak kotka. Lubił, kiedy wracała taka rozpalona i nie chciała wypuścić go z łóżka przez trzy dni i noce. Tak, ona na pewno nie będzie długo rozpaczała. To nie byłoby w jej stylu.

A on... Cóż, on naprawdę nie marzył o dziecku. Lubił to życie, które prowadzili. Jej szczupłą talię, drobne dłonie i stopy, kostki u nóg, które mógł objąć jedną ręką... Te idealne smagłe krągłości... Nie chciał, żeby się zmieniła w słonice o spuchniętych łydkach... A potem w bar mleczny dla wiecznie głodnego, wyjącego dzieciaka. Ale chyba najbardziej bał się choroby. Nigdy o tym nie rozmawiali... Nie chciał wyciągać demonów z szafy. Wiedział jednak doskonale, że w każdej rodzinie można doszukać się chorób genetycznych. Tych niegroźnych i tych, które mogą zmarnować życie dziecku i wychowującym je ludziom.

W jego rodzinie nie trzeba było szukać zbyt głęboko. Obserwował przez pewien czas taką parę, jeszcze w dzieciństwie... Szarpanie się, dzień po dniu... Łzy... Ich obydwójga i malca, który nie rozumiał, dlaczego tak cierpi. Nie był gotowy na takie piekło. I nie chciał sprowadzić na świat dziecka po to, by umierało z bólu.

Prawdę mówiąc, od kiedy usłyszał, że Daga chce zajść w ciążę, liczył podświadomie, że coś jej w tym przeszkodzi. Gdy oświadczyła, że zamierza odstawić tabletki, spanikował. A co, jeśli zaszłaby w ciążę, zanim dostaną wyniki wszystkich badań? Zanim dowiedzą się, że ich dziecko może urodzić się bardzo chore?

To na szczęście już bez znaczenia.

Sprawa zakończona. Od jutra mogą wrócić do dawnego stylu życia.

Monika obserwowała ukradkiem twarz Dagmary i całą gamę pojawiających się na niej emocji. Była tam złość, strach... ale i radość. Uśmiechała się do siebie, chyba już od minuty. Monika nie mogła tego zrozumieć. Czyżby ucieszyła się, że czekają ją kłopoty z zajściem w ciążę? Czy naprawdę nie chciała mieć tego dziecka i odgrywała tylko przed Igorem jakieś dziwne przedstawienie?

Inseminacja? Leczenie? Niejasności w wynikach badań? Daga

gubiła się w myślach. Słowo „inseminacja” kojarzyło jej się wyłącznie z gospodarstwem cioci Lucynki na kujawskiej wsi. Zapładniali tam krowę. Wielką, prawie białą. Miała wtedy chyba siedem lat, spędzały z Marleną pierwszy raz cały miesiąc u cioci. Miała siedem lat, a wciąż pamiętała każdy szczegół. Zadrżała na to wspomnienie. Romuś, jej kuzyn, przybiegł nad stawik, gdzie karmiły z siostrą kaczki.

Wymachiwał rękami, bardzo czymś przejęty.

– Przyjechał inseminator! – krzyczał z daleka. – Chodźcie! Będzie wsadzał jałówce pistolet w cipę!

Rozpląkała się wtedy, pewna, że ktoś zastrzeli krowę. Na słowo „cipa” nie zwróciła uwagi. Liczył się tylko ten pistolet i groźnie brzmiący inseminator.

Gdy dobiegli do obory, zobaczyli potężnego mężczyznę w długim fartuchu i gumowych rękawicach, sięgających do pach. Trzymał w ręku coś, co wcale nie przypominało pistoletu. Raczej długi metalowy pręt, czy może cienką rurkę... Krowa, zamiast na swoim zwykłym miejscu, stała z boku, w otoczonym ścianką boksie. Inseminator zbliżył się do niej cichutko, na palcach, podniósł rurę w górę i wycelował w potężny krowi zad.

– Nie! Niech pan jej nie morduje! – Dagmara przeskoczyła przez niską furtkę, wpadła do boksu i zaczęła okładać mężczyznę pięściami.

Krowa miotała się rozpaczliwie.

Romuś i Marlenka pokładali się ze śmiechu.

Ciocia Lucynka wzięła ją potem na rozmowę i wyjaśniła, że świnki, krówki i koniki nie zawsze mogą spotkać się z samcem, dlatego przywozi się do nich tylko nasienie. Nie wiedziała, że Dagmara nie zna jeszcze słowa „nasienie” i strasznie zaplątała się w tłumaczeniach.

Prawie jak dziś Monika. – Uśmiechnęła się Daga pod nosem.

To właśnie ten uśmiech mogli zobaczyć wszyscy w kawiarni.

Tak. No tak. I co dalej? Teraz to do niej – zupełnie jak do tamtej białej krowy – miał podejść inseminator w gumowych rękawicach z metalową rurą? Ale po co? Są przecież znacznie przyjemniejsze sposoby, by wprowadzić plemniki Igora naprawdę bardzo, bardzo głęboko. Trenowali te sposoby od kilku dni, bardzo intensywnie. Wtedy, w Gdańsku... I wczoraj, na kuchennym blacie... Wczoraj, kiedy na



małym szkiełku ślina wyraźnie rozciągnęła się w cudowny, płodny liść paproci... Nie, inseminator nie będzie już potrzebny. Daga była pewna, że to, co się działo między nimi... teraz, po odstawieniu tabletek... że to naprawdę dało efekty. Że gdzieś w jej wnętrzu, mikroskopijna kuleczka zaczęła już swoje życie.

Wiedziała oczywiście, że jest za wcześnie, by cokolwiek czuła. A jednak naprawdę mogłaby przysiąc, że bołą ją piersi, od dołu, i trochę z boku... Miała wszystkie te najwcześniejsze objawy, wyczytane w sieci. W życiu by się nie przyznała Igorowi, że weszła na mamuśkowe portale, z których obydwójce tak się nabijali. A jednak... tylko na chwilę... żeby sprawdzić. Była przekonana, że im się udało za pierwszym razem. Ależ Igor by się zdziwił! On przecież wciąż nie wie, że odstawiła pigułki. To byłby naprawdę złoty strzał! Trochę wcześniej, niż planowała. Niezbyt mądrze. Ostatnie koncerty przed tournée grałaby w ósmym miesiącu. Mogłoby być jej ciężko. Większość koleżanek z orkiestry brała w ciąży zwolnienia. Daga, oczywiście, nie planowała opuścić ani dnia. Wiedziała, że da radę. Może tylko zmieni obcasy na nieco niższe... Przynajmniej w ostatnim trymestrze...

Nie umiała przestawić się w jednej chwili, przy marmurowym stoliku, z przeświadczenia, że spodziewa się dziecka, na myślenie o kłopotach, które Monika wyczytała na tych ciasno zadrukowanych kartkach. Monika, też coś! Przecież ona nie jest lekarzem. Po co w ogóle miałoby jej słuchać?

Już niedługo idą do kliniki, dowiedzą się wszystkiego... O ile wcześniej test ciążowy nie pokaże, że badania można podrzeć i wyrzucić do kosza. Przecież piersi nie bolały jej tak dziwnie, kłująco, z boku i pod spodem, nigdy wcześniej!

Mateusz patrzył tępo przed siebie. Znowu to zrobiła. Wbiła mu szpilę, jak tyle razy przedtem. Oskarżyła przy ludziach... Choć inni pewnie wcale nie zwrócili na to uwagi. Jak ona to powiedziała? Jeżeli zrobicie to, co każe wam lekarz, na pewno będziecie mieli niebawem dziecko? To był celny strzał. To, co każe lekarz... Miała do niego pretensje. Próbowwała go zrozumieć... Mówiła, że rozumie i szanuje jego poglądy... Myślał, że są w tych sprawach zgodni. Mylił się. Dałaby się pokroić za to, by mieć dziecko. Fakt, że popełnia grzech, wcale jej

w tym nie przeszkadzał. Obiecał, że pójdzie z nią pojutrze do tego doktora Prusaka. Chociaż nie miał pojęcia po co. Przecież naprawdę nie zamierzał zmieniać zdania!

## ROZDZIAŁ 7 APARTAMENT KRÓLEWSKI

– Czy inseminacja stanowi dla nas jakąś szansę? Realną szansę? – zapytała Monika poważnie, patrząc lekarzowi prosto w oczy.

– Ale ja... – Mateusz nie chciał, żeby ta rozmowa zaszła tak daleko. Musiał ją przerwać. Natychmiast. Powiedzieć, że stanowczo się na to nie zgadza. Przecież jej mówił, tyle razy, że nie ma mowy o żadnej inseminacji! Nie namówi go na to! Nie, nie, nie!

– Muszę poznać kilka faktów. – Monika nie dała mu dojść do słowa. Dawno nie widział jej w takiej akcji. – Proszę, poczekaj, posłuchaj... Porozmawiamy potem.

Pokiwał głową. W końcu każdy ma prawo szukać informacji... Nie musi z nich potem zrobić użytku, prawda?

– Muszę znać prawdę. – Monika zwróciła się do lekarza. – Bez upiększania. Nie zdecyduję się na coś, co ma procent albo mniej szans na sukces.

Nie zdecyduję się? Tak powiedziała? W liczbie pojedynczej? Mateusz miał ochotę przetrzeć oczy ze zdumienia. Ta kochana, czuła żona... Żona, która konsultowała z nim nawet kolor ściereczek do kuchni, przekonana, że w dobrym małżeństwie ścierki też wybiera się wspólnie... Ona zdecyduje lub nie zdecyduje się na inseminację, zależnie od szans, które da jej lekarz? Mimo że wie, co Mateusz sądzi na ten temat?!

Doktor Prusak popatrzył przez moment na wyniki ich badań. Zerknął do komputera. I do jakiejś książki. A potem wziął do ręki kalkulator i przeliczył coś bardzo szybko.

– Staram się nie podawać takich liczb. Jest tyle czynników, które mają wpływ na powodzenie naszych działań. – Westchnął.

– Nie proszę o konkretne liczby, do dwóch miejsc po przecinku. – Monika spojrzała mu prosto w oczy. – Chcę wiedzieć mniej więcej. Pół promila czy pięćdziesiąt procent? Muszę wiedzieć, rozumie pan?!

Wciąż ta liczba pojedyncza! Mateusz naprawdę nie mógł w to uwierzyć.

– Błagam. Mniej więcej! – Monika nie odpuszczała.

Lekarz jeszcze raz zerknął w wyniki badań.

– Cóż... Biorąc pod uwagę państwa wiek, stan zdrowia, przebieg pani dotychczasowego leczenia, pana wyniki badań, udokumentowaną skuteczność tego typu zabiegów w naszej klinice... Tak, zaryzykowałbym stwierdzenie, że może nieco zbyt optymistyczne dla osoby w pani wieku. Tak, powiedziałbym, że może to być sześć do dwunastu procent przy jednorazowej próbie – powiedział wreszcie. – Przy sześciu kolejnych cyklach z inseminacją to może być... Cóż, nawet dwadzieścia jeden procent.

– Dwadzieścia jeden procent szans na ciążę? Dobrze zrozumiałam?

Mateusz nie musiał podnosić wzroku, żeby zobaczyć jak lśnią jej oczy. Słyszał to lśnienie w jej głosie, wyraźniej, niż by chciał. Nikt nie dał jej tak wielkiej nadziei od wielu lat. Domyślał się, co się teraz dzieje w jej wnętrzu.

Musiał to natychmiast przerwać. To zaszło już stanowczo za daleko.

Jak mógł w ogóle dopuścić do tego, że rozważała inseminację? Kiedy to się zaczęło? Przecież jeszcze niedawno, po kolejnym teście ciążowym z jedną kreską, wylali razem morze łez. I obiecywali sobie, przytuleni, zjednoczeni w tym smutku, że nie przekroczą granicy... Nie zrobią niczego moralnie dwuznacznego czy nagannego.

On już złamał tę obietnicę, idąc na to koszmarnie badanie. Ale ona???

– Muszę przynieść kilka formularzy z sekretariatu. – Doktor Prusak nagle się podniósł. – Proszę zostać, wrócę za minutkę. Mam wrażenie, że muszą państwo omówić pewne sprawy beze mnie.

Wyszedł specjalnie, żeby szczerze porozmawiali. Mateusz był mu bardzo wdzięczny. Zaraz wyprostują całą tę sprawę.

– Posłuchaj... – zaczął.

Monika nie dała mu dokończyć.

– O nie, to ty mnie posłuchaj – powiedziała stanowczo. – Biorę na siebie złamanie wszelkich zasad, reguł, przykazań i tego, co zapisano w encyklikach. Przemyślałam to. Nie śpię, nie mogę pracować, tylko myślę. Może wierzę za słabo. Może niewłaściwie. Może widzę Boga nie tak jak ty. Ale wiem, że nie odwróci się ode mnie tylko dlatego, że jestem gotowa zrobić wszystko... prawie wszystko, żeby zostać mamą.

Słuchał jej z otwartymi ustami.

– Ty? – zapytał. – Ty bierzesz na siebie cały grzech? A co ze mną? Przegapiłem jakiś epokowy skok w ewolucji człowieka? Plemniki nie są już potrzebne do tego, by począć dziecko?

– Zrobisz jeszcze raz to, co przed badaniem – powiedziała zimno, bez cienia uśmiechu. – Wybacz, ale naprawdę nie mam czasu czekać, aż do tego dojrzejesz. Nie mam dwudziestu lat, moje szanse maleją z każdym cyklem. Nie chcę być niegrzeczna... Staralam się zrozumieć i szanować twoje dylematy. Ale dwadzieścia jeden procent szansy na dziecko? Dwadzieścia jeden procent?! I nie możemy spróbować, bo ty nie chcesz zrobić tego, co robią codziennie miliony chłopców... i mężczyzn? Czy to naprawdę grzech śmiertelny?

Wstał z krzesła. Stanął przy oknie. Oddychał głęboko.

Nigdy nie widział jej w takim stanie.

Po raz pierwszy zrozumiał, że poświęci dla tej ciąży wszystko. Nawet jego.

Stała za nim, oparła głowę na jego plecach.

Jak wtedy, w podróży poślubnej, gdy stali w oknie małego hotelowego pokoju, na dwunastym piętrze. Patrzyli na neony rozświetlające Berlin, na sznury samochodów... Czuli, że mają świat u stóp. Że ich miłość pokona wszystkie przeszkody.

– Jeśli chcesz – jej głos brzmiał teraz znacznie łagodniej – zrobimy to jeszcze raz z tą prezerwatywą z dziurką. To dozwolone, przecież wiesz. Doktor Wasilewski mówił, że można nasienie, pozyskane w taki sposób, wykorzystać do inseminacji.

– Ale inseminacja nie jest dozwolona! – zaprotestował Mateusz. – Jest wbrew zasadom! Nie przekonasz mnie! To nie jest naturalne zapłodnienie, mimo że odbywa się w organizmie kobiety! Wprowadzanie nasienia w taki sposób nie jest naturalne! Nie udawaj, że o tym nie wiesz!

– Grzech związany z inseminacją biorę na siebie. Potrzebuję tylko twoich plemników. – Naprawdę była zdeterminowana. Bardzo zdeterminowana. – Użyjemy tej prezerwatywy zatwierdzonej przez Watykan. Nauczę się ją zakładać. Choćbym miała obejrzeć najbrzydsze porno świata, zostanę prawdziwą mistrzynią.

Doktor Prusak wrócił do gabinetu akurat, kiedy Monika wypowiadała ostatnie zdanie. Udał, że go nie usłyszał. Usiadł przy biurku, zaczął przekładać papiery.

Mateuszowi huczało w głowie.

Chcieli mieć dziecko.

I nie łamać zasad, które niosła wiara.

Jakim cudem doszli aż tutaj? W miejsce, gdzie Monika publicznie obiecuje zostać mistrzynią zakładania prezerwatyw, wyuczoną z najwulgarniejszych filmów porno?

Wziął głęboki oddech.

– Panie doktorze, chyba zdecydujemy się na tę... tę inseminację. – Przełknął ślinę, wypowiadając to słowo. – Chcielibyśmy tylko wiedzieć, ile to kosztuje.

Warto było wypowiedzieć to zdanie, żeby zobaczyć jej twarz. Lśniła takim blaskiem! Zupełnie jakby już trzymała w ramionach upragnione niemowlę.

– Bardzo się cieszę. To świetna decyzja. – Uśmiechnął się lekarz, podając Mateuszowi kartkę z nagłówkiem „Kosztorys”. – Sam zabieg nie jest bardzo drogi, ale trzeba do niego doliczyć koszt leków podawanych przed inseminacją i po niej... Oraz kilka kontroli USG. No i oczywiście, jak już państwo wiecie, najlepiej byłoby przygotować się finansowo od razu na dwie albo trzy próby...

– Pożyczę te pieniądze, choćbym miała iść po nie do piekła – powtarzała z uporem Monika od kilku godzin. – Wezmę urlop bezpłatny i pojedę do Niemiec rwać truskawki. Albo do Anglii, pracować jako kelnerka. Albo... Nie wiem, gdzie jeszcze się teraz jeździ, żeby dobrze i szybko zarobić.

– Chyba do Warszawy – mruknął.

Polska jawiła się przecież na mapie targanej kryzysem Europy jako szczęśliwa wyspa, z nieustannie rosnącym PKB i niewielkim bezrobociem. Jeśli nie da się zarobić tutaj, to chyba już nigdzie?

– Masz dwa miesiące wakacji – przypomniała mu, patrząc wyzywająco. – Też mógłbyś coś zrobić w tej sprawie... Pamiętasz? Pracowałeś kiedyś przez całe lato jako kierownik kolonii. Dlaczego miałbyś tego nie powtórzyć?

Nie chciał prowadzić tej rozmowy.

Nie chciał, żeby Monika była taka... taka roszczeniowa, zdeterminowana, obca.

Chciał to załatwić, jak najszybciej.

– Zdobę te pieniądze – powiedział. – Już naprawdę nie musisz się tym martwić.

Planowali ten weekend w spa od dawna. Dostali voucher od Marleny, chyba na Gwiazdkę. Jeszcze trochę, a straci ważność.

– Mogę zarezerwować na najbliższy piątek? – zapytał Igor. – Obydwoje chyba potrzebujemy odpoczynku...

Zerknęła do kalendarza.

– W czwartek gramy na festiwalu, mój samolot ląduje na Okęciu dopiero w piątek o dwudziestej – odpowiedziała. – Ale sobotę i niedzielę mam wyjątkowo wolną...

Szybko zadzwonił do hotelu i zamówił pokój. Za dopłatą wymienił ten z vouchera, podarowany przez szwagierkę, na apartament królewski. Poprosił też, by w pokoju czekały białe róże i butelka chilijskiego sauvignon blanc.

Wolał czerwone wino, ale tym razem chodziło o to, żeby poprawić humor Dadze. Widział, że gryzie się tymi wynikami badań i czekaniem na wizytę w klinice. Znalazł w łazience nierozpakowany test ciążowy. Po co jej test, skoro ciągle nie odstawiła pigułek?

Chyba że odstawiła i dziwnym trafem zapomniała go o tym poinformować?

Przeszył go dreszcz na myśl o tym, że Dagmara może być w ciąży.

Nie chciał robić awantury. Wolał poczekać do wyjazdu. Jeszcze pięć dni... Znał to spa. Cenił je za możliwość zarezerwowania sauny i basenu na wyłączny użytek. Planował spędzić tam z Dagą kilka gorących chwil. Wtedy dowie się, czy jego podejrzenia mogą być słuszne...

– Nie mogę jechać. – Jego głos w słuchawce brzmiał naprawdę smutno. – Ta upadłość fabryki nakrętek pod Wrocławiem... Nareszcie ją finalizujemy. W ten weekend mamy siedem spotkań, a w poniedziałek sprawę w sądzie. W końcu!

– Już w poniedziałek? Nie wiedziałeś wcześniej? – zdziwiła się Daga. – Przecież sądy nie przesyłają zawiadomień w ostatniej chwili...

– Oczywiście, że nie – mruknął, coraz bardziej wkurzony. – To poczta nie stanęła na wysokości zadania i przetrzymała wezwanie, nie zostawiając awiza. A potem odesłała je do nadawcy.

– Chyba już nie poczta? – zaprotestowała odruchowo. – Pisma sądowe przejęła jakaś firma prywatna, słyszałam w wiadomościach...

Nie chciał dyskutować o operatorach pocztowych. Nie w tym momencie.

– Daga, weź kogoś... Kogokolwiek. Nie ma sensu, żeby przepadł ten cały pakiet z dodatkami. – Wiedział, że konkretne liczby przemówią

do niej najlepiej. – To miała być niespodzianka, ale chyba muszę ci powiedzieć. Dopłaciłem do apartamentu królewskiego, zamówiłem twoje ulubione wino i kwiaty... Poszła na to mała fortuna. Jedźcie i bawcie się dobrze!

Rozłączył się, zanim zdążyła zaprotestować.

Kogo niby miała ze sobą zabrać? Marlenkę, która podarowała im pod choinkę ten voucher? Nie wypadało.

– Aśka, słuchaj, mam zarezerwowany wyjazd do spa... Igorowi w ostatniej chwili coś wypadło...

Chciała nawet powiedzieć wspaniałomyślnie, żeby Joanna zabrała męża i pojechała odpocząć, a ona zajmie się jej dziećmi. Nie miała pojęcia, jak należy opiekować się dwójką kosmitów w wieku wczesnoprzedzkolnym... Ale czuła, że powinna dać przyjaciółce taki prezent. Nie wyjeżdżali we dwoje chyba od sześciu lat. Na pewno tego potrzebowali.

– Kochana, nie mogę, mam tu prawdziwy sajgon! – Głos Aśki nie pozostawiał złudzeń. Była kobietą na skraju załamania nerwowego, jak niemal codziennie o tej porze, między odebraniem dzieci z przedszkola a wyjściem na wieczorny koncert. – Michaś wlaź na stół i rozciął sobie łuk brwiowy. Krzysiek pojechał z nim na pogotowie. Nie wracają od dwóch godzin, a mała w tym czasie dostała gorączki. Próbuję zbić lekami, ale nie pomagają.

– Za godzinę mamy próbę. Ostatnią przed wylotem na festiwal – przypomniała jej Daga.

– Wiem, wiem. – W głosie Aśki pojawiła się płaczliwa nuta. – Nie martw się o mnie, będę na czas. Ale do spa musisz zabrać kogoś innego.

Sama nie rozumiała, dlaczego wybrała ten numer. Nie narzekała na brak znajomych. Mogła wziąć do spa ciotkę, kuzynkę, tę nową wiolonczelistkę albo sąsiadkę, z którą serdecznie się zakumplowała podczas walki o oświetlenie drogi dojazdowej do osiedla.

A jednak zadzwoniła do Moniki. Moniki, której prawie nie znała.

Nie rozumiała, dlaczego to zrobiła. A może rozumiała aż za dobrze?

Jednak nie przyznała się do tego sama przed sobą.



Tak naprawdę to Monika wcale nie chciała odebrać tego telefonu. Gdy zobaczyła, kto dzwoni, w pierwszej chwili wyciągnęła palec w stronę okienka „odrzuć”. Ta znajomość zaczynała ją już męczyć. Nie miała Dagmarze nic do powiedzenia. Nie chciała też... może nawet przede wszystkim... nie chciała, żeby Mateusz spotykał się z Igorem. Miał na niego dziwny wpływ. Jeszcze wyciągnie go na kolejne piwo... A przecież teraz, kiedy podjęli decyzję o inseminacji, jakość plemników była zdecydowanie najważniejszą sprawą. Nie mogła dopuścić do kolejnego pijaństwa w jakimś barze nad Wisłą! Nie teraz!

Zanim odrzuciła połączenie, do kuchni zajrzał Mateusz.

– Ktoś dzwoni, nie słyszysz? – Spojrzał na nią pytająco. – Nie odbierasz?

– Odbieram – odpowiedziała, bo tak było łatwiej.

No i odebrała.

– Sorki, że zgłaszam się z tym do ciebie tak nagle... – Dagmara była wręcz uprzedzająco miła.

Na pewno czegoś ode mnie chce! – uznała więc Monika.

Okazało się, że jest dokładnie odwrotnie.

– Ja wiem, że to głupie... że prawie się nie znamy... ale pomyślałam, że może miałabyś ochotę pojechać do spa?

Monika aż się zakrztusiła, słysząc tę propozycję.

– Do spa? – powtórzyła.

Chyba trochę za głośno, bo Mateusz stanął w progu kuchni i wpatrywał się w nią pytająco.

Położyła palec na ustach i oszołomiona słuchała wyliczanki Dagmary. Że to wyjazd w najbliższą sobotę, na dwa dni, że wszystko jest już zapłacone, że apartament królewski z własnym jacuzzi, że w cenie trzy masaże dla każdej z nich, seans w grocie solnej, wizyta u kosmetyczki, okłady z błota i jeszcze pięć innych zabiegów, których nazw Monika nawet nie usiłowała zapamiętać.

– Ale dlaczego... Dlaczego ja? – zapytała. – My przecież...

– Wiem, tak, prawie się nie znamy – powtórzyła Daga to samo, co przed chwilą. – Miałam jechać z Igorem, to był prezent od mojej siostry. No ale Igorowi w ostatniej chwili wypadł wyjazd służbowy... Nie sposób go odwołać... Próbuje sfinalizować tę sprawę od prawie dwóch

lat... A siostry nie mogę zaprosić, skoro to ona za wszystko zapłaciła...  
Moja przyjaciółka ma chore dzieci...

– A mama? Moja na pewno bardzo by się ucieszyła, że ją zabieram do spa. Gdyby nie mieszkała tak daleko od Warszawy...

– Moja też by się ucieszyła. Gdyby nie umarła, zanim w Polsce ktokolwiek zaczął używać słowa „spa”.

Monice odebrało głos. Nie spodziewała się takich zwierzeń... No ale w sumie, sama je sprowokowała.

– Przepraszam – wydukała.

– To ja przepraszam. – Daga najwyraźniej nie zauważyła, że zbiła Monikę z tropu. – Naprawdę nie chciałam, żeby to zabrzmiało tak, jakbym cię zapraszała na ten wyjazd, bo wszyscy inni odmówili... albo umarli.

Właśnie tak to zabrzmiało. Monika zdawała sobie z tego sprawę. Propozycja była absurdalna, nieoczekiwana, dziwaczna.

– Chyba że masz już inne plany?

Miała, owszem. Obiad u teściowej, z wujem i bratem Mateusza. Jak w każdą sobotę. Jeszcze nigdy nie udało jej się od niego wymigać. Nigdy nawet nie próbowała.

Apartament królewski... Okłady z błota...

Tak, to mogło wygrać z teściową.

A poza tym była bardzo ciekawa, czy Dagmara i Igor rozmawiali już z lekarzem. Czy zaproponował im laparoskopię, inseminację, czy od razu in vitro. I czy się na nie zdecydowali.

Bo w to, że zrezygnowali z opcji pod tytułem „Dziecko”, nie wierzyła ani przez moment.

Gdyby z niej zrezygnowali, Daga natychmiast wykasowałaby Monikę z listy kontaktów, jako przelotną znajomość bez znaczenia. Jedną z tych, które nigdy do niczego jej się nie przydadzą.

– Nie mam żadnych planów na weekend – odparła, ignorując to, że Mateusz nerwowo wymachuje rękami. – Takiej propozycji chyba nie mogę odmówić...

– Chcesz powiedzieć, że zgodziłaś się jechać do tego spa, bo Dagmarze umarła matka? Dwadzieścia czy dwadzieścia pięć lat temu? –

Mateusz patrzył na nią przerażony i rozbawiony jednocześnie.

– Była wtedy jeszcze dzieckiem.

– I co z tego? Uznałaś, że nie wpada odmówić biednej sierotce?

Monika wzięła głęboki oddech.

– Uznałam, że to może być jedyna okazja w moim życiu, żeby pojechać w takie miejsce, zamieszkać w apartamencie królewskim, jeść krewetki, dać się masować oraz okładać błotem... I nie mieć z tego powodu żadnych wyrzutów sumienia!

– Nie wiedziałem, że imponują ci takie rzeczy. – W jego ustach zabrzmiało to jak obelga.

– Nie imponują mi. – Potrząsnęła głową. – Po prostu pomyślałam: „A właściwie, czemu nie?”. Tak jak ty, kiedy Igor zaprosił cię na piwo...

Strzał był celny. Mateusz zaczerwienił się i wyszedł z kuchni.

Spokojnie pochowała naczynia do szafek, przetarła blat i, uśmiechając się pod nosem, wspięła się na taboret, by wyjąć z pawlacza w przedpokoju małą, zieloną walizeczkę.

Co zabiera się na dwa dni do spa? Nie miała pojęcia. W filmach i reklamach ludzie chodzili w takich miejscach całymi dniami w białych szlafrokach do ziemi. Nie chciała wyjść na prowincjonalną gąskę. Czy te szlafroki można wypożyczyć na miejscu, czy trzeba przywieźć swój? Chyba nie? Przecież to mało prawdopodobne, że wszyscy przywozili akurat białe, sięgające do kostek?

Była tylko jedna osoba, którą Monika mogła zapytać o to, co powinna włożyć do walizki. Bez wahania wybrała numer Dagmary.

## ROZDZIAŁ 8 MRRRU

*Jak z nią wytrzymujesz, kochanie? Tu ostatnia prosta! Zamykam sprawę! Jutro przyklepiemy wszystko w sądzie i natychmiast wracam do domu. Nie mogę się doczekać. Chciałbym być z tobą teraz w tej wielkiej wannie. Odbijemy to sobie niedługo. Mrrrrru.*

Rozejrzała się, czy ta miła dziewczyna w różowej garsoneczce jeszcze nie idzie i odpisała szybko:

*Kocham. Tęsknię. Mrrrrru.*

Bezszelestnie odłożyła komórkę na mały stoliczek. W gabinecie masażu obowiązywał zakaz używania telefonów. Ale ona przecież tak lubiła łamać wszelkie zakazy...

Mrrrru. Uśmiechnęła się pod nosem. Nie używał tego znaku od lat. Kiedy się poznali, wciąż przysyłał jej SMS-y. Nawet o czwartej nad ranem. Często składały się tylko z jednego słowa.

Mrrrru. Oznaczało, że jest rozpalony myślami o niej. Że chce tylko jednego. Kochać się z nią do utraty sił. Że szaleje z pożądania. Że wariuje, patrząc na jej zdjęcia... Albo wspominając to, co robili razem.

Mrrru. Zachęta, obietnica, wspomnienie.

Poczuła miłe mrowienie wzdłuż kręgosłupa, choć masażystka nie zaczęła jeszcze swojej pracy. Powinna się wziąć w garść, ta kobieta przecież rozpozna natychmiast, że jest podniecona!

Usiadła, próbując zająć myśli czymś, co nie jest takie mrrruczące i cudowne.

Monika.

Tak, Monika nadawała się doskonale do ostudzenia zmysłów.

Igor pytał, jak z nią wytrzymuje. Był zaskoczony, że zdecydowała

się zaprosić właśnie żonę Mateusza.

– Przecież jej nie lubisz? – stwierdził prosto z mostu. – Po co chcesz się tak męczyć? Lepiej byś wypoczęła jadąc sama niż z nią.

Tak, jeśli chodziło o wypoczynek, na pewno miał rację. Nic nie mogło się równać samotnemu wyjazdowi. Uwielbiała takie wypadki na kilka dni, z książką, dobrą muzyką, samotnymi wędrówkami wzdłuż plaży. Kiedyś, w przerwie między koncertami, pojechała do Turcji, znalazła last minute, wyjątkowo na pięć dni, a nie na tydzień. Ach, mogłaby to powtórzyć choćby zaraz. Wylegiwała się na piasku, czytała w łóżku do świtu, spacerowała po targu pełnym kolorów i zapachów, tak ostrych, że do dziś miała ochotę kichać na samo ich wspomnienie. Wybrała się też do *hamman*, tureckiej łaźni z masażem pianą i olejkami. Na wspomnienie silnych dłoni uśmiechniętego Turka znowu poczuła to mrowienie. Szybko otrząsnęła się ze wspomnień i wróciła myślami do Moniki.

Przez moment, kilka godzin przed wyjazdem, była wściekła na siebie, że jej to zaproponowała. Co to w ogóle za pomysł, zabierać nieznaną do spa? Jakby nie było prostszych sposobów, żeby ją wypytać o tę klinikę i wszystkie te badania, normy i zabiegi, których nazwy brzmiały dla Dagmary niemal po chińsku. Oczywiście znalazła już milion informacji w Internecie... Ale wciąż chciała porozmawiać z kimś, kto tkwił w tym wszystkim dłużej niż ona. I na pewno wiedział znacznie więcej.

Ale czy naprawdę musiała fundować z tego powodu Monice apartament królewski i najdroższy pakiet zabiegów?

Teraz jednak stwierdziła zdumiona, że wcale nie było tak źle. W gruncie rzeczy... Czy to możliwe...? Było całkiem fajnie! Czuła się trochę tak, jak w akademiku na pierwszym roku studiów, kiedy poznawała się z Hanką i Luizą. Leżąc w łóżkach gadały do świtu, o wszystkim i o niczym, i chichotały jak wariatki. Tu było podobnie... Tyle że łóżka były znacznie bardziej komfortowe, wielkości mniej więcej ładowiska dla helikopterów. No i zamiast Luizy i Hanksi obok leżała Monika.

Tak, to było wielkie zaskoczenie. Monika okazała się dowcipna, bezproblemowa, i szczerze zachwycona wszystkim, co działo się w tym

hotelu. A co najdziwniejsze, żadna z nich nie poruszyła jeszcze tematu kliniki! Rozmawiały o podróżach, facetach, szefach, koleżankach z pracy...

Nawet o okropnych teściowych. I tu Dagmara musiała przyznać, że matka Mateusza zdecydowanie bije na głowę matkę Igora... ekscentryczną, nieprzewidywalną, ale w sumie całkowicie nieszkodliwą. Kiedy Monika usłyszała, że teściowa Dagi wyjechała w podróż dookoła Chin i od dwóch miesięcy jedyny kontakt z nią to krótki SMS raz w tygodniu, prawie popłakała się z zazdrości.

Dopiero na widok schłodzonego sauvignon blanc w lodówce w apartamencie obie pomyślały – i powiedziały – niemal dokładnie to samo.

– Nie możemy tego wypić – westchnęła Monika.

– Pewnie ten lekarz, do którego idziemy z Igorem we wtorek, nie byłby zachwycony słysząc, co tu popijamy... – mruknęła Daga i sięgnęła do torebki po korkociąg.

Monika nie mogła uwierzyć własnym oczom.

– Nosisz przy sobie korkociąg?

– Pół życia spędzam z orkiestrą w hotelach – wyjaśniła Dagmara. – Mamy z moją przyjaciółką, Aśką, taki mały rytuał. Kupujemy po koncercie lokalne wino, siedzimy do świtu i gadamy...

Korek wyskoczył z cichym plaśnięciem. Widać było, że Daga ma w otwieraniu butelek dużą wprawę.

– Mam też w torebce szklaneczki z silikonu. – Pomachała w powietrzu miękkimi, niebieskimi naczynkami. – Ale ten hotel zapewnia nam prawdziwe kieliszki... Żal nie skorzystać.

Schowała silikon z powrotem do torby i przechyliła butelkę.

– Ja dziękuję – powiedziała Monika natychmiast. – Naprawdę.

– Produkujeś jajeczka przez ponad sto dni? Myślałam, że to dotyczy tylko plemników. – Dagmara się roześmiała. – Pytałam dwóch ginekologów. Lampka wina PRZED zapłodnieniem na pewno ci nie zaszkodzi. PO już tak. Jeśli masz pecha, wystarczą dwa drinki przez całą ciążę, żeby dziecko urodziło się chore.

Monika zachichotała pod nosem. W tych kilku zdaniach Dagmara potwierdziła jej podejrzenia. Ciąża to już nie jest dla niej opcja, jedna

z wielu, na najbliższe lata. Cięża stała się najważniejszym przedsięwzięciem, wokół którego wszystko się kręci. Czyta o niej w sieci, rozmawia z lekarzami.

Witaj w klubie! – chciała zawołać.

Ale nie odezwała się ani słowem. Żadna z nich nie potrzebowała teraz konfrontacji. Było tak miło...

– Jeśli jesteś pewna, że nie chcesz nawet pół kieliszka, nie będę cię namawiać.

Dagmara naląła sobie do pełna z mocno schłodzonej butelki.

– Rzadko piję sama. Z Igorem pijemy czerwone wina, on jest prawdziwym koneserem... A białe piję w hotelach z Joanną, moją przyjaciółką. Jest skrzypaczką. Ale przecież już ci to mówiłam! – Roześmiała się, unosząc kieliszek do ust. – Wiesz, to chyba właśnie Joaśka przyczyniła się do tego, że nigdy nie chciałam mieć dzieci. Patrząc na nią człowiek zyskuje pewność, że nie da się pogodzić kariery matki i muzyka... Dobrego muzyka. I dobrej matki. A ja nie zamierzam być średnia, albo kiepska, w tym co robię...

Monika wróciła do apartamentu królewskiego uśmiechnięta od ucha do ucha. Chyba nigdy w życiu nikt nie poświęcił jej tyle uwagi co te dziewczyny, umundurowane na różowo, identycznie uprzejme i profesjonalnie serdeczne. Smarowały ją błotem... A potem czekoladą... Układały kamienie na jej kręgosłupie... A ostatnia nawet próbowała ją zrelaksować, diabli wiedzą dlaczego, przez uciskanie obu stóp.

Dagmara najwyraźniej skończyła swoją serię zabiegów nieco wcześniej, bo siedziała już w fotelu, w obowiązkowym białym szlafroku, z mokrymi włosami, i mówiła coś do komórki zmysłowym głosem. Monika nawet nie podejrzewała, że Daga może mówić tak nisko, aksamitnie, z wibrującym R.

Zatrzymała się w progu, osłonięta przez szafę.

Nie chciała się ukrywać i podsłuchiwać. Po prostu rozmowa wyglądała jej zdaniem – choć nie umiałaby tego uzasadnić – na prywatną. Wołała nie przeszkadzać.

– Szkoda, że nie możesz odebrać telefonu. – Niski, zmysłowy głos,

skierowany był najwyraźniej do automatycznej sekretarki. – Chciałam tylko powiedzieć... Mrrrrru! Mrrrrruuuuu!

Mrrru? To naprawdę brzmiało, jakby kot ocierał się o czyjeś nogi. Mrrrrruuuuu?

Monika przywarła do szafy.

Może powinna wyjść? Albo wejść z impetem? Albo trzasnąć drzwiami, udając, że wchodzi dopiero teraz i nic jeszcze nie słyszała? Widziała kiedyś taką scenę z drzwiami w filmie... Tam, u bohaterów romantycznej komedii, poskutkowało doskonale. Powinna chyba tak zrobić...

Mrrru?

Boże, mam nadzieję, że mówiła to do swojego męża, a nie do jakiegoś obcego, szalonego kochanka – jęknęła w duchu.

– O, już jesteś? – Dagmara nagle pojawiła się koło szafy. – Tak mi się wydawało, że ktoś wszedł... To co, wskoczymy w normalne ciuchy i pójdziemy na dół coś zjeść?

Ona wcale się nie spieszyła tym, że ktoś słyszał to jej mrrru! Monika nie mogła w to uwierzyć.

Najwyraźniej za wcześnie wysłała do Mateusza SMS-a, w którym odszczekała wszystkie rzucane na Dagę oszczerstwa.

*Jest fajna, normalna, życzliwa. Nic nie knuje. Nie martw się.*

To mrrru było naprawdę niepokojące!

Zastanawiała się, czy Dagmara powie coś o tym, co się wydarzyło. Jednak nie. Najwyraźniej było to kompletnie bez znaczenia, przynajmniej w jej świecie.

– No, przebieraj się! Umieram z głodu – zawołała Daga sprzed lustra, gdzie nakładała dwoma gąbeczkami cienie pod swoje idealnie wydepilowane brwi.

W tym momencie zapiszczała komórka Moniki. SMS. Z banku.

Jeden rzut oka na nazwę nadawcy wystarczył, żeby serce ze strachu przestało jej bić.

Bank. Od pewnego czasu przerażała ją sama myśl o tej instytucji. I o wszystkich zerach wyznaczających kwotę, którą mieli jeszcze do spłacenia. Oczywiście we frankach.

Ale tym razem komunikat na ekranie telefonu brzmiał: *Przelew*



*przychodzący.*

Przychodzący???

Niczego się nie spodziewała.

Pensje jej i Mateusza przychodziły tego samego dnia, na to samo wspólne konto, założone dzień po ślubie. Od kolejnej wypłaty dzielił ich jeszcze ponad tydzień.

Spojrzała jeszcze raz.

*Przelew przychodzący: 5500 PLN. Nadawca: Marek Matczak.*

Zakręciło jej się w głowie. Dlaczego brat Mateusza miałby dawać im w prezencie pięć i pół tysiąca???

– Coś się stało? – Dagmara natychmiast zauważyła, co się z nią dzieje. – Jakies złe wiadomości? Zrobiłaś się nagle taka blada....

– Nie, nic... Naprawdę nic. Ja tylko...

Nagle zrozumiała, że to nie prezent. To pożyczka. Mateusz zdobył się na rozmowę z bratem i jakimś cudem pożyczył od niego pieniądze na trzy inseminacje. Albo nawet na cztery? Naprawdę to zrobił!

Poczuła znajome szczypanie pod powiekami. Usiadła, ukryła twarz w dłoniach.

– Monika, co jest? Mogę ci jakoś pomóc? – Daga przykucnęła przy niej. Monika roześmiała się przez łzy na widok jej twarzy. Jedno oko miała pomalowane, drugie nie... Nierozprowadzona kropka fluidu na czole wyglądała jak u Hinduski.

Nie mogła myśleć o tych pieniądzach, o tym co oznaczają... Jeśli zaczniesz, całkiem się rozklei.

Rozkleiła się.

Łzy ciekły dwiema wąskimi strużkami.

– To z radości – wyjaśniła przerażonej Dagmarze. – Naprawdę. Wracamy do kliniki. Mateusz zmienił zdanie, zdobył pieniądze...

Naprawdę chce to zrobić. Nie wiem, jakim cudem nagle się zdecydował.

W tym momencie poczuła, że koniecznie musi z nim porozmawiać.

– Poczekasz na mnie? Tylko sekundkę – poprosiła.

Daga pokiwała głową.

Widząc, że Monika sięga po telefon, kilkoma szybkimi ruchami dokończyła makijaż i położyła dłoń na klamce.

– Pogadaj sobie spokojnie, ja będę na dole. Zamówić coś dla

ciebie?

– Tak. Nie. Chyba nie. Nie wiem. – Nie mogła się skupić na myślach o jedzeniu. – Nie, nie, zamówię sama. Zaraz przyjdę.

Mateusz odebrał po pierwszym sygnale. Jakby czekał, aż zadzwoni.

– Dostałaś SMS-a z banku? – zapytał od razu.

No tak, oczywiście, on przecież dostał takiego samego, w tym samym momencie. Na tym polega wspólne konto...

– Co powiedziałaś Markowi? – odpowiedziała pytaniem na pytanie. Była bardzo ciekawa, jak to załatwił. Czy udało mu się nie skłamać? Zawsze próbował forteli. Zamiast powiedzieć nieprawdę, nie mówił ani słowa... albo mówił tak enigmatycznie, że nikt nie rozumiał, o co chodzi. Jakieś półprawdy, ćwierćprawdy... Był w tym mistrzem. Ale nawet mistrz nie zdołałby chyba pożyczyć od księdza pieniędzy na inseminację?

– Okłamałeś go? – Roześmiała się. Nawet przez telefon słyszała wyraźnie, że jest speszony.

– To nie było kłamstwo... W ścisłym tego słowa znaczeniu. – Przysięgłaby, że się zaczerwienił, kiedy to mówił. – Powiedziałem, że kiedyś mu to wyjaśnię... Kiedyś, nie teraz... Że szykuję pewną niespodziankę... I że to dla mnie naprawdę okropnie ważne. Poprosiłem, żeby nie pytał.

– A on? – Monika jakoś nie mogła sobie wyobrazić Marka, któremu wystarcza takie wytłumaczenie. – Odpuścił ci, tak po prostu? Nie naciskał, nie chciał się dowiedzieć, o co chodzi?

– Nie wiem, co sobie o mnie pomyślał. – Z głosu męża Monika wywnioskowała, że uśmiechnął się pod nosem. – Pewnie coś kompletnie nieprawdziwego. Ale nie pytał już o nic. I przed chwilą przyszedł ten przelew. A to najważniejsze, prawda?

## ROZDZIAŁ 9

### NIESPODZIEWANA WIZYTA

To była pierwsza sobota od miesiąca, kiedy nie musieli się nigdzie spieszyć. Monika obudziła się o wpół do siódmej, z przyzwyczajenia. Zerknęła na zegarek, upewniła się, że budzik nie zabrzączy za osiem minut i przewróciła się na drugi bok. Przytuliła się do pleców Mateusza, przesunęła po nich dłoń.

Drgnął i odsunął się odruchowo.

*Kiedyś było inaczej* – pomyślała i cały beztroski nastrój nagle gdzieś zniknął. – *Kiedyś nawet we śnie chciałeś być blisko mnie.*

Spróbowała jeszcze raz. Położyła delikatnie rękę na jego ramieniu, pogładziła je.

Obudził się gwałtownie.

– Co się dzieje? Przecież nie musimy dziś tego robić? – zapytał, półprzytomnym głosem.

– Nie musimy – mruknęła i wtuliła twarz w poduszkę.

Łzy nie dały się zatrzymać.

Robienie „tego” było już tylko obowiązkiem. Nie była już kobietą ani dla niego, ani dla siebie.

Pomyślała o Dagmarze i wielkim lustrze w jej sypialni. O tej szufladzie pełnej kolorowej, koronkowej bielizny, która rzuciła się jej w oczy, niedomknięta, tamtej nocy, gdy oglądała Mateusza i Igora,

śpiących w pijackim uścisku na dywanie.

Wyobraźnia podsunęła sceny jak z filmu. Świece, czerwone wino, namiętność, namiętność i jeszcze raz namiętność... W ich małżeństwie nigdy tego nie było.

Nie używała tego słowa. Nie wydawało się właściwe. Łączyły ich inne rzeczy. Nie każda para musi uprawiać seks na podłodze, stole i kuchennych szafkach.

Oni mieli wspólny cel. Mieli miłość. Ufali sobie bezgranicznie. Mogli na siebie liczyć. Czy to nie było cenniejsze?

Nigdy wcześniej nie myślała o namiętności.

*Kontakty z Dagą źle na mnie wpływają* – przywołała się do porządku.

Nie miała już ochoty spać. Najchętniej wstałaby z łóżka i poszła zrobić śniadanie. Wiedziała jednak, że ta krzątanka obudzi Mateusza. A przecież on tak bardzo chciał się wyspać. Od tygodnia zarywał noce, pisząc na zlecenie ćwiczenia do podręcznika dla klas trzecich. Dzięki temu oddadzą Markowi chociaż część długu. Dziś musiał wreszcie odpocząć.

Ułożyła się wygodnie, wzięła głęboki oddech, przymknęła oczy.

Może już niedługo sobotnie poranki będą wyglądały zupełnie inaczej? Może budzić będzie ich płacz głodnego malucha... Jego śmiech... Jego mokry całus na policzku... Ciepłe ciało gramolące się o świecę niezdarnie do ich łóżka...

Łzy znowu wsiąkały w poduszkę.

Nie chciała żadnej cholernej namiętności. Chciała po prostu zostać mamą. Jeśli to się uda, nie pomyśli więcej o tym, co można robić w sypialni z wielkim lustrem... Nie będzie miała czasu.

Komórka na szafce nocnej Mateusza zawibrowała gwałtownie.

Monika zawahała się przez moment. Sięgając nad mężem, żeby podnieść telefon, na pewno by go obudziła. Może lepiej przeczekać? Jeśli mocno śpi, to cichutkie buczenie chyba mu nie przeszkodzi?

Mateusz jednak poderwał się z pościeli, chwycił telefon i przycisnął do ucha.

– Mama? – zapytał zaspanym głosem. – Jesteś tutaj? O tej porze? Dobrze, tak, już otwieram. Oczywiście, mamusiu.

Monika zacisnęła powieki i zastygła w bezruchu.

Spotkanie z teściową w weekend, przed ósmą rano? O nie, nie miała na to najmniejszej ochoty.

Drzwi zaskrzypiały, obcasy matki Mateusza zastukały na terakocie w przedpokoju.

Żadnego „dzień dobry”, żadnego „synku, chyba cię obudziłam, przepraszam”. Teściowa od razu przeszła do ataku.

– To prawda? – zapytała ostrym tonem.

– Ale co? – Głos Mateusza brzmiał słabo i niepewnie... Przy nikim innym nie mówił w taki sposób.

– Nie udawaj – syknęła teściowa. – Mówię o pieniądzach. Czy to prawda? Wziąłeś od Marka pięć tysięcy?

O nie! Już się dowiedziała! Monika jęknęła w duchu. Miała nadzieję, że to potrwa chociaż o kilka dni dłużej. Że nie rzucą się na niego tak od razu. Nie ustalili nawet jeszcze, co powiedzą teściowej na ten temat. Biedny Mateusz, jak jej to wytłumaczy? Może powinna wstać z łóżka i iść go wesprzeć?

– Odpowiadaj. – Matka nie odpuszczała ani na sekundę. – Wziąłeś od brata pięć tysięcy?

– Pięć i pół – sprostował odruchowo. – Ale nie wziąłem.

Pożyczyłem.

– Po co?

Jej głos wibrował niebezpiecznie, na granicy hysterii.

Monika wysunęła nogę spod kołdry. Powinna być teraz z Mateuszem. Stawić czoła tej kobiecie razem z nim.

Była jedyną osobą, wobec której nie umiała zdobyć się na ani jedno ciepłe uczucie. Dobrą myśl. Chrześcijańskie miłosierdzie. Marzyła o tym, żeby teściowa wyjechała na wycieczkę dookoła świata, albo wyruszyła ze swoim bratem do Watykanu, gotować mu i prasować szaty liturgiczne. Ach, gdyby zniknęła, wszystko wyglądałoby inaczej...

Mateusz wciągnął głęboko powietrze. Słyszała to wyraźnie. Czowała każdą komórką, jak bardzo się denerwuje.

Odezwie się, czy będzie milczał?

Powinna wstać, założyć szlafrok i ruszyć odważnie w paszczę lwa.

Odezwał się. Krótko i stanowczo.

– Musiałem, mamó. Te pieniądze są nam naprawdę bardzo potrzebne.

– Wam? – W głosie teściowej wyraźnie brzmiały kpiące nuty. – Co to znaczy? Tobie i... Komu jeszcze?

– Mnie i Monice...

– Monice? – Znowu wpadała w ten piskliwy, histeryczny ton. – Co Monika ma z tym wspólnego? Myślałam, że to sprawa firmy... Że wreszcie zdecydowałaś się założyć tę szkołę językową, o której kiedyś wspominałaś...

Szkoła językowa? Skąd ona wykopała ten pomysł? Monika musiała wcisnąć twarz w poduszkę, żeby się nie roześmiać. Mateusz chciał zakładać szkołę dziesięć czy jedenaście lat temu! Był wtedy nauczycielem bez etatu, błakającym się po różnych zastępstwach... Dlaczego miałby to robić teraz, kiedy kieruje najlepszą podstawówką w dzielnicy? Co jej przyszło do głowy?

– Nie chodzi o żadną firmę, mamó. – Znów ten głęboki, świszczący wdech. – To sprawa moja i Moniki. Nie martw się. Oddam Markowi wszystko, co do grosza, tak jak obiecałem.

Cisza, która wypełniła mieszkanie, była gęsta i ciężka. Monika walczyła ze sobą. Chciała wstać z łóżka i otworzyć okno. Miała wrażenie, że się udusi.

Wzięła głęboki, powolny wdech, tak jak Mateusz. Trochę pomogło. Leżała dalej bez ruchu, nasłuchując.

– Po co wam te pieniądze? To duża suma, chyba zdajesz sobie sprawę...

Cisza. Świst. Przełykanie śliny.

– Synu, musisz mi powiedzieć. Czy macie jakieś kłopoty?

– Nie, mamusiu. Nie martw się. Po prostu...

Monika wiedziała, że mąż jest w panice. Szuka jakiegoś wyjaśnienia. Półprawdy, którą mógłby spławić matkę. Ale przecież jej nie da się spławić. Powinien już o tym wiedzieć.

– Powiedz mi. Co ona znowu wymyśliła?

Westchnienie. Jeszcze jedno przełknięcie śliny. Zbierał się na odwagę. Co powie? No co? Była naprawdę ciekawa!

– A więc... Mamó... Kupujemy telewizor. Plazmowy.

Co takiego? Co on opowiada?

Monika chciała zerwać się na równe nogi, wiedziała jednak, że jej pojawienie się w przedpokoju tylko pogorszy sprawę.

– Co takiego? – Teściowa też była wstrząśnięta.

– No, plazma. Taki telewizor. Kino domowe. Nie chcieli nam sprzedać na raty, więc...

To było żalosne! Mateusz nie umiał kłamać! Monika była pewna, że teściowa natychmiast to rozpozna. To przecież było oczywiste. Wyśmiej te jego żalosne opowieści...

– Telewizor plazmowy? – Nie rozpoznała. I nie wyśmiała. –

Monika kazała ci kupić nowy telewizor? Synu, ta kobieta cię opętała! Zrujnujesz naszą rodzinę, żeby ona mogła oglądać swoje seriale! Zawsze byłam przeciwna temu małżeństwu, zawsze, od pierwszego dnia!

– Oddam Markowi wszystko, nie martw się.

Obcasy teściowej stukały nerwowo to z lewej, to z prawej strony, coraz bliżej, coraz głośniejsze. Czyżby chodziła w kółko po salonie? Jeszcze tego brakowało, żeby wtargnęła do sypialni i wyciągnęła Monikę z łóżka, domagając się wyjaśnień.

Nie, jednak nie. Obcasy zatrzymały się i rozległ się głos pełen bólu:

– Od razu wiedziałam, że z nią będą kłopoty. Od razu...

W Monice wzbierała złość. Co jeszcze zamierza powiedzieć jej mąż, żeby ochronić własny tyłek? W co jeszcze ją wrobi?

– Kocham Monikę – oświadczył, jakby czując, że przegiął. – Jest moją żoną i ta plazma to... To była nasza wspólna decyzja.

Obcasy zastukały szybko w stronę drzwi.

– Jeszcze będziesz przez nią płakał, synku, zobaczysz! Wspomnisz moje słowa! Ta mała żmija zrobiła ci wodę z mózgu. Tyle lat, a ona nawet dzieci nie chce ci urodzić. Nie daje ci to nic do myślenia? Pewnie łyka pigułki w tajemnicy. Nie patrz tak, to jedyne wyjaśnienie! Zajrzyj do jej torebki, sam się przekonasz!

Drzwi otworzyły się i zamknęły z hukiem.

Monika oddychała głęboko, tłumiąc wściekłość.

Chciała wykrzyczeć mu wszystko w oczy... Chciała wyjść i nigdy nie wrócić. Dlaczego matka, wuj i Mareczek zawsze byli ważniejsi niż

ona?

Mateusz cichutko, na palcach, wszedł do sypialni i położył się koło niej.

Poruszyła się i, zaciskając powieki, szepnęła sennym, półprzytomnym głosem:

– Kto to był?

– Jehowi – odpowiedział szybko.

Monika raptownie usiadła na łóżku, robiąc wielkie oczy.

– No co ty!?! Twoja matka zmieniła wyznanie? Nigdy w to nie uwierzę!

Poczuła, jak uchodzi z niego powietrze.

Wstał, podszedł do okna i stał bez ruchu, plecami do niej.

W innej sytuacji poszłaby za nim, przytuliła się do niego i załagodziła sytuację. Wiedziała przecież, że nie chciał opowiadać tych wszystkich głupot. Wiedziała, że dużo go to kosztowało. Tak nienawidził kłamać. Rozumiała, że zrobił to ze strachu. Ale była wściekła. O ten strach właśnie. Chciała, żeby postawił się matce i wujowi, chociaż ten jeden jedyny raz.

Czekała więc, jak z tego wybrnie.

Czuła nawet coś jakby satysfakcję, że tak się męczy, że zapędził się sam do narożnika i nie umie sobie z tym poradzić. To było zupełnie nowe uczucie, niepokojące ale jednocześnie przyjemne. Patrzenie, jak się wije, przedłużanie tej agonii, dawało poczucie siły. Patrzyła więc biernie. A przecież mogła podać mu rękę, wyciągnąć go z tego, w co się wpakował... Nie, nie tym razem. Niech sobie radzi sam.

– Skąd wiesz... – odezwał się wreszcie, niezbyt mądrze. – To znaczy... No... Po co pytasz, skoro wiesz, że to ona... Skoro wszystko słyszałaś?

Nadszedł czas konfrontacji.

– Co to były za bzdury o tej plazmie?

Westchnął ciężko, jakby to miało wystarczyć za całą odpowiedź.

A potem mruknął:

– No wiesz... No wiesz sama, co by było, gdybym powiedział jej prawdę.

– Uwierzyła, że zapożyczyliśmy się na plazmę? – Monika nie



miała o teściowej dobrego zdania, ale mimo wszystko... – Uwierzyła w taką bzdurę?

– Uwierzyłaby nawet, gdybym powiedział, że wydałaś trzy moje pensje na waciki i perfumy. Uważa, że...

– Że jestem idiotką? – dokończyła Monika.

Mateusz się zaczerwienił. Znów patrzył przez chwilę w okno.

– Słuchaj, moja matka za tobą nie przepada. Wiemy to nie od dziś. Uważa, że jesteś rozrzutna i leniwa. I niech lepiej tak zostanie. To naprawdę najlepsze wyjście.

Zobaczył, jak jej usta zaciskają się w wąską kreskę. Nie miał wyjścia. Była tylko jedna rzecz, która mogła ją ugłaskać. Wiedział, że przegiął. Że nie daruje mu tak łatwo tych bredni na temat plazmy. Musiał sięgnąć po broń największego kalibru.

– Niech tak myśli – szepnął, nie patrząc jej w oczy. – Nie wiadomo przecież, ile jeszcze będziemy musieli pożyczyć... I od kogo...

Zadziałało! Wiedział, że tak będzie. Zrozumiała natychmiast, co próbuje jej powiedzieć. Odczytała to tak, jak chciał: że podjął wreszcie decyzję. Że będzie się leczyć razem z nią. To nie będzie tylko jedna inseminacja. Będzie ich tyle, ile trzeba. A jeśli się nie uda, to kto wie... Kto wie, na co jeszcze się zgodzi?

Zobaczył, że jest gotowa zapomnieć o tym co się stało. Natychmiast. I rzucić mu się na szyję.

– Nie masz już żadnych wątpliwości? – zapytała zduszonym głosem.

– Mam – przyznał. – I nigdy nie przestanę ich mieć. To nie jest zgodne z tym, w co wierzę... W co obydwójce wierzymy... Ale skoro nie ma innej drogi... Byłbym idiotą, gdybym powiedział „nie”. I wiem, że ty nigdy byś mi tego nie darowała.

Klamka zapadła.

Powiedział to. Naprawdę powiedział. Przyparty do muru, wbrew samemu sobie.

Już nie mógł się wycofać.

Wiele razy potem zastanawiał się, jaki wpływ na decyzję, którą podjął... na to wszystko, co się wydarzyło... miała znajomość

z Dagmarą i Igorem.

Były dni, kiedy chciał zrzucić na nich całą winę. Gdyby nie tamto przypadkowe spotkanie w klinice, być może nigdy nie wróciliby z Moniką na ten długi, zielony korytarz, ze ścianami pełnymi zdjęć roześmianych maluchów.

Były dni, kiedy głęboko wierzył, że to Igor i Dagmara, ze swoim dziwnym, zwariowanym stylem życia i niefrasobliwym podejściem do rodzicielstwa, otworzyli jakieś drzwi w jego głowie.

Być może było w tym trochę racji. Wiedział jednak doskonale, że tak naprawdę dwa wydarzenia miały dużo większe znaczenie niż tamto piwo z Igorem.

Pierwszy raz coś w nim pękło, gdy Ania, daleka kuzynka Moniki, poprosiła, by został chrzestnym jej córeczki, Matyldy. Nie miał pojęcia, dlaczego wybrała właśnie jego. Nigdy nie byli specjalnie zżyci. Ale jeśli naprawdę chciała... a zapewniała, że chce, i że głęboko to przemyślała...

Stał przy ołtarzu, trzymając na rękach tę kruszynkę w białej sukieneczce... Czuł odpowiedzialność za jej los. A jednocześnie przez całą mszę czuł przeszywający, zrozpaczony wzrok Moniki na swoich plecach. Dałby wszystko, żeby stać tak razem z nią... i z Grażyną i Witkiem, wybranymi na chrzestnych wieki temu... Dałby wszystko...

Czy naprawdę wszystko?

Tak, to była ta pierwsza rysa na jego niezłomnych przekonaniach.

Tydzień po chrzcinach Matyldy poszedł do kliniki na badanie, nieoczekiwanie nawet dla siebie samego... I wtedy spotkał Igora.

Wbrew wszystkiemu, co sobie wmawiał, spotkanie z Igorem było więc skutkiem, a nie przyczyną tego, co zmieniało się w jego głowie.

Drugie wydarzenie miało miejsce znacznie później. Już po czterech nieudanych inseminacjach... Po tym, jak cztery razy musiał patrzeć na potworną rozpacz Moniki. Ostatni raz był najgorszy. Nie miała już nadziei. Wiedziała, że nie będzie więcej prób. Pieniądze pożyczzone od Marka stopniały do zera... Do ostatniej inseminacji i tak musieli dołożyć z pensji, która akurat wpłynęła na konto... A lekarz, którego zapytali o piąte podejście, wzruszył ramionami.

– Możecie państwo próbować i dwadzieścia razy... Tylko po co?

Traciecie pieniądze i czas. Nie jesteście już nastolatkami, pani zaraz kończy czterdzieści lat... Parametry pana nasienia spadają w zastraszającym tempie... W tej sytuacji trzeba podjąć decyzję... A jeśli brzmi ona „tak”, to zabrać się ostro do działania. Za miesiąc znowu zamykamy klinikę w związku z kolejnym etapem remontu... Tym razem na dłużej. Jeśli nie chcemy tracić dodatkowych tygodni, trzeba ustawić pani leki jeszcze przed tą przerwą. I zrobić kilka dodatkowych badań.

Powiedział „nie”. Oczywiście, że nie. Nie mógł się na to zgodzić.

Zresztą, nawet, gdyby chciał... czysto teoretycznie... I tak nie mieli ani grosza. A na program rządowy, z bezpłatnym in vitro, byli już za starzy. Przynajmniej on. Jej zostało do urodzin jeszcze pięćdziesiąt siedem dni. Państwo nie dopłacało do leczenia osób po czterdziestce.

– Możemy pożyczyć od Dagmary i Igora – powiedziała.

Nawet nie odpowiedział.

Nie zamierzał tego robić. Nigdy w życiu. Niczego chyba nie bał się tak bardzo, jak bycia zależnym od swojego dawnego prześladowcy.

Monika przeleżała wtedy w łóżku trzy dni i trzy noce. Zadzwoił do kliniki i wyzebrał dla niej zwolnienie lekarskie na cały tydzień. Urlop na żądanie wykorzystana przecież już dawno.

Brała jakieś leki, po których spała przez czternaście godzin. On za to zaczął cierpieć na bezsenność. Siedział przed telewizorem i patrzył bezmyślnie na kolejne programy. Często nawet nie wiedział, czego one dotyczą.

Tamten, który sprawił, że na jego decyzji pojawiła się druga rysa... jeszcze głębsza niż pierwsza... zaczął się chyba po północy. To był jakiś dokument o chłopcu, który umarł, bo jego rodzice byli świadkami Jehowy. Chorował coraz ciężiej, a oni nie pozwolili przetoczyć mu krwi.

Oczywiście znał takie sprawy. Często słyszał o nich w wiadomościach. Teraz jednak zdjęcia małego, roześmianego chłopczyka... Chłopczyka, który już nie żył, z powodu decyzji rodziców... sprawiły, że po policzku spłynęła mu łza.

Tylko jedna. Pierwsza od wielu lat.

– Dziecko nie żyje, bo tak wybrali rodzice – powiedziała dziennikarka. – I nie ponieśli za to żadnej kary.

Łzy po jego policzku płynęły coraz szybciej.

Dobrze, że Monika spała na antresoli i nie widziała, co się z nim dzieje.

Mateusz nie mógł, oczywiście, wiedzieć, że Dagmara i Igor oglądają w tym samym momencie ten sam program o małym, nieżyjącym chłopcu.

Żadne z nich nie płakało.

– Przełącz na coś innego – poprosiła Dagmara, trochę bledsza niż zwykle.

Igor szybko nacisnął guzik. Programy medyczne nigdy nie należały do jej ulubionych...

## ROZDZIAŁ 10 DECYZJA

– Nie mam czasu na inseminacje, laparoskopie i całą resztę – oświadczyła Dagmara zdumionemu lekarzowi. – Skoro mamy

problem... Słabe plemniki, niedrożny jajowód i co tam jeszcze państwo znaleźli... To chyba najlepiej będzie od razu zabrać się do in vitro, prawda?

Doktor Truszewski spotykał niewielu pacjentów z takim podejściem.

– To metoda inwazyjna... i kosztowna... – zaczął z lekkim oporem. – Zwykle zalecamy przejście całej drogi... całego procesu leczenia...

– Nie chcę żadnego procesu! – Dagmara uniosła się na krześle. – Chcę mieć dziecko i to szybko. Pieniądze nie grają roli. Jesteście prywatną kliniką, prawda? A więc dopasowujecie się do preferencji klientów?

– Pacjentów – sprostował doktor słabym głosem.

– Niech będzie. Pacjentów – zgodziła się Daga. – Skoro mamy wydać tyle pieniędzy, to chyba możemy zrobić to na naszych zasadach?

– Pani Dagmaro... – Doktor Truszewski podniósł się zza biurka. Wyglądał, jakby był gotowy wyrzucić ją za moment z gabinetu.

– Daga! – Przerażony Igor pociągnął ją za brzeg swetra.

Może faktycznie trochę przesadziła?

Wzięła głęboki oddech i zaczęła jeszcze raz, znacznie spokojniej.

– Nie będziemy wtrącać się do spraw medycznych – powiedziała ugodowo. – Będę brała leki, robiła sobie sama zastrzyki w brzuch, i wszystko, co trzeba...

– Zastrzyki w brzuch? – Igor pokręcił głową. – Skąd ci to przyszło do głowy?

– Czytałam w sieci. Rozmawiałam z Moniką – odpowiedziała półgłosem. – Zresztą, czy to teraz ważne? Panie doktorze, obiecuję być grzeczną pacjentką. Ale pan robi mi to in vitro w ciągu najbliższych czterech miesięcy, dobrze? Inaczej nie wyrobię się z porodem przed powrotem orkiestry z Azji i z Kanady.

Doktor Truszewski, zirytowany i ubawiony jednocześnie, zażądał dokładniejszych wyjaśnień. Po czym okazał zadziwiająco dużo zrozumienia.

– Mój ukochany wujek jest dyrygentem. Wiem, jak wygląda życie muzyka – powiedział z uśmiechem. – Jeśli naprawdę są państwo

zdecydowani, to wypiszę skierowanie na badania dodatkowe. Trochę tego jest... A nasze laboratorium po remoncie wciąż nie wróciło do pracy w pełnym zakresie. A więc niektóre testy będziemy robić w ostatniej chwili, kompletnie niezgodnie z zalecaną kolejnością... Ale tak, żeby zdążyć ze wszystkim w terminie, o którym pani mówi.

Dagmara westchnęła ciężko. Przecież zrobiła już tyle badań! Po co jeszcze tracić czas na kolejne?

– A jeśli te badania nie wykażą niczego nowego? – zapytała już w drzwiach. – Z tymi problemami, które mamy... Jak pan widzi nasze szanse?

– Staram się nie mówić nigdy konkretnie... w procentach – asekurował się lekarz. – Ale wygląda to bardzo obiecująco. Pani nie ma jeszcze trzydziestu pięciu lat... Do tej pory żadnych poważnych problemów ginekologicznych... Naprawdę, mamy duże szanse, że będę mógł wam pogratulować jeszcze w tym roku.

Mateusz długo stał przed drzwiami. Wiedział, że musi tam wejść. Nie miał innego wyjścia. Musiał to zrobić, jeśli chciał, żeby Monika wstała z łóżka i wreszcie znowu zaczęła się uśmiechać. Ta ostatnia nieudana inseminacja była ponad jej siły. Nie powinni w ogóle próbować czwarty raz... Od początku zdawał sobie z tego sprawę.

Doskonale pamiętał tamten słoneczny poranek. Kiedy wyszła z łazienki, zapłakana, wiedział już, że się nie udało.

– Znowu? – zapytał ze ściśniętym gardłem.

Otarła łzy.

Myślał, że nie powie ani słowa, że nie będzie w stanie. Że pójdzie do łóżka, zamknie drzwi na klucz i będzie tam siedzieć do wieczora, tak jak poprzednio.

A jednak nie.

Spojrzała mu w oczy i roześmiała się cierpko.

– Znowu! Tak! Znowu! Odgadłeś, Holmesie, brawo! Czwarty raz to przeżywam! Cztery cholerne inseminacje! Cztery cholerne, nieudane inseminacje! Wiesz, jak ja się czuję?

Podszedł o krok, próbując ją przytulić.

– Wiem... Tak samo jak ja.

Wyrwała się z jego objęć, otarła oczy. Czaiła się w nich dzika wściekłość, której do tej pory nigdy tam nie widział.

– Tak samo? Nie, kochany! Nie! Ty robisz to, co uważasz za słuszne. Robisz ze mnie idiotkę przed całą rodziną. Rozrzuć idiotkę. Pożyczasz pieniądze od brata i w tajemnicy przed wszystkimi ładujesz je w kolejne inseminacje. Chociaż już po pierwszej Prusak mówił wyraźnie, że parametry twojego nasienia bardzo spadły i że jedyną realną nadzieją jest dla nas in vitro.

– Nie ma mowy – odpowiedział twardo. – Ugiąłem się w wielu sprawach, ale to byłoby już za dużo. Nigdy się na to nie zgodzę. Nigdy. Nie ma mowy, rozumiesz?

– Nigdy! Nie ma mowy! No właśnie! No właśnie dlatego nie czujesz się tak jak ja. Bo ja już dawno jestem do tego gotowa. Nie wierzę, że Bóg miałby coś przeciwko... Co to za różnica, gdzie połączą się te dwie komórki? Myślisz, że Pana Boga w ogóle to obchodzi?

Westchnął ciężko.

– Nie zaczynaj, proszę. Rozmawialiśmy o tym milion razy. Nie chodzi o te dwie. Chodzi o dziesięć, piętnaście albo dwadzieścia, które zginą przy tej okazji.

– A miliony twoich plemników? Które giną przy każdym stosunku? To znaczy, sorry, w twoim przypadku setki... albo dziesiątki.

Spuścił wzrok. Uderzyła nie fair. Nie poznawał jej. Nie była taka nigdy przedtem.

– To było zagranie poniżej pasa – mruknął.

Oczekiwał, że powie „przepraszam”. Zawsze mówiła, nawet wtedy, kiedy nie zawiniła.

– To wszystko rozgrywa się poniżej pasa, nie zauważyłeś? – rzuciła zamiast tego.

Skrzywił się na jej słowa.

– Nie bądź wulgarna, proszę. Wiesz dobrze, że chodzi o embriony. Embriony, które zostaną zniszczone. Albo zamrożone. Jak je nazywają na tych twoich forach? Śnieżynki?

– Wykorzystamy je wszystkie! Nie teraz, to za rok albo dwa. Ile ich może być? Pięć? Świetnie, chętnie będę miała pięcioro dzieci! Nie musisz się obawiać.

– A jeśli będzie ich dwadzieścia pięć?

– To oddamy je do adopcji tym, którzy nie mogą zajść w ciążę nawet dzięki in vitro. Widziałam program na ten temat, czytałam na forach, rozmawiałam z doktorem Wasilewskim, zanim wyjechał na staż... Naprawdę jest mnóstwo takich ludzi, czekają całymi latami. Zrobimy dobry uczynek. Nie obrazimy Boga. Wiem, że nie. Myślisz, że ja się nie modlę, że nie myślę o tym wszystkim, od rana do nocy?

No tak, znowu zaczynała się ta dyskusja, której tak nie znosił. Jej wiara podpowiadała zupełnie co innego niż jemu... I jak mieli rozstrzygnąć, kto ma rację?

– Może porozmawiałabyś z Markiem? – zaproponował. – Słyszałem niedawno jego kazanie na ten temat, naprawdę znakomite i uważam, że...

– Z Markiem? Chcesz? To świetnie, zaraz do niego zadzwonię! I co, mam mu powiedzieć, że go okłamujesz cały czas w sprawie tej kasy?

Zacisnął zęby.

Znowu grała nieczysto.

– Nie zrobiłabyś tego! – powiedział, choć nie był tego wcale pewny. Niczego nie był już pewny. Nie znał jej takiej, nie rozumiał, nie umiał przewidzieć jej ruchów.

– Pewnie, że bym tego nie zrobiła – Uśmiechnęła się krzywo. – Chcę tylko, żebyś przestał martwić się na zapas. Skąd wiesz, że nawet, jeśli podejdziemy do in vitro, w ogóle będziemy mieli jakiegokolwiek śnieżynki? Że uda się zapłodnienie choćby jednej komórki? Nasze wyniki wcale tego nie gwarantują! A z każdym miesiącem szanse robią się mniejsze...

Weszła do łazienki, trzaskając drzwiami.

A potem nie wstawiała z łóżka przez całe trzy dni.

Musiał tu przyjść. Naprawdę musiał. Wybrał ten moment bardzo starannie.

Jeszcze raz spojrzął na zegarek. Tak, doskonale. Będą mieli tylko trzy minuty na rozmowę. Powinien to wytrzymać.

Wziął głęboki oddech i nacisnął klawisz.



Marek stał przed lustrem. Poprawiał właśnie stulę. Zobaczył jego odbicie i uśmiechnął się szeroko.

– Cześć braciszku, co za niespodzianka. Ostatnio rzadko tutaj wpadasz.

– Sam wiesz, jak to jest... Mam strasznie dużo pracy. – Mateusz był przygotowany na te wyrzuty. Stał spokojnie, czekając, aż się skończą.

– Masz nowego spowiednika? Bo słyszałem, że u Bogdana też od dawna się nie pojawiaasz.

– Dużo pracy – powtórzył Mateusz, próbując nie pokazać, że go to zabolalo. Był wściekły na Bogdana. Jak może opowiadać jego bratu, czy przychodzi do niego, czy nie? To chyba też powinna obejmować tajemnica spowiedzi... Nawet jeśli czasami wpada na herbatę albo na film, a nie do konfesjonału.

– Zostań na mszy. – Marek spojrział na zegarek. – Zaraz odprawiam...

Do zakrystii weszli dwaj ministranci.

– Idźcie chłopcy zapalić świece. No, szybciotko. Zaraz do was przyjdę. – Starannie zamknął za nimi drzwi.

Mateusz uśmiechnął się pod nosem.

Została już tylko minuta.

– Dawno cię nie było, naprawdę. – Brat spojrział na niego uważnie. – Zostań na mszy, potem cię wyspowiadam, jeśli potrzebujesz i pogadamy sobie od serca, jak kiedyś.

Czterdzieści sekund. Czas przejść do rzeczy.

– Słuchaj... – Spojrział księdzu głęboko w oczy. – Chciałbym... Wiesz... Tak naprawdę chodzi o te pieniądze... Nie mogę ci ich oddać w przyszłym tygodniu, tak jak obiecałem.

Marek potrząsnął głową.

– Oddasz jak będziesz miał, nie przejmuj się. To bez znaczenia. Parafianie zadbają o to, żebym nie umarł z głodu.

– To jeszcze nie wszystko. – Mateusz przełknął ślinę. – Będę potrzebował więcej... Dwa razy tyle... To sprawa życia lub śmierci, naprawdę.

– Nie wpakowałeś się przypadkiem w jakieś tarapaty? – Brat

obrzucił go uważnym spojrzeniem. – Nigdy przedtem nie prosiłeś o pieniądze, przez tyle lat... A przecież wiem, że nie jeden raz było ci ciężko...

Mateusz stał ze spuszczoną głową i czekał. Co mógł na to odpowiedzieć?

Marek za to mówił dalej:

– Jeżeli jest coś, w czym mógłbym ci pomóc... Nie tylko finansowo... Jeżeli masz kłopoty...

– Nie, nie, to nie kłopoty... To raczej... nowe możliwości. Muszę je na razie zachować w tajemnicy.

– Możliwości? Jakaś inwestycja? – zgadywał Marek.

– Coś w tym stylu – mruknął Mateusz, tak enigmatycznie, jak tylko mógł. – Naprawdę nie mogę powiedzieć nic więcej.

– Inwestycja? Cóż... W takim razie... Nie mam chyba wyjścia, tak? Puszczę jutro przelew. Mam nadzieję, że powiesz mi kiedyś, co to takiego?

– Dziękuję. Bardzo ci dziękuję – powiedział Mateusz. Nie przypuszczał, że pójdzie mu tak łatwo.

Dzwon kościelny zagłuszył jego słowa. Sześć głośnych uderzeń. I znowu cisza.

Marek rzucił okiem w lustro, a potem poklepał brata po ramieniu.

– Muszę zaczynać – szepnął. – Do zobaczenia po mszy.

– Jasne. – Mateusz odwrócił wzrok. Nie miał ochoty zostawać. Zamierzał uciec, gdy tylko brat podejdzie do ołtarza. Ale ten przejrzał jego plany. Jak zwykle. Od dzieciństwa nic się tutaj nie zmieniło.

– Hej, stary, nie pryśniesz mi do domu, co? Wiem, że spieszno ci do żonki, ale bez przesady... Swoją drogą, bardzo dawno jej w kościele nie widziałem i wcale mi się to nie podoba. Może chciałaby wpaść do mnie, porozmawiać?

Na szczęście nie oczekiwał od Mateusza żadnej odpowiedzi. Spojrzał mu tylko w oczy i powtórzył:

– Nie pryśnij mi.

– Nie prysnę, słowo – obiecał. – Będę siedział w pierwszej ławce przez całą mszę.

– To niesamowite! Zdecydowaliśmy się niezależnie od siebie, dokładnie w tym samym momencie! – piszczała Monika do słuchawki.

Dagmara nigdy nie słyszała jej piszczącej w taki głupi, infantylny sposób.

Ale, prawdę mówiąc, sama miała ochotę tak zapiszczeć.

– Wpadniesz na kawę? – zaproponowała jednak, zamiast wydawać z siebie wszystkie te piski i krzyki. – Albo może spotkamy się gdzieś w mieście?

Monika nie miała ani jednej niezagospodarowanej złotówki. Wszystkie wydatki były rozpisane maczkiem na wielkiej kartce. Wyjście do miasta stanowczo nie mieściło się w budżecie.

Bilet miesięczny miała w torebce. Nie musiała dopłacać ani grosza za wizytę u Dagmary.

– Wpadnę z przyjemnością – powiedziała. Po czym zaproponowała, nauczona przez mamę, jak należy zachowywać się idąc z wizytą:

– Może coś przyniosę? Jakieś ciasto?

Miała nadzieję, że Dagmara odmówi.

– Ciasto? Świetnie. Tylko pamiętaj, że mam alergię na maliny. – Cóż, to wcale nie brzmiało jak odmowa....

Monikę czekało pracowite popołudnie.

Ale i tak bardzo się cieszyła na to spotkanie.

Nie знаła nikogo, z kim mogłaby porozmawiać o tym, co zajmowało ją od rana do nocy. Niemal pękała z chęci podzielenia się tym wszystkim.

Upieczenie ciasta i wiezienie go zatłoczonymi autobusami, z dwoma przesiadkami, przez ponad trzydzieści kilometrów, nie wydawało jej się wygórowaną ceną za możliwość porozmawiania, tak od serca.

– Do jutra. – Uśmiechnęła się do słuchawki.

– Do jutra. Bardzo się cieszę, że wpadniesz, naprawdę.

## ROZDZIAŁ 11

### TANIE WINO, DROGI SZAMPAN

Znów wpadli na siebie na tym zielonym korytarzu. Całkowicie z zaskoczenia. Tym razem wszyscy czworo.

– Przecież mieliście być w klinice dopiero jutro – powiedziała Monika z niedowierzaniem.

Teraz dzwoniły do siebie z Dagą codziennie i znały swoje plany w najdrobniejszych szczegółach.

– Tak. – Uśmiechnął się Igor, wciąż zdumiony tą przyjaźnią. On z Frędzlem nie umiałby chyba tak się zakumplować. Mimo że byli w podobnej sytuacji... przynajmniej teoretycznie. – Zadzwonili do nas dziś rano, żeby przełożyć wizytę. Mają straszny młyn w związku z tym remontem.

– To co, idziemy potem na jakąś kawę? – zaproponował Mateusz, z akcentem na słowo „kawa”.

Monika zachichotała. Wspomnienie tamtej nocy, gdy czekała na telefon od męża, umierając z niepokoju, zbladło i stało się czymś niemal miłym. Gdyby nie poszedł wtedy na piwo z dawnym kolegą z podstawówki, pewnie nigdy nie poznałaby Dagmary. I może wszystko potoczyłoby się inaczej. Nie umiała tego wytłumaczyć, ale była

przekonana, że ta znajomość miała ogromny wpływ na Mateusza... na podjętą przez niego decyzję.

– Mam czas tylko na bardzo szybką kawę – powiedziała Daga, patrząc na zegarek. – Gram dziś koncert. Nie mogę się spóźnić. I tak jestem już na cenzurowanym, ostatnio zawałam kilka drobiazgów z powodu badań i wizyt u lekarza.

Igor uniósł brwi. Nic mu o tym nie mówiła. To było takie niepodobne do perfekcyjnej Dagi. Mogła zostawić bałagan, zapomnieć wyjąć i rozwiesić pranie, które wstawiła rano, ale jeśli chodzi o pracę, zawsze musiała być najlepsza.

Godzinę później siedzieli więc na szybkiej kawie, przy tym samym marmurowym stoliku, co kilka miesięcy wcześniej. I tak samo na jego środku leżał plik drobno zadrukowanych kartek. Atmosfera jednak była zupełnie inna. Trzy osoby mówiły naraz, coś sobie pokazywały, porównywały, notowały.

– Dali nam ten numer telefonu, na wszelki wypadek. Wam też?

– Nam kazali iść do doktora Prusaka, do prywatnego gabinetu, za trzy tygodnie. Po tygodniu brania hormonów.

– Masz już receptę?

– Tak, a ty nie?

– Mam, ale na razie doktor Truszewski kazał trzymać ją w szufladzie. Dał swój adres mailowy, mamy mu przesłać wyniki badań, jak już będziemy mieli cały komplet. Dopiero wtedy dostanę zielone światło na wykupienie leków.

– Nam też kazali wysłać wyniki mailem.

– Myślałam, że już zrobiliśmy wszystkie możliwe badania, a tu jeszcze cała lista!

– U nas to samo... Pewnie tak będzie aż do dnia porodu.

– Pokaż, co to jest? My chyba nie mamy takiego skierowania...

Igor podniósł wzrok i zerknął półprzytomnie na różową karteczkę. Nie miał pojęcia, co to było... Chciał się tym zainteresować, ale naprawdę nie miał siły. Był skupiony na zupełnie innych drobnych literkach, na ekranie swojego smartfona.

– Przejmują wielkie biuro podróży – szepnęła Dagmara do Moniki.

– To chyba największy projekt, nad jakim Igor pracuje w tym roku. Jeśli się nie uda, biuro upadnie na początku lipca i kilka tysięcy ludzi nie wróci z urlopu. Zdjęcia turystów koczujących na lotniskach będą na pierwszych stronach wszystkich gazet. A jeśli się uda, to my pojedziemy na długie, bajeczne wakacje...

– Jedźcie z nami – rzucił Igor, klikając nerwowo w komórkę. – Będziemy mieli za darmo sporo voucherów... Oczywiście o ile uda się ich namówić do podpisania tej umowy...

Pięć dni później Igor przyniósł do domu najdroższego szampana i ostrygi. Od jedynej dostawcy, któremu ufał. Były świeże i pyszne.

Dagi nie było jeszcze w domu.

Starła się nie wchodzić w drogę kierownikowi orkiestry, przychodziła na próby pierwsza, wychodziła ostatnia. Od kiedy usłyszał, że nie leci na koncerty w Azji i Ameryce Północnej, obserwował ją bardzo uważnie.

– Widzę, że jesteś nieskoncentrowana – powiedział, gdy pakowała nuty. – Do tej pory byłaś bez reszty oddana pracy. I nie chciałbym, żeby to się zmieniło. Fabian już czeka, żeby zamienić się z tobą rolami. Rola rezerwowego już mu się trochę znudziła...

– Słyszałaś? On mi groził! – Daga kipiała ze złości.

– Mnie grozi codziennie. – Joanna posłała jej smutny uśmiech. – Widać skończył się twój okres ochronny...

– Skończyłam go sama, na własne życzenie. – Daga przygryzła nerwowo wargę. – Śmiałam zająć się czymś poza graniem.

– Sztuka to kapryśna kochanka. – Aśka powtórzyła ulubione powiedzonko szefa orkiestry. Obie prychnęły śmiechem.

– Nie wiem, jak to będzie – mruknęła Dagmara. – Może popełniam właśnie teraz największy błąd w życiu?

– Zrobiłaś pozostałe badania? Masz już wyniki? – Aśka spojrzała na nią uważnie.

Daga pokiwała głową.

– Mam. Niedrożne jajowody... Masakra. Lekarz próbował nam coś wciskać o udrażnianiu, o leczeniu... Ale w końcu zgodził się ze mną, że jedyna szansa, żeby to szybko załatwić to in vitro. Tym bardziej, że

plemniki Igora też wcale nie są świetnej jakości...

– Może za długo czekaliście? – Joanna nie zdążyła ugryźć się w język. Wiedziała, że zdenerwuje przyjaciółkę, mówiąc coś takiego. I miała rację.

– Przestań. Gadasz jak matka Igora! Że to wszystko przez pigułki i że powinnam postarać się o dziecko zaraz po studiach. A najlepiej od razu po maturze! Nie znaliśmy się wtedy, ale co z tego? Dzieci, jej zdaniem, trzeba płodzić, jak się ma osiemnaście lat. A co ja jestem? Krowa rozplodowa? To znaczy... – Tym razem to Daga powinna ugryźć się w język. Natychmiast to zrozumiała. – Sorki. Nie chciałam... Przepraszam, naprawdę... Ty przecież jesteś najlepszym przykładem, że można mieć i dzieci, i karierę, i miłość, i pasję, i...

– I siwe włosy, i worki pod oczyma. – Zaczęła wyliczać na palcach Joanna. – I pewnie niebawem zostać zdegradowaną do rezerwy, i już dożywotnio grać zastępstwa za trzecie skrzypce. I sprawiać, że szef dostaje piany na sam twój widok, bo kojarzysz mu się z nieustannymi spóźnieniami. To ci dopiero wielka kariera!

Nie było już nic do powiedzenia. Dagmara nie chciała zaprzeczać. Nie było sensu. Obie wiedziały, że kierownik orkiestry ma alergię na Aśkę i jej dzieci.

– Idziemy na winko?

– Możesz? – zdziwiła się Joanna. – Myślałam, że ci nie wolno...

– Wszystko mogę! Nie będę miała dziecka bez wspomagania. Nie ma opcji, żebym teraz była w ciąży i o tym nie wiedziała. Mogę sobie darować ten cały plan, wydrukowany z amerykańskiej strony dla przyszłych mam. Mogę pić, palić, iść na basen bez obaw o jakieś bakterie, jeść sery pleśniowe i sushi, i do rana ćwiczyć na siłowni.

– Fajne uczucie, nie?

– Fajne – przytaknęła Daga. Po czym pokręciła głową. – Chujowe. Naprawdę chujowe uczucie, mówię ci.

Odwróciła się, żeby przyjaciółka nie zobaczyła łez, które stanęły jej w oczach. Ale Joanna i tak od razu zrozumiała, że sytuacja jest nadzwyczajna. Zerknęła na zegarek.

– To jak? Idziemy na to wino? – zapytała. – Zadzwoń do Krzyśka, dzieci na pewno już śpią... Tu na dole mają tylko jakiegoś

taniego sikacza, ale lepsze to niż nic...

*Piję z Aśką, nie czekaj na mnie.*

Igor wpatrywał się z niedowierzaniem w swoją komórkę. Przecież mieli razem pić szampana! I to nie byle jakiego! To miała być niespodzianka! Jej ukochane małże, szampan Krug... Kupił nawet truskawki na deser.

Planował, że zjedzą je w łóżku.

Albo w wannie.

*Mrrru.*

Dawniej taki SMS wystarczyłby w zupełności. W ciągu dziesięciu minut stanęłaby w progu naga i gotowa na wszystko.

*Ja też mrrru, ale Aśka chce pogadać. Nie czekaj. Sorki!*

Nie czekał więc ani chwili dłużej.

Opił swój sukces w samotności.

Zjadł ostrygi. Jej ulubione. *Sorki*. Nie można ich przecież wsadzić do lodówki i zjeść jutro. To nie polędwica albo żółty ser!

Zgniółł puste pudełko, otworzył kosz na śmieci... i zmienił zdanie. Zostawi je na blacie. Niech wie, co straciła, nie wracając do domu.

A miało być tak mrrru.

Włączył komputer, odpalił pocztę.

Od razu wyskoczyła przypominajka z kliniki. Jutro badania. Nie powinien pić tego szampana.

Na dnie butelki została już tylko odrobina. Wypił ją duszkiem, bez przelewania do kieliszka. Szampan to nie sok jabłkowy, też nie da się go zostawić do jutra w lodówce.

Nie powinien pić przed badaniami. W ogóle nie powinien pić. Plemniki, które będą wykorzystane w czasie in vitro, są właśnie na taśmie produkcyjnej.

I co z tego?

– Czy ktoś mnie pytał o zdanie? – powiedział głośno, patrząc na monitor. – Przecież mówiłem wyraźnie, że nie chcę mieć dzieci. Ustaliliśmy to, tak? I co? I nic. Nagła zmiana planów, proszę pana. Proszę się dopasować.

Następnego dnia obydwójce obudzili się z potężnym kacem.



Najdroższy szampan nie różnił się pod tym względem ani trochę od najtańszego wina.

– Trzeba jechać na badania – mruknęła Daga, mrużąc oczy.

– Przełożmy to na jutro. – Igor przykrył głowę poduszką. – Nie dam rady...

– Wstawaj! – Dagmara usiłowała ściągnąć mu ją z głowy. – Hej, naprawdę, musimy zrobić dzisiaj te wszystkie testy. Sam wiesz, że przez ten remont kliniki nie możemy marudzić z terminami...

– Nie chcę. – Igor wbił twarz w materac. – Myślałem, że zrobimy to dziecko tutaj, w sypialni, bez wysiłku... Że będzie miło...

– Jak wrócimy z badań, przyjdziemy do sypialni i będzie bardzo, bardzo miło. – Starła się, by jej głos brzmiał naprawdę obiecująco. – Przepraszam, że nie było mnie wczoraj... Musiałam wesprzeć Aşkę. Kierownik cały czas się jej czepia, że za mało się stara, że nie jest skupiona na pracy, że nawet w czasie koncertu myśli o dzieciach...

Igor słyszał to już wiele razy. Kierownik, zdaje się, czepiał się Joanny przy każdej okazji. Naprawdę, nic nowego...

– Musiałycie to omawiać akurat wczoraj? – mruknął. – Przecież wiedziałas, że finalizuję sprawy z biurem podróży.

– O nie... Zapomniałam! – jęknęła i znowu złapała się za głowę. – Tak mi przykro! Zupełnie zapomniałam, że to było wczoraj. I co? Udało się? Udało się, prawda? Skoro kupiłeś małże...

– Udało się, tak. – Usiadł z wysiłkiem na łóżku. – Wszystko się udało, wyszło nawet lepiej, niż planowałem. Biuro ma nowego inwestora, mediom sprzedamy to jako kolosalny sukces, a twój sprytny mąż zgarnie za to śliczną, sześciocyfrową sumkę. I kilka pięknych podróży...

Do tej pory o takich bonusach słuchali tylko w telewizji. Dostawali je ludzie będący na samym szczycie.

Teraz był tam także Igor.

Usiadła na nim okrakiem. Pocałowała w rozchylone usta.

– Fuj! – Odsunęła się z niesmakiem. – Naprawdę sporo wczoraj wypieś.

– Ty też. – Otarł wargi i wysunął się spod niej. – Idę pod prysznic. Skoro mamy zrobić te badania to chyba naprawdę musimy już jechać.

Weźmiemy taksówkę... żadne z nas nie powinno raczej prowadzić po takiej nocy.

– Mój samochód został pod pracą – przypomniała sobie Daga. – Muszę go potem odebrać... jak już trochę wytrzeźwiejemy. Podrzucisz mnie po południu?

– Jasne. – Uśmiechnął się. – I tak będę jechał do biura. Wezmę przy okazji jakieś vouchery wakacyjne, które zgarnąłem jako premię. Zdaje się, że obiecałem niechcący Frędzłowi i jego żonie, że zabierzemy ich na urlop. Myślisz, że powinienem dotrzymać słowa? Czy raczej mogę liczyć na to, że nie pamiętają, co mówiłem... albo, że nie potraktowali tego poważnie?

## ROZDZIAŁ 12 ZADOŚĆUCZYNIENIE

– Malta? – Monika miała wrażenie, że coś źle zrozumiała. – Chcecie zabrać nas całkiem za darmo na wakacje na Malte?

– Na jakąś małą wysepkę obok Malty. – Daga nie pamiętała jej

nazwy. – Tam nie ma nic specjalnego do roboty. Nic do zwiedzania. Tylko morze, skały i rybki wśród tych skał. Obydwoje uwielbiamy nurkować, dlatego Igor wybrał właśnie to miejsce. Ale jeśli wolicie coś innego...

– Nie, nie, ależ skąd. – Monika wciąż miała ochotę się uszczyplnąć, żeby sprawdzić, czy nie śni. – Wszystko nam odpowiada. Ale nie możemy narażać was na koszty...

– Jakie koszty? – prychnęła Daga. – Przecież Igor dostał te wyjazdy jako bonus przy przejściu biura. Nie może ich nikomu oddać, musi być jednym z uczestników... To jedyny warunek. A sami nie damy rady wykorzystać wszystkich voucherów. Mamy ich całą teczkę. Musielibyśmy nie chodzić przez rok do pracy, tylko podróżować...

– Nie ma mowy. – Mateusz zacisnął dłonie w pięści. Nie potrafił odmawiać swojej żonie, ale tym razem naprawdę musiał. – Nie chcę być mu za nic wdzięczny. Nie polecimy na tę Maltę.

– Na Comino – sprostowała Monika. Przez całe popołudnie oglądała w Internecie zdjęcia tej maleńkiej wysepki. Faktycznie, nie było na niej zupełnie nic. Czterech stałych mieszkańców... O ile te dane były jeszcze aktualne. Najmłodszy z nich skończył właśnie niedawno siedemdziesiąt lat. Do tego jeden policjant, kilka kiosków z hot dogami dla turystów przyplływających na parę godzin, żeby się pochłapać na plaży... Jeden hotel, kilkanaście domków, skały i bajeczne zatoczki z lazurową wodą.

– Oni coś będą za to chcieli – powtarzał Mateusz, krążąc po pokoju. – Nikt nie robi innym ludziom takich prezentów ot tak, bez żadnego celu. Ile to może być warte? Dwa tysiące? Pięć?

Raczej dziesięć. Albo piętnaście. – Monika nie powiedziała tego głośno, żeby go ostatecznie nie przestraszyć. Dagmara podesłała jej link do tego domku, w którym mieli mieszkać. Kilka parterowych willi stało w małej zatoczce. Pomiedzy nimi rozciągał się taras z basenem. Dwa kroki dalej zaczynała się bajeczna, rajska plaża. Tylko dla osób wynajmujących te domki. Inni turyści mogli jedynie popatrzeć na nią z daleka, przepływając zatłoczonymi stateczkami.

– Po co chcesz tam jechać? – Mateusz zobaczył, że argument

finansowy nie działa i sięgnął po kolejny. – Przecież nie umiesz pływać. Oni będą nurkować całymi dniami, a my co?

– Ty umiesz pływać. – Uśmiechnęła się ciepło. – Może polubisz nurkowanie? A ja mogę w tym czasie popłynąć statkiem na Gozo albo na Maltę... Tam jest dużo do zwiedzania. Piękne stare kościoły, urocze miasteczka. Zajrzyj do Internetu! A jeśli nie, to po prostu poleżę na plaży i poczytam książkę.

– A jedzenie? – Mateusz wrócił do finansów. – Wiesz, ile kosztuje obiad na takiej wysepce? Nie będzie nas stać nawet na kanapkę! Chcesz zabrać całą walizkę zupek chińskich?

– Myślałam już o tym – przyznała. – Ale Daga sprawdziła warunki... Mamy tam wykupiony cały pakiet. Będziemy jeść i pić od rana do nocy całkiem za darmo. W hotelu przy sąsiedniej zatoczce, pięć minut spacerkiem od naszego domu. Należy, zdaje się, do tego samego właściciela.

Mateusz odwrócił się do niej plecami.

Nie miał więcej argumentów. Wiedział, że wygrała. Że postawi na swoim. Tak naprawdę też bardzo chciał tam jechać. Nigdy w życiu nie zarobił na takie luksusowe wakacje na małej, rajskiej wysepce. Mógł sobie wyobrazić, jak cudownie będzie spędzić tam siedem dni i nocy. Patrząc na zachody słońca, pływać, a potem wysychać, siedząc na gorących skałach. Kiedyś, w studenckich czasach, był w Chorwacji. To były najlepsze wakacje w jego życiu. Rok później zrobił dyplom. Znalazł pierwszą pracę, na pół etatu. Wyprowadził się od mamy. I zaczęło się prawdziwe, dorosłe życie, kredyty i walka o to, żeby starczyło do pierwszego. Potem był już tylko w podróży poślubnej w Berlinie. I z uczniami w Wilnie, na wycieczce szkolnej.

– My w tym roku nie możemy pozwolić sobie nawet na wyjazd pod namiot, na weekend na Mazury – powiedziała Monika poważnym tonem. – A za rok... Za rok, jeśli wszystko pójdzie dobrze, będziemy mieli bardzo pracowite wakacje...

Musiała na moment przerwać. Wyobraźnia podsunęła jej obraz, który od tylu lat towarzyszył jej dzień po dniu. Szpitalna sala, ona z noworodkiem na piersi, zmęczona, ale szczęśliwa. On dumny, z jeszcze drżącymi rękoma, bo przed momentem przeciął pępowinę.

Po raz pierwszy od dawna mogła pozwolić sobie na snucie takich wizji. Bo znowu miała nadzieję, że się spełnią.

– Potrzebujemy odpoczynku – powiedziała. – To mogą być nasze ostatnie wakacje tylko we dwoje. Jedźmy i bawmy się dobrze. Skoro Igor naprawdę może nam to podarować... Mówiłeś, że był dla ciebie okropny, wtedy, w czasach szkolnych. Może potraktuj to po prostu jako zadośćuczynienie? On przecież na pewno też nie czuje się dobrze z tym, że wtedy cię dręczył. Może zaprosił nas właśnie z tego powodu?

– Chyba go przeceniasz – mruknął Mateusz. – A poza tym, skoro źle się z tym czuje, to wystarczyłoby powiedzieć mi „przepraszam”...

Ale tak naprawdę wiedział, że to czasami jest najtrudniejsze.

Jeśli więc Igor nie umie wydusić z siebie tego słowa... Jeśli w ogóle nie zamierza go powiedzieć... Cóż, może faktycznie warto potraktować ten wyjazd jako zadośćuczynienie?

Tylko czy po nim naprawdę zdoła uznać, że rachunki są już wyrównane?

## ROZDZIAŁ 13 JAK W RAJU

Przez siedem długich dni żyli jak w raju. Wstawali o wschodzie słońca, żeby popływać w najpiękniejszej i najsłynniejszej zatoczce Comino, zwanej Błękitną Laguną, zanim, tuż przed południem, do brzegu zaczęły dobijać dziesiątki statków, stateczków i łodzi, wypełnionych ciasno turystami. Wtedy przenosili się na swoją prywatną plażę, przy rzędzie parterowych domków. Oprócz nich była tam tylko para włoskich emerytów, trzy nierozłączne dziewczyny z Anglii, z identycznymi blond włosami do pasa i różowymi paznokciami... Istne siostry syjamskie! I jeszcze jakieś małżeństwo, którego pochodzenia nie zdołali ustalić aż do ostatniego dnia. Rzadko pojawiali się na plaży i w restauracji, nigdy nie korzystali z basenu. Przemykali jak duchy koło tarasu – i znikali.

– Pewnie kochają się całymi dniami – zgadywał Igor.

– Grają w kalambury – podsunęła Daga. – Albo w szachy. Tak, w szachy. Jedno z nich jest arcymistrzem, a drugie jego trenerem.

– Może piszą książki? Albo jakiś scenariusz? – Monika natychmiast włączyła się do zabawy.

Tylko Mateusz nie powiedział ani słowa. Wciąż nie czuł się na tej rajskiej wysepce komfortowo. Nie przywykł do objadania się przystawkami, branymi bez umiaru z ogromnego hotelowego bufetu, i wypijania jednego drinka za drugim, bez konieczności zapłacenia choćby złotówki. Nie umiał traktować tego, jak chciała Monika, jako zadośćuczynienia za prześladowania sprzed lat. Wciąż nie opuszczało go ponure przeświadczenie, że przyjdzie mu wyrównać rachunki... Że Igor... albo los... zażąda wysokiej ceny za ten tydzień pływania się w luksusie.

– Ten hotel też wypadałoby przejąć od właściciela i znaleźć mu nowego inwestora. – Igor, rzecz jasna, wcale nie uważał, że znajduje się w raju. Wciąż wyszukiwał nowe usterki oraz niedociągnięcia i zapisywał je w smartfonie. Zupełnie, jakby naprawdę zamierzał po powrocie do domu zająć się tym, co potrafił najlepiej: przechwyceniem słabo idącego interesu i znalezieniem kogoś, kto go dofinansuje... albo sprzedaniem go z zyskiem.

– Nauczę cię pływać – powiedział Igor do Moniki drugiego dnia przy kolacji. – Jestem w tym dobry, naprawdę. Przez całe studia dorabiałem jako ratownik.

Nie była pewna, czy chce spróbować. Nigdy nie bała się wody... ale nigdy też specjalnie jej do niej nie ciągnęło. Jej klasa nie załapała się w szkole podstawowej na zajęcia na basenie. W liceum należała do kółka turystyki górskiej i wykorzystywała każdą sposobność, żeby pojechać w Tatry. I tak jakoś, przypadkiem, po prostu nie miała okazji, żeby nauczyć się pływać.

– Idź – zachęcała ją Dagmara. – Idźcie na lagunę, jutro z samego rana, kiedy będzie puściutka. Tam jest płytko, nie ma fal... A woda tutaj jest taka słona, że wypycha cię w górę nawet, kiedy nie chcesz.

– Idź. – Mateusz pokiwał głową. – Głupio byłoby nie skorzystać z takiej okazji. Skoro Igor naprawdę ma kwalifikacje...

Kwalifikacje! Daga z trudem powstrzymała śmiech. Czy naprawdę trzeba mieć kwalifikacje, potwierdzone pięcioma dyplomami, żeby nauczyć dorosłą kobietę pływać w wodzie do kolan? No, ale Mateusz taki już był. Poukładany. Na wszystko musiał mieć papierek. Białe było białe, a czarne – czarne. Dobro i zło. Żadnej szarości. Trochę ją to śmieszyło, ale też, musiała przyznać, troszeczkę jej imponowało. Pewnie był świetnym dyrektorem szkoły.

Wyruszyli następnego dnia, kwadrans po wschodzie słońca. Cichutko zamknęli drzwi i szli wzdłuż basenu na palcach, żeby nie budzić Mateusza i Dagmary. A także włoskich emerytów, angielskich sióstr syjamskich i niezidentyfikowanej pary szachowych arcymistrzów.

Woda skrzyła się w porannym słońcu. Była zimna. Bardzo zimna. Monika zadrżała, robiąc krok w głąb laguny.

– Nie bój się. – Igor podał jej szybko rękę. – Chodź ze mną. Nie będziemy uczyć się na takiej płyciźnie...

Gdy leciutkie fale zaczęły obijać się o jej piersi, uznał, że są dostatecznie głęboko.

– Wyciągnij ręce, o tak... Prosto, swobodnie. – Poprawił jej łokcie i dłonie. – A teraz połóżysz się na wodzie. Przytrzymam cię. Niczego się nie bój. Zaufaj mi i swojemu ciału. Połóż się.

Nie była w stanie. Przekonanie, że zacznie tonąć, nagle ją

sparaliżowało.

Po kilku próbach była pewna, że Igor da za wygraną. Westchnie ciężko i przyzna, że nie każdego można nauczyć pływać...

On jednak uśmiechnął się tylko i powiedział:

– Zrobimy to inaczej. To nie będzie tradycyjna lekcja, ale skuteczna, przysięgam. Zobaczysz, że jesteś w wodzie lekka jak piórko. Stań na rozstawionych nogach. Świetnie. Połóż mi ręce na ramionach. Tak, jakbyśmy mieli razem tańczyć.

Niepewnie uniosła ramiona w górę. Był dużo wyższy od niej. Musiał się pochylić, żeby dosięgła.

– Bardzo dobrze. – Pokiwał głową. – Spleć palce, tak jakbyś za nic nie chciała mnie puścić... Już? Świetnie. A teraz zamknij oczy.

Nie chciała zamykać oczu. Czowała, że to podstęp. Że zaraz położy ją na wodzie, zanim zdąży zaprotestować.

– Zaufaj mi. – Jego głos był teraz niższy. Dużo niższy. Jakby chciał ją zaczarować.

Posłusznie zamknęła powieki.

Tylko na to czekał. Złapał ją za pośladki, unióśł je w górę i oplótł sobie biodra jej nogami.

– Co ty wyprawiasz?! – krzyknęła, odpychając go od siebie.

– Ciii... Zaufaj mi – powtórzył, robiąc krok w głębinę. I jeszcze jeden.

Zatrzymał się dopiero, gdy woda sięgała mu do brody.

Teraz już się nie wrywała. Oplotła go kurczowo nogami i rękami, próbowała wspinać się wyżej. Wiedziała, że jeśli go puści, nie będzie miała gruntu... Był wyższy co najmniej o dwie głowy.

– Zaczynamy lekcję? – Spojrzał jej w oczy z odległości może pięciu centymetrów.

Patrzył tak intensywnie... Zadrżała.

– Zaufaj mi – powtarzał to jak mantrę, wciąż tym niskim, aksamitnym głosem. – Rozpleć ręce. Nie bój się. Rozpleć je. Czujesz? Trzymam dłoń pod twoimi plecami. Wolno, bardzo wolno, będę cię opuszczał w tył... Pójdziemy na trochę płytszą wodę, o tutaj... Zaraz będziesz pływać...

Tym razem nie protestowała. Pozwoliła się prowadzić... Jak



w dziwnym tańcu, którego reguł nie znała. I już po chwili jej plecy unosiły się na wodzie, podczas gdy nogami oplatała wciąż z całej siły jego biodra. Wiedziała już, że naprawdę może mu zaufać. Trzymał ją za pośladki mocno, stanowczo... Może nawet mocniej, niż powinien?

Nie zauważyła, kiedy odgiął lekko jej lewą nogę... a potem prawą... Wyswobodził się z tego uścisku... Dopiero kiedy jedna z dłoni spod pośladków przesunęła się pod plecy... A potem nagle Monika przestała ją czuć...

– Unosisz się na wodzie! Brawo! – zawołał.

A ona zakrztusiła się z nerwów.

Szybko złapał ją, uniósł w górę i posadził sobie na biodrach, tak jak poprzednio. Przytulił, poklepał po plecach, żeby wypłuła całą wodę, która wpadła jej do nosa.

*Jak niemowlę po posiłku* – pomyślała, uśmiechając się do siebie, i oparła głowę na jego ramieniu.

Żadne z nich nie miało pojęcia, że z urwistego klifu po drugiej stronie laguny tę nietypową lekcję pływania obserwował przez lornetkę Mateusz. Jego oczy z każdą chwilą ciemniały z wściekłości.

– Umiem pływać! Naprawdę! Zaraz ci pokażę! – Dwie godziny później Monika przybiegła na taras przy basenie rozpromieniona i szczęśliwa. – Igor jest świetnym nauczycielem!

– Nie wątpię – wycedził Mateusz.

– Mówiłam ci, że się uda? – Dagmara uśmiechnęła się szeroko.

– Mrrru – wyszeptał Igor do jej ucha.

Podniosła się z leżaka, zamknęła książkę.

– Idziemy po maski – powiedziała, żeby usprawiedliwić nagłe zniknięcie. – Spotkamy się za kwadrans na plaży? Pokażesz nam, czego się nauczyłaś...

Bardzo dawno nie kochał się z nią z taką pasją. Nie poznawała go. Dosłownie zdarł z niej kostium. Jeden ze szwów trzasnął pod jego palcami. Nie pocałował jej, nie dotknął nawet jej piersi. Od razu podniósł ją do góry, posadził sobie na biodrach.

– Zaplec mi ręce na szyi. Spleć palce, jakbyś ze mną tańczyła.

O tak, mocno, o tak... – szeptał.

Nióśł ją, owiniętą nogami wokół jego bioder, przez cały pokój. Oparł ją plecami o szorstki, biały mur. Odsunął się odrobinę, odchylił i wszedł w nią gwałtownie, bez wahania, do samego końca.

– Aaa... aa – pisnęła.

To nie był jęk rozkoszy. Nie była jeszcze gotowa. Wprawienie umysłu... no i ciała... w ten szczególny, cudowny nastrój nie zajmowało jej wiele czasu i Igor doskonale o tym wiedział. Może liczył na to, że samo „mrrru”, wyszeptane do jej ucha, sprawi, że będzie wilgotna i gotowa na to, co chciał zrobić?

– Przesadziłeś – mruknęła. Minutę temu leżała koło basenu, czytając książkę! Nie była gotowa, jeszcze nie. – Boli! Igor! Słyszysz? Boli!

Słowo „boli” było w ich związku sygnałem alarmowym. Od zawsze. Robili już wiele rzeczy. Często bardzo niegrzecznych. Czasami ryzykownych. Mieli za sobą kilka miesięcy szalonych eksperymentów z gadżetami z sex-shopu. W niektórych zabawach miało być ostro... Nawet bardzo ostro. Ale jeśli którekolwiek z nich powiedziało „boli”, natychmiast przerywali.

Bolało ją wszystko.

Każdy jego ruch sprawiał, że czuła się, jakby chciał rozerwać ją na kawałki, wdrzeć się jeszcze głębiej... Głębiej niż to możliwe.

Każdy jego ruch sprawiał, że drobne kamyczki na hotelowej ścianie kaleczyły jej plecy.

A jego palce wbijały się w skórę Dagmary, wdzierały między pośladki, szarpały z jakąś pierwotną dzikością.

Poprawił jej zawieszony w powietrzu biodra, by wejść jeszcze dalej. O pół centymetra, centymetr... Jakby chciał przebić ją na wylot.

– Boli – powtórzyła głośniej.

Nie zareagował.

Poruszał się coraz szybciej. Zamknął oczy.

– A teraz... Zaufaj mi – powiedział niskim, nie swoim głosem.

Nagle oderwał jej plecy od ściany, podłożył pod nie dłoń, odwrócił się, zrobił dwa kroki i powoli opuścił ją w dół. Jej głowa i ramiona dotykały łóżka. Zarzucił sobie jej stopy na ramiona. Wyprężył się.

– O tak, wspaniale. Właśnie tak – wymruczał, wstrząśnięty nagłym dreszczem.

Tym razem nie doszli razem na skraj rozkoszy.

Igor, choć nie wiedział o tym nikt oprócz niego, znalazł się tam w innym towarzystwie. Jego dłonie, ściskające śniade, drobne ciało Dagmary, ściskały tak naprawdę zupełnie inne, jasne piegowate poduszeczki miękkiej, mokrej skóry...

Zaś Dagmara... Ona chyba jeszcze nigdy, chwilę po stosunku z Igorem, nie była tak daleka od spełnienia i radości. Była wściekła, zdumiona, obolała. Myślała, że wie o nim wszystko. A jednak nie. Po tylu latach mąż naprawdę ją zaskoczył, w najgorszy możliwy sposób.

Bez słowa wstała z łóżka i sięgnęła po ręcznik. Na pościeli została ciemniejąca z każdą chwilą kropla krwi.

Nie odzywała się do Igora, udając, że czyta.

On zaś cały czas schodził jej z drogi, pływając w ciemnych podwodnych jaskiniach, które zawsze napawały ją takim lękiem.

*Najwyraźniej ma dziś ochotę ryzykować i przekraczać granice* – pomyślała, zdziwiona. Dawno nie widziała go w takim nastroju.

– Uważajcie na te skały po prawej – zawołał Igor, nie wiadomo do kogo. – Dagmara straszenie się o nie podrapała.

Niby kto miałby tam popłynąć? Monika, której w zupełności wystarczał fakt, że poruszając lekko nogami i rękami unosi się na wodzie sięgającej do pasa? Napawała się tym osiągnięciem przez całe popołudnie, brodząc w zatoczce i wołając:

– Popatrzcie! Naprawdę umiem pływać!

Mateusz pływał znacznie lepiej. Nie zapuszczał się jednak pod skały. Wystarczało mu obserwowanie srebrzystych rybek, których pełno było w zatoczce. Nie lubił nawet wkładać maski. Wołał stać w wodzie do kolan i po prostu na nie patrzeć.

– Strasznie drapią, naprawdę! – zawołał Igor jeszcze raz i zniknął pod wodą.

Mateusz uśmiechnął się pod nosem.

Nie był idiotą. Widział plecy Dagmary rano, kiedy opalała się przy basenie. Wrócił zdyszany ze skałek... Chciał zdążyć przed Igorem

i Moniką. Nie przyznawać się, że ich szpieguje. Sam nie wiedział, dlaczego za nimi poszedł. Przecież ufał Monice bezgranicznie. Nie ufał za to Igorowi. W żadnej sprawie. Tak, to był powód... Bał się o Monikę. Bał się, że on tylko się przechwala. Że nigdy nie był ratownikiem i po prostu zrobi jej krzywdę.

Wrócił zdyszany i wściekły.

Szybko schował lornetkę, wziął ręcznik i przyszedł na taras przy basenie.

Dagmara akurat smarowała plecy olejkiem. Cudownie gładkie, czekoladowe plecy. Mógł przysiąc, że nie było na nich żadnego, najmniejszego choćby drapnięcia.

A teraz siedziała w cieniu, przykryta chustą.

*Gdzie oni to robili? – zastanawiał się. – Przecież nie wychodzili z domku ani na moment...*

Ze swojego leżaka miał dokładny widok na ich drzwi. Wydawało mu się, że słyszał jakieś głucho uderzenie, raz czy drugi... Jakby coś upadło. Przesuwali meble? Ale po co? I jakiś zduszony jęk. Powinni przynajmniej zamknąć okno!

Nie potrafił wyobrazić sobie seksu w hotelowym pokoju, po którym ma się plecy całe poorane czerwonymi, głębokimi śladami. Może wzięli ze sobą jakieś specjalne przyrządy? Ale do czego? Czyżby Igor lubił ją bić?

Nie miał pojęcia, co się tam wydarzyło. Ale widział wyraźnie, że Dagmara nie jest tym zachwycona. Jej oczy były zaczerwienione od łez. Miał ochotę podejść i pogłaskać ją po policzku. Ale oczywiście wiedział, że nie może tego zrobić.

## ROZDZIAŁ 14 ROZTOPIONE LODY

– Nie myśleliście nigdy o adopcji? – zapytała Dagmara, kiedy piły kawę. Siedziały na tarasie w hotelu, do którego chodzili na posiłki. Tym razem tylko we dwie. Mateusz czytał koło basenu, a Igor znowu zapuszczał się do podwodnych jaskiń, coraz głębiej i głębiej.

– Jasne, że myśleliśmy. – Monika uśmiechnęła się, dokładając sobie do miseczki jeszcze kulkę lodów. W ten upał mogłaby jeść lody na okrągło. Najlepsze na Comino były te prawie czarne, robione z gorzkiej czekolady... – Byliśmy w ośrodku adopcyjnym pół roku temu na spotkaniu wstępnym. Dowiedzieliśmy się, że będziemy co najmniej rok czekać na szkolenie, bo jest kolejka chętnych. A wiesz, żeby adoptować dziecko, trzeba przejść szkolenie, testy i rozmowy z psychologami, a potem przyjąć pracowników ośrodka i kuratora u siebie w domu, żeby sprawdzili, czy ma się dobre warunki.

– I co?

– No i okazało się, że możemy mieć z tym problem. Bo w naszym mieszkaniu nie ma osobnego pokoju dla dziecka. Kiedy rodzi ci się dziecko, nikogo to nie obchodzi. Możesz mieszkać z teściami i czwórka rodzeństwa w kawalerce. Ale przy adopcji wszystko musi spełniać normy. My ich nie spełniamy. Musielibyśmy zlikwidować sypialnię, spać na rozkładanej kanapie w salonie, a w sypialni zrobić pokój dla dziecka... W dodatku ta sypialnia jest na antresoli, schody są strome, a więc niebezpieczne... Trzeba by je było wymienić, a wtedy zajęłyby pół dużego pokoju i nie dałoby się rozłożyć kanapy... Albo

musielibyśmy się zgodzić na starsze dziecko. Dużo starsze, dla którego schody to nie problem. Na przykład dziesięcioletnie.

– Co takiego? – Dagmara żyła w przekonaniu, że domy dziecka pełne są biednych sierotek, tylko czekających na to, aż ktoś da im dom.

Tymczasem okazało się, że to biedni chętni muszą udowodnić, że będą idealnymi rodzicami, z idealnym domem... A potem czekają, aż trafi się jakaś sierotka.

– W domach dziecka jest pełno nastolatków... i maluchów z nieuregulowaną sytuacją prawną – wyjaśniła Monika.

– Co to znaczy?

– Takich, których rodzicom wciąż nie odebrano praw rodzicielskich, bo przysyłają kartki albo pojawiają się z wizytą raz w roku... A więc jest nadzieja, że kiedyś się zresocjalizują i znowu zajmą dzieckiem. Na niemowlęta czeka się latami. Zresztą, zanim skończylibyśmy szkolenie i tak bylibyśmy za starzy na niemowlę.

To była kolejna zaskakująca wiadomość. Dążono do tego, żeby różnica wieku między rodzicem a dzieckiem była „naturalna”. Czyli taka, jak zwykle między dzieckiem a jego biologiczną matką i ojcem. Najlepiej dwadzieścia pięć, trzydzieści lat. Nigdy nie więcej niż czterdzieści.

– Mateusz już skończył czterdziestkę... Ja kończę za kilka tygodni... Rok czekania na szkolenie, potem samo szkolenie, te testy, rozmowy, wizyty domowe. Kiedy dostaniemy kwalifikację, to znaczy trafimy na listę oczekujących, będziemy mieli czterdzieści dwa albo czterdzieści trzy lata. Potem znowu kilka lat czekania... Będziemy mieli szczęście, jeśli zaproponują nam dziecko z podstawówki. Chociaż, jak to od razu podkreśliła kierowniczką ośrodka, „gimnazjaliści też bardzo potrzebują rodzicielskiej miłości”.

– Trudno temu zaprzeczyć. – Dagmara uśmiechnęła się smutno. – Ale i trudno zostać matką przyszczatego, zbuntowanego czternastolatka.

– No wiesz, jest jeszcze druga możliwość... Ciężko chore dzieciaki, których nikt nie chce. Zespół Downa, mukowiscydoza, niepełnosprawność intelektualna... Rozmawialiśmy o tym długo. Ta kierowniczką ośrodka bardzo zachęcała. Mateusz jest pedagogiem, dyrektorem szkoły, ma doświadczenie w klasach integracyjnych. Są na

pewno nie miałyby żadnych obiekcji. On nawet byłby gotowy spróbować, ale ja... Może jestem złym człowiekiem, może kiedyś zmienię zdanie, ale nie potrafię się na to otworzyć.

Dagmara niezdarnie pogładziła ją po włosach.

– Ja też bym nie umiała – mruknęła. – Chore dziecko zmienia wszystko. Cały świat musi kręcić się wokół niego. Nie jestem Matką Teresą z Kalkuty, żeby wejść w coś takiego.

Zapadła cisza. Każda z nich grzebała łyżeczką w miseczce z lodami, które zdążyły już się roztopić. Kelner z szerokim uśmiechem wskazał im lodówkę. Można sobie wziąć nowe w każdej chwili...

– A adopcja zarodka? – rzuciła nagle Monika. – Rozmawialiście o tym z lekarzem? U nas temat śnieżynek to kolejne tabu, które muszę przepracować z Mateuszem zanim skończy się remont kliniki.

– Śnieżynek? – Daga widziała w Internecie to słowo na jakimś forum, ale nie mogła sobie przypomnieć, co miało oznaczać. – To są zamrożone komórki jajowe?

– Nie. – Monika roześmiała się, widząc jej minę. – To zarodki. Te, których nie zużyje się od razu przy in vitro. Wiesz, dzięki stymulacji... no, tym hormonom, które będziesz dostawać w zastrzykach przez dwa tygodnie... możesz wyprodukować strasznie dużo jajeczek. Poczytaj na forach, dziewczyny mają ich po osiem, dziesięć... Bywa, że nawet po dwadzieścia kilka... Jeśli wszystkie zostaną zapłodnione, do macicy transferuje się dwa albo trzy, a resztę zamraża się w ciekłym azocie. I tam czekają, aż będą potrzebne.

– Śnieżynki. – Dagmara uśmiechnęła się lekko. – Fajna nazwa.

– Niektórzy mówią jeszcze „mrozaczki”. – Monika chyba naprawdę przeczytała wszystko, co napisano na ten temat. – Ale ja wolę śnieżynki...

– Ja też. – Dagmara pokiwała głową, zamyślona. – I co? Można te śnieżynki adoptować?

– No tak, jeśli ktoś ma ich bardzo dużo... a nie zamierza urodzić drużyny piłkarskiej... Może się ich zrzec i oddać potrzebującym. Podobno zdarza się też kupowanie zarodków „na lewo”, poza kolejką... Bo oczywiście na nie też trzeba czekać, czasami ponad rok. A pewnie będzie dłużej... Bo przecież cały czas politycy majstrują przy tej

ustawie...

– Nie wiedziałam, że można adoptować zarodek... – przyznała Dagmara. – Albo oddać swój. Ja na pewno bym oddała, gdybym miała więcej niż jeden. Nie chcę mieć więcej dzieci. Nie mam na to czasu... Jedno w zupełności mi wystarczy.

Monika uśmiechnęła się pod nosem. Znała ten ton. Pamiętała doskonale tę nonszalancką pozę: jeśli nie będziemy mogli mieć dzieci, pojedę na tournée i zapomnę o całej sprawie.

Nie uwierzyła jej wtedy i nie wierzyła teraz.

Była przekonana, że Dagmara bardzo by się ucieszyła z bliźniąt albo i trojaczków. I że na pewno, kiedy już będzie czekać na transfer, nie poprzestanie na jednym zarodku.

– Wiesz, lekarze zwykle namawiają na przyjęcie dwóch albo trzech – wyjaśniła. – To znacznie zwiększa szansę na ciążę. Jeden zarodek może się nie zagnieździć, może mieć jakąś wadę... A z tych dwóch czy trzech i tak zwykle rozwija się tylko jeden.

– Zwiększa szansę... – Dagmara powtórzyła to w zamyśleniu. Nie chciała być matką bliźniaków. Naprawdę nie. Nie potrafiła sobie tego nawet wyobrazić. – A jeśli się nie uda to co? Mogą rozmrozić kolejne zarodki? I mi je wsadzić?

– Wsadzić! – Monika zachichotała. Widać było, że Daga wciąż się w tym wszystkim trochę gubi. Używała tylu śmiesznych słów! – Tak, jasne. Wtedy robi się transfer śnieżynek, już bez całego tego cyrku ze stymulacją hormonalną... Szybko, prosto... i znowu czekasz, czy się udało. Niestety, ja chyba nie będę miała tej drugiej szansy.

– Mateusz? – Dagmara odgadła od razu, gdzie leży problem.

Monika pokiwała głową.

– Ludzi nie wolno zamrażać. Powiedział, że nigdy na to pozwoli. Jeśli uda się wyhodować trzy zarodki, przyjmę je wszystkie. Przyjęłabym i cztery, ale lekarze na pewno się nie zgodzą. Taka ciąża to za duże ryzyko, zwłaszcza w moim wieku. Nie będziemy mieli żadnych śnieżynek. Jeśli się nie uda za pierwszym razem, pozostanie mi tylko adopcja. Gimnazjalisty albo zarodka. Chociaż na zarodek czekalibyśmy pewnie jeszcze dłużej niż na gimnazjalistę. Poza tym nie wiem, czy w ogóle Mateusz się zgodzi... Czyżby, że możemy rozmrozić



człowieka, uratować go przed tkwieniem w ciekłym azocie... Bo to chyba też jest niedopuszczalne, chociaż nie rozumiem dlaczego. Przecież wyciągnięcie takiej śnieżynki i danie jej szansy, by się rozwinęła to chyba dobry uczynek, prawda? Jestem pewna, że Bóg nie miałby nic przeciwko temu...

Ugryzła się w język. Nie chciała rozmawiać z Dagmarą o religii. Miała żelazną zasadę, że nie dyskutuje na ten temat z niewierzącymi, nie mówi im nic o swoich wątpliwościach.

– Przepraszam – powiedziała.

O dziwo, Daga od razu zrozumiała, że temat Boga ma uznać za zamknięty.

Uśmiechnęła i milczała przez chwilę. A potem powiedziała coś, na co żadna z nich nie była chyba przygotowana.

– Jeśli będę miała więcej śnieżynek niż trzeba... pięć, dziesięć, piętnaście... wszystko jedno. Jeśli uda mi się urodzić jedno zdrowe dziecko... Nie chcę mieć ich więcej. Naprawdę. Podpiszę zgodę na oddanie wszystkich pozostałych zarodków tobie i Mateuszowi. Igor też podpisze, jestem przekonana. Porozmawiam z nim o tym jeszcze dzisiaj.

– Ale... – Monika poczuła, że brakuje jej słów. Złapała dłońmi poręczę fotela, jakby miał odfrunąć. Świat wirował wokół niej. – Ale ty... Naprawdę...

– Naprawdę. Żadnego ale. – Dagmara wzruszyła ramionami, zupełnie jakby miała postawić Monice obiad albo wyprowadzić psa pod jej nieobecność. – To nic wielkiego. I tak byśmy je oddali, po co mają się marnować. Lepiej komuś bliskiemu niż obcym, nie? Skoro można sprzedać zarodki na lewo, tak jak mówiłaś, to chyba możemy powiedzieć klinice, że oddajemy wam, a nie komuś z listy? Jak myślisz? Żebyście nie musieli czekać w kolejce?

– Tak... tak... chyba możecie... To się nazywa adopcja ze wskazaniem. – Monika nie mogła się opanować. Chlipała, drżała, trzymała Dagmarę za rękę.

– Kobieto, przestań. – Daga znowu niezdarnie pogładziła ją po jasnych włosach, pokręconych we wszystkie strony po porannych kąpielach. – Bo zaraz pożałuję, że to zaproponowałam...

– Nikt nigdy w życiu... Nigdy nikt... – Monika łkała, przelykając

łzy. – Nikt nigdy nie zrobił dla mnie czegoś takiego...

– Ja też niczego nie zrobiłam. – Dagmara wzruszyła ramionami. – Na razie nie mam żadnych zarodków, ani nawet wyników badań... Może się okazać, że to wy będziecie mieli fantastyczne dzieciaki, a my ani dzieci, ani śnieżynek, ani nic...

– Mateusz nigdy się nie zgodzi na mrożenie zarodków. Nigdy. – Chlipała dalej Monika. – Ale gdyby się zgodził... Gdyby stał się cud... I gdybyśmy też mieli śnieżynki... więcej, niż możemy przyjąć... Wtedy będą twoje, obiecuję. Chociaż wiem, że nie ma na to żadnej szansy.

## ROZDZIAŁ 15 WOJTUŚ

A jednak cud, na który zdaniem Moniki nie było cienia szansy, zdarzył się tuż po powrocie z Comino.

Zadecydował, jak to często bywa w przypadku cudów, argument finansowy.

– Oczywiście, możecie się państwo nie zdecydować na zamrożenie

nadprogramowych zarodków. – Doktor Prusak pokiwał głową, gdy Mateusz wyłuszczył mu swoje racje. – Nie wiadomo, czy w ogóle będziemy mieli do dyspozycji taki nadmiar komórek jajowych, żeby rozważać taką możliwość. Pani wyniki nie skłaniają tu do przesadnego optymizmu. Stawiam raczej na dwa, maksymalnie trzy jajeczka. Ale jeśli będzie ich więcej... A państwo nie zdecydujecie się na stworzenie dodatkowych zarodków i ich zamrożenie... Cóż, w takim przypadku... jeśli pierwszy transfer się nie uda... musimy powtórzyć całą procedurę, stymulację hormonalną, punkcję jajników, odwirowanie plemników... Nie da się tego zrobić w kolejnym cyklu, trzeba dać organizmowi odpocząć kilka miesięcy. A w pani przypadku taki odpoczynek może odebrać nam jakiegokolwiek szansę... Może zacząć się menopauza... I wtedy niewiele już da się zrobić.

Menopauza!

Monika zadrżała, słysząc to słowo. Odsuwała je od siebie, kiedy tylko mogła. Wiedziała, że czai się za rogiem. Każdy miesiąc przybliżał ją do tego dnia, kiedy „niewiele już da się zrobić”.

– Test rezerwy jajnikowej, który u pani przeprowadziliśmy, daje nam naprawdę mało czasu. – Lekarz nie owijał w bawełnę.

– Ja nigdy... – Mateusz chciał powtórzyć swoje słynne „ja nigdy się na to nie zgodzę”, ale doktor Prusak nie dał mu dokończyć.

– Poza tym transfer zarodka, który mamy już gotowy, to sprawa szybka i niedroga – powiedział. – Natomiast powtarzanie całego cyklu zapłodnienia in vitro będzie kosztowało państwa znowu co najmniej jedenaście albo dwanaście tysięcy

Mateusz pobladł i nie powiedział ani słowa.

Odezwał się dopiero pod koniec wizyty w małym, prywatnym gabinecie, tak różnym od tego w klinice. Gdy Monika zebrała ze stołu wszystkie recepty i zanotowała dokładnie, które tabletki i kiedy ma przyjmować oraz gdzie zgłosić się na USG tuż przed końcem remontu, Mateusz poprawił się na krześle.

– Jeżeli tych jajeczek będzie dużo – powiedział bardzo, bardzo cicho, z wzrokiem wbitym w podłogę. Zupełnie jakby każde słowo sprawiało mu ból. – Jeżeli będzie ich więcej niż trzeba... Spróbujcie je zapłodnić. Wszystkie. Żeby zwiększyć nasze szanse. Nie mam już nic

przeciwno... przeciwno temu zamrażaniu.

Monika zerwała się z krzesła i pocałowała go prosto w usta. Goręcej niż kiedykolwiek wcześniej zdarzyło jej się przy ludziach.

Wiedziała, że przeszedł piekło, żeby to powiedzieć. Z miłości do niej. Po to, żeby była szczęśliwa.

Pocałowała go jeszcze raz.

– Życzę państwu wszystkiego najlepszego. Z całego serca. –  
Lekarz uśmiechnął się, a potem postukał palcem w korkową tablicę nad biurkiem, pełną kolorowych, radosnych fotografii. – Te wszystkie dzieci urodziły się dzięki in vitro albo adopcji zarodka. Mam nadzieję, że będę mógł dołączyć do mojej kolekcji państwa malucha... lub maluchy... już bardzo niedługo.

– Rozumiem, że nie chcesz jechać w przyszłym roku na tournée. Naprawdę. – Szef orkiestry próbował przywołać na twarz uśmiech. Wyszło mu to nie najlepiej. Zawsze, kiedy rozciągał usta w tym grymasie, kojarzył się Dagmarze z potężnym jaszczurem.

– Dziękuję – powiedziała, żeby jakoś przerwać milczenie, które zapadło w sali prób.

Najwyraźniej właśnie na to czekał. Uśmiechnął się jeszcze szerzej. Kąciki ust niemal dotykały jego uszu.

– A więc, tak, ja naprawdę cię rozumiem. Jesteś na tym etapie, że takie chałtury mogą cię już nie interesować. Dziwne, że nie obchodzą cię też pieniądze, które się z tym wiążą. Do tej pory raczej nimi nie gardziłaś...

– Ja po prostu... – Daga próbowała wymyślić szybko jakieś wiarygodne wyjaśnienie.

Niepotrzebnie.

Kierownikowi nie chodziło wcale o Azję i Amerykę Północną.

– Nie rozumiem jednak, jak możesz rezygnować z koncertu w Londynie!

Ach, więc to w tej sprawie kazał jej zostać po próbie!

No tak, jasne, spodziewała się tego.

– A może nie wpisałaś się na listę przez pomyłkę? – Zbliżył do niej twarz, przeszył ją swoimi małymi, świdrującymi oczkami. Jego usta

zacisnęły się tym razem w wąską kreskę. – Może tak naprawdę wybierasz się z nami do Anglii?

– Nie – powiedziała, spuszcżając wzrok.

– Nie? Niiiii? – warknął, pochylając się gwałtownie. – Moja droga, czy zdajesz sobie sprawę z tego, co mówisz? To jest wyjątkowe wydarzenie. Szansa, na którą wielu twoich kolegów czekało przez całe życie, bez skutku. Nie rozumiem, nad czym chcesz się zastanawiać!

Wzięła głęboki oddech. Wiedziała, co nastąpi za chwilę.

Widziała już takie wybuchy wulkanu. Najczęściej ich ofiarą była Aśka.

Musiała użyć dwóch słów, których kierownik nienawidził najbardziej na świecie. Naprawdę musiała.

Jeszcze jeden oddech.

– Przykro mi. Ja po prostu... Przepraszam, zatrzymują mnie sprawy prywatne.

To były właśnie te dwa zakazane słowa. Sprawy prywatne.

Jego krzyk mógłby rozkruszyć ścianę.

– Sprawy prywatne?! – ryknął. – Sprawy prywatne są ważniejsze niż TAKI koncert???

Stała spokojnie, bez słowa czekając na koniec tego wybuchu.

– Sprawy prywatne, też coś! – powtórzył jeszcze głośniejsze.

Czekała dalej.

– Będziesz tak stać? – Czyżby tym razem to była zła taktyka? – Nie zamierzasz powiedzieć nic więcej? Spróbuj, może zrozumiem. Są pewne sprawy prywatne, które naprawdę mógłbym zaakceptować. Może ktoś ci umarł? Nie? Nie tym razem? A może ty sama jesteś umierająca? Nie? Tak myślałem... Nie wyglądasz, jakby coś ci dolegało.

*To jest mobbing – pomyślała. – Cholerny mobbing w czystej postaci. Powinieneś iść siedzieć, sukinsynu.*

– A może rodzisz dziecko, co? Akurat w dniu koncertu? Chyba też nie?

*O chlebie i wodzie, w ciemnej celi, na pryczy, na której roi się od wszy... Tylko te obrazy, podsuwane jej przez wyobraźnię, pozwalały Dagmarze nie wrzasnąć: „Zamknij się”.*

– Nie rodzisz dziecka? Nie masz pogrzebu męża? Ani operacji na

otwartym sercu? No to bardzo mi przykro, nie masz już żadnego wyjaśnienia.

Roześmiał się najbardziej obrzydliwym, wrednym śmiechem, jaki słyszała.

Łzy rozsadzały jej czaszkę. Zaciskała palce, wbijała sobie paznokcie w dłonie, żeby tylko nie dać mu tej satysfakcji i nie rozplakać się tu, na środku sali prób.

– To tylko dwa tygodnie! Jak darmowe, luksusowe wczasy w Londynie! Nie rozumiem, co cię powstrzymuje!

Czekał, aż mu powie. Chciał, żeby skamlała, wyjawiając swoje najskrytsze tajemnice.

Niedoczekanie! Nie da mu tej satysfakcji!

Stała na środku bez słowa, patrząc w skupieniu na ciemną plamę na ścianie. Przysięgłaby, że nie było jej tu jeszcze wczoraj.

– Jesteś potrzebna i już. Musisz jechać. Wszystko inne może poczekać – rzucił wściekle i wyszedł na korytarz.

Drzwi trzasnęły tak, że aż z futryny posypał się biały tynk.

Dagmara opuściła wzrok na pulpit z nutami, z jej oczu nareszcie płynęły łzy. Teraz, kiedy była w pomieszczeniu całkiem sama, nie musiała już ich powstrzymywać.

– Ja nie mogę czekać – chlipnęła rozpaczliwie. – Nie mogę! Biorę leki, mam zaplanowany każdy dzień, za tydzień zaczynam te cholerne zastrzyki w brzuch. I co? Wyprodukuję moje śliczne, tłuściutkie komórki jajowe na środku Hyde Parku? Albo pod Big Benem? I co tam z nimi zrobię?

Monika kolejne tygodnie pamiętała jak przez mgłę. Najpierw przyjmowała tabletki, a potem zastrzyki w brzuch. Mateusz robił je sam, żeby zaoszczędzić na wizytach w przychodni.

– Oszczędzamy też czas – tłumaczył jej, kiedy wiła się z bólu, a on próbował wbić igłę pod większym kątem.

Czas? Czasu mieli aż za dużo. Wlókł się niemiłosiernie. Marzyła o tym, by przyspieszyć zegar... dostać do ręki ostatnie wyniki badań, iść na USG... potem na drugie... i wreszcie usłyszeć, że ma zielone światło na robienie punkcji jajników. Już, natychmiast, za kilka godzin. Nie

miała już siły czekać.

– Gdyby nie rozmowy z tobą, chyba bym zwariowała – mówiła, siedząc na szarej kanapie Dagmary, z kolanami podciągniętymi pod brodę.

Igora nie było w domu.

Daga tego dnia miała tylko wyjątkowo długą poranną próbę. Powinna po niej ćwiczyć w domu, oczywiście... Za dwa dni czekał ich orkiestrę naprawdę wyjątkowy koncert. Światowa premiera, transmisja na całą Europę... Nie można sobie było pozwolić na żadną wpadkę. Nikt nie mógł, a najbardziej ona. Powinna rozłożyć nuty i grać, od rana do wieczora. Ale nie miała siły.

– Przez te hormony jestem cały czas zmęczona. I chce mi się płakać – mruknęła.

– Przejdzie ci, jak zaczniesz brać zastrzyki – powiedziała Monika z uśmiechem. – Wtedy będziesz tylko wkurzona na Igora, że źle wbija igłę.

– Igor miałby wbijać mi igły w brzuch? – Daga potrząsnęła głową. – Chybaby zemdlał na samą myśl o zrobieniu czegoś takiego! Już umówiłam się z pielęgniarką, która chodzi w tej okolicy na wizyty prywatne. Będzie wpadać codziennie.

No tak. Właśnie tak. Pieniądze szczęścia nie dają, ale ułatwiają wiele spraw. Monika po raz kolejny uświadomiła sobie, jak wiele mądrości jest w tym powiedzonku.

Monika zaczęła całą procedurę siedemnaście dni wcześniej niż Dagmara. Znowu wiedziała więcej i mogła opowiadać jej szczegółowo, czego ma się spodziewać na kolejnych etapach.

– Ja będę czekać na transfer zarodków, a ty już będziesz znała wynik testu ciążowego. – Daga westchnęła z zazdrością.

Jej też zaczynały się dłużyć te przygotowania do godziny zero. Bardzo chciała mieć to już za sobą.

Wszystko potoczyło się jednak zupełnie inaczej, niż planowały.

– Mam złe wiadomości. – Doktor Prusak spojrzał poważnie na Monikę. – Żadna komórka jajowa nie nadawała się do zapłodnienia.

Zrobiło jej się ciemno przed oczami. Wbiła palce w kolano

Mateusza, po twarzy płynęły jej łzy.

– Czy to już koniec? – zapytała przez ściśnięte gardło.

– Nie, ależ skąd. – Uśmiechnął się lekarz. – Zmienimy leki, które pani podajemy... i spróbujemy jeszcze raz. Ale za dwa albo trzy miesiące. Organizm musi odpocząć po tej stymulacji. A państwo będziecie mieli czas na zebranie funduszy na drugą próbę.

Czuła, że nadzieja, która nagle się pojawiła, gaśnie na zawsze. Że już nic nie uda się zrobić, że nawet jeśli jakimś cudem pożyczą pieniądze, za dwa miesiące będzie tak samo... i za następne dwa... Chyba że... Przypomniała sobie nagle tamtą rozmowę na Comino.

– A jeśli się nie uda? – zapytała. – Czy moglibyśmy adoptować zarodek?

Mateusz podniósł na nią wzrok.

Lekarz też.

– Mamy znajomych... przyjaciół... dobrych przyjaciół – chlipnęła. – Obiecali, że oddadzą nam swój, nadmiarowy.

– Mają zdeponowane zarodki w naszej klinice? – Doktor Prusak zajrzał do komputera. – Jeśli tak... I jeśli obydwoje wyrażają zgodę... to oczywiście, nie muszą państwo czekać w kolejce.

– Nie mają jeszcze żadnych zarodków – przyznała Monika. – Są dopiero w trakcie stymulacji. Za dwa tygodnie czeka ich punkcja jajników. Ale są zdrowi, mają lepsze wyniki badań... Ona jest znacznie młodsza ode mnie... i na pewno ma dużo większe szanse...

– Coś ty znowu wymyśliła? – Mateusz napadł na nią od razu na pachnącej nowością, świeżo odmalowanej klatce schodowej.

– Słyszać cię w całej klinice – mruknęła Monika. – Mów trochę ciszej.

– Tak cicho jak ty? Żeby w ogóle nie było mnie słyszać? – krzyczał coraz głośniejsze. – Kiedy zamierzałaś mi powiedzieć, że będziemy wychowywać dziecko Igora i Dagmary? Za tydzień? Za miesiąc? A może dopiero po porodzie?

– Zapomniałam ci powiedzieć – jęknęła.

To oczywiście nie była prawda. Chciała mu powiedzieć od razu wtedy, na Comino. Po tamtej rozmowie z Dagą, nad roztopionymi lodami, czuła się taka lekka i szczęśliwa. Biegła wzdłuż basenu, żeby



opowiedzieć mu o wszystkim, gdy nagle minął ją Mateusz. Wyszedł z domku Igora i Dagmary, nie było cienia wątpliwości. Był wściekły. Chyba nawet jej nie zauważył. Minął plażę i poszedł dalej, na urwiste skały. Usiadł na jednej z nich i zaczął bujać się jak dziecko z chorobą sierocą.

Nie odważyła się podejść.

Czekała, aż minie mu złość.

– Pokłóciłeś się z Igorem? – zapytała wieczorem, kiedy układał się koło niej do snu.

– Ja? Ależ skąd. – Zaśmiał się cierpko. – Nie mam chyba żadnego powodu, żeby się z nim kłócić, prawda?

– Skąd mam wiedzieć? – mruknęła i odwróciła się do niego plecami.

Najwyraźniej jeszcze mu nie przeszło.

– Chciałam ci powiedzieć. – Westchnęła, kiedy wyszli na parking. – Ale wiedziałam, że się wściekniesz. A poza tym to tylko taka opcja... Plan awaryjny... Na razie naprawdę nie ma co zawracać sobie nim głowy.

– Opcja? Plan? Plan A, B i C? – Zaśmiał się stanowczo za głośno. – Widać, że za dużo przebywasz z Dagmarą. Zrobiła ci wodę z mózgu. Dziecko to dziecko, a nie plan! Nie można ot tak, dać koleżance zarodka, bo ja mam dwa, a ona żadnego. To nie kanapki ani długopisy! Nie można, rozumiesz!? Nigdy się na to nie zgodzę.

Słyszała to zdanie już wiele razy.

I była pewna, że gdy przyjdzie czas i w tej sprawie Mateusz zmięknie... O ile będzie trzeba.

Miała nadzieję, że nie będzie. Że druga stymulacja przyniesie efekty w postaci pięknych komórek jajowych.

Nie chciała wiele. Jednej, może dwóch.

Czy naprawdę prosiła o zbyt dużo?

Po powrocie do domu natychmiast zadzwoniła do Dagmary. Opowiedziała jej o wszystkim, co wydarzyło się w klinice... O wszystkim, oprócz rozmowy o adopcji zarodków. Nie chciała jej

przestraszyć. W końcu jaką miała pewność, że wtedy na Comino, Daga mówiła poważnie?

– Tak mi przykro, że się nie udało. – W głosie Dagmary naprawdę było słycać smutek. – Ale przecież będzie kolejny cykl, inne leki... I piękne jajeczka! Zobaczysz!

Monika mruknęła coś niewyraźnie w odpowiedzi, a potem podjęła decyzję. Okazja sama pchała jej się w ręce.

– Mateusz ma pojutrze urodziny – powiedziała. – Chciałabym zrobić mu niespodziankę... Wpadniecie do nas na podwieczorek?

Podwieczorek? Dagmara po raz ostatni słyszała to słowo chyba w przedszkolu.

– Jasne, z przyjemnością – odparła szybko.

Naprawdę cieszyła się na to spotkanie. Nie chciała zawracać Joannie głowy swoim in vitro. Przyjaciółka i tak miała za dużo kłopotów. Jej synek znowu chorował, teściowa nie miała ochoty się nim opiekować, a kierownik orkiestry oczywiście nie usprawiedliwił nieobecności z powodu takich drobiazków jak konieczność zostawiania z dzieckiem w domu. Aśka sama potrzebowała wsparcia, nie było sensu obciążać jej jeszcze swoimi problemami.

Tak, naprawdę dobrze będzie spotkać się z Moniką i Mateuszem. Dobrze będzie porozmawiać z kimś, kto przeżywa to samo.

Igor wcale nie był zachwycony tą wizytą.

– Mam tyle pracy – jęknął. – Nie możesz iść beze mnie?

Spojrzała mu głęboko w oczy.

– To urodziny Mateusza – powiedziała. – Na pewno twoja obecność ucieszy go bardziej niż moja.

– Moja obecność? – Igor roześmiał się cierpko. – Wiesz, czasami zastanawiam się, jak on w ogóle ją znosi. Po tym wszystkim, co wywinęliśmy mu z Piotrkim... On chyba jest z tych ludzi, o których mój dziadek mawiał „plujesz mu w twarz, a on mówi, że deszczyk pada”.

Daga nie była przekonana, czy to trafny opis. Mateusz wcale nie wyglądał, jej zdaniem, na człowieka, który przyjmuje obelgi na klatę i natychmiast o nich zapomina.

– Myślę, że on do dziś pamięta każdy głupi dowcip, który mu zrobiliście... I analizuje je wszystkie po nocach – mruknęła. – Lepiej go odwiedź, naprawdę. Oni chyba potrzebują naszego wsparcia. Ta wiadomość z kliniki na pewno ich przygnębiła. Wpadniemy na krótko, dobrze? Na godzinę albo półtorej... Potraktuj to jako zadośćuczynienie za te numery, które mu wykręcaliście.

– Zadośćuczynienie? – prychnął Igor. – Co za słowo? No ale dobrze, już dobrze... Skoro uważasz, że naprawdę powinienem...

Podwieczorek-niespodzianka toczył się miłym, łagodnym rytmem. Wypili paskudnego szampana dla dzieci... Bo co prawda Monika i Mateusz mieli chwilowo wolne od starań o ciążę i mogliby otworzyć butelkę wina... zwłaszcza Monika, która nie musiała dbać o plemniki, produkowane około stu dni... ale dla Dagi i Igora zbliżała się godzina zero. Nawet lampka szampana mogła przesądzić o powodzeniu – lub fiasku – całej operacji „Dziecko”.

– Słyszałeś, co nasze żony ustaliły na Comino? – zapytał nagle Mateusz. – Ja dowiedziałem się dopiero kilka dni temu.

Miał nadzieję, że uda mu się zaskoczyć Igora. Zmazać mu z twarzy uśmiech wszystkowiedzącego i wprawić go w prawdziwe osłupienie.

Nie udało mu się.

– Daga od razu mi wtedy powiedziała – mruknął Igor. – Przybiegła z tej kawy... One chyba wtedy piły kawę tam, w hotelu, prawda? A więc, przybiegła, szalenie rozbawiona, i oświadczyła, że znalazła dom dla naszych nadmiarowych śnieżynek. Słyszałeś kiedyś taką głupią nazwę? Śnieżynki! Też coś!

Mateusz ugryzł się w język, żeby nie powiedzieć, że jego zdaniem problemem nie jest nazwa ale to, że ktoś zamraża ludzi... W ciekłym azocie! Na wiele lat! Często nawet na zawsze!

Po co w ogóle zaczął tę rozmowę? Nie chciał przecież psuć sobie humoru, nie teraz, nie w swoje urodziny!

Igor też wolał zmienić temat. Nie lubił przypominać sobie tego dnia nad morzem. Zupełnie stracił głowę po tej lekcji pływania z Moniką. Kto by pomyślał, że w taki stan wprawią go jej niedoskonałe, zbyt obfite kształty, piegowata twarz bez cienia makijażu, dłonie

z obciętymi na krótko, niepomalowanymi paznokciami.

Była tak różna od Dagmary. Tak różna, że był gotów rzucić się na nią w tym ciepłym, słonym morzu.

Powstrzymał się, rzecz jasna. Monika chyba niczego się nie domyśliła. Była taka ufna i szczęśliwa, że unosi się na wodzie.

Za to Daga... Posunął się za daleko. Potraktował ją jak... jak... Potraktował ją tak, jak w żadnej sytuacji nie powinien traktować własnej żony. Był brutalny. Nie obchodziły go jej potrzeby. Czuł, że musi to zrobić od razu, natychmiast. Miał przed oczyma Monikę. Czuł wciąż pod palcami jej skórę. Kochał się z Dagmarą, ale widział Monikę... Jej dotykał... z nią próbował stopić się w jedno, choć na krótką chwilę.

Wiedział, że Daga łatwo nie daruje mu takiego poniżenia. I tego, że nie zareagował na ich święte słówko „boli”. To chyba przeraziło ją najbardziej.

Wybiegła z domku, najpierw na taras przy basenie, a potem na kawę z Moniką, do hotelowej kawiarni.

Był przekonany, że nie odezwie się do niego do wieczora.

A jednak... nie.

Wróciła z tej kawiarni rozchichotana jak nastolatka.

– Obiecałam Monice śnieżynkę – powiedziała. I zaczęła się śmiać, widząc jego zdumioną minę. – To znaczy... No wiesz... Nasz zamrożony zarodek. W razie, gdybyśmy wyprodukowali ich za dużo.

Zarodek... Jego zarodek w ciele Moniki... Poczuł nagły przypływ podniecenia. Jak kilka godzin temu, w skrzęcej się w promieniach wschodzącego słońca wodzie laguny.

Chciałby wyprodukować ten zarodek z nią osobiście... Bez żadnych próbek, mikroskopów i zastrzyków w brzuch.

– Zgadzasz się na to, prawda? – Głos Dagmary przywołał go wtedy, na Comino, gwałtownie na ziemię. Nie był nawet pewny, o co pytała.

– Zgadzasz się? – powtórzyła. – Oddamy im zarodek albo dwa... Te, z których nie skorzystamy.

– Jasne, jasne. – Pokiwał głową. – Przecież nie będziemy ich kolekcjonować!

– No to świetnie. – Daga uśmiechnęła się z zadowoleniem, po

czym zabrała poduszkę i poszła spać na taras.

I nie odzywała się do niego aż do następnego dnia.

Dopiero, gdy o wschodzie słońca szykowali się na nurkowanie, wyciągnęła do niego rękę.

– Nie będę sobie psuć urlopu tym, że zachowałeś się jak dupek – powiedziała. – Ale pamiętaj: słowo „boli” oznacza „stop”. Zawsze. Jeśli złamiesz tę zasadę jeszcze raz, zmieni się wszystko między nami.

Wszystko, rozumiesz?

Nie był pewny, co może mieć na myśli. Ale na wszelki wypadek pokiwał głową.

Wiedział, że przegiął. I że nie powinien wdawać się już w żadne dyskusje.

– Powiedziała ci już tam, na Comino, co ustaliły? – Mateusz patrzył na niego z dziwnym napięciem.

– Jasne, możecie wziąć nasz zarodek. Albo kilka zarodków. Nie ma sprawy. – Igor się uśmiechnął. – Chcesz? To będzie nasz prezent urodzinowy.

Daga i Monika nagle umilkły. Zauważyły, że składane są jakieś obietnice.

Daga szybko wyjęła komórkę i zbliżyła twarz do twarzy swojego męża. Wycelowała smartfona mniej więcej w tym kierunku.

– Halo, halo! Ziemia do Mateusza! – zawołała do kamerki w telefonie, roześmiana od ucha do ucha. – Mamy tu dla ciebie prezent z okazji urodzin. Niewidzialny, ale prawdziwy. Nasze zarodki! Jeśli tylko będziemy je mieli, bierz ile chcesz.

Igor też patrzył w kamerkę i miarowo kiwał głową.

– Wyślecie mi ten film? – Monika uśmiechnęła się lekko. – Będzie do rodzinnego archiwum... Nikt nigdy nie dał nam nic równie cennego. Naprawdę.

Dagmara obróciła telefon i filmowała teraz Monikę, wygłaszając podziękowania. I bardzo speszoną.

– Dziękujemy – powiedziała już po raz trzeci. Powinna chyba dodać coś jeszcze? – My też, w razie potrzeby oddamy wam śnieżynkę... albo dwie... Jeśli zdarzy się cud i będziemy je mieli.

Prawda, Mateusz?

Komórka zachybotała się w dłoni Dagmary i wreszcie była gotowa do filmowania Mateusza. Ale on nie zamierzał wygłaszać długiej przemowy.

Przełknął nerwowo ślinę.

– Dziękuję za życzenia. I potwierdzam: jeśli zdarzy się cud, chętnie oddamy wam zarodek. Właśnie wam. To chyba byłoby najmniejsze zło?

– Rozejrzył się po pokoju. Nie znosił tych wszystkich selfie i wbudowanych kamerek. Telefon miał służyć po prostu do dzwonienia. A teraz... eeee... Wyłączycie to wreszcie? Monika upiekła bajeczny tort czekoladowy...

Tydzień później na Dagmarę i Igora też czekała w małym prywatnym gabinecie na przedmieściu niespodzianka. I też, tak jak w przypadku Moniki i jej męża, niestety nie okazała się przyjemna.

– Mamy problem z państwa testami genetycznymi – powiedział lekarz, marszcząc czoło. – Nie wspominaliście państwo o żadnych chorobach dziedzicznych, a jednak wyniki pokazują co innego. Musimy chyba uważnie prześledzić oba drzewa genealogiczne. Mówiła pani, że rodzice nie żyją, tak? Na co umarła pani mama?

– Zginęła w wypadku samochodowym. – Daga wzruszyła ramionami, trochę zirytowana. – Nie można tego chyba odziedziczyć w genach, prawda?

– Raczej nie. – Doktor Truszczyński ze zrozumieniem pokiwał głową i zapisał coś w komputerze. – A tata?

Znowu wzruszyła ramionami. Nie była pewna. Nie pamiętała swojego taty.

– Byłam bardzo mała, kiedy umarł. To był wylew... Tak, na pewno. Nigdy nie rozmawiałam o tym z mamą, ale pamiętam to słowo. Często je słyszałam.

Nie rozumiała, co do jej ciąży ma śmierć rodziców. Wylewu chyba też nie można odziedziczyć? Jakieś skłonności, owszem.. Ale jeśli dziecko będzie jadło dużo warzyw, będzie uprawiać sport i nie będzie otyłe... Wtedy chyba nie grozi mu wylew ani zawał?

– Czy ma pani rodzeństwo? – Lekarz wciąż wpatrywał się

w komputer.

– Mam starszą siostrę. – Uśmiechnęła się lekko. – Zdrową jak ryba. Ma dwie śliczne córeczki. Zdrowe i energiczne. Mogę pokazać panu zdjęcie na dowód, że nie kłamię.

– Nigdy nie powiedziałem, że pani kłamie. – Doktor Truszewski zdjął okulary i spojrzał jej prosto w oczy. – Po prostu niemal każda rodzina ma swoje małe medyczne sekrety... Choroby, o których nikt nie mówił, bo wydawały się nieważne... Albo takie, których nigdy nie zdiagnozowano... Właśnie z takim przypadkiem możemy mieć do czynienia u pani. Rozumiem, że nie ma pani braci... Ani nigdy nie miała?

– Miałam brata. – Boże, chyba po raz pierwszy w życiu powiedziała to na głos, tak całkiem po prostu.

Igor spojrzał na nią zaskoczony. Czy to możliwe, że jemu też nigdy o tym nie opowiadała? Mówiła, na pewno... Była pewna, że mówiła... Wspominała, przy okazji oglądania starych zdjęć. Może zapomniał?

– To było tak dawno. Pamiętam go jak przez mgłę. Był bardzo mały, kiedy umarł. To chyba był też jakiś wypadek...

Pojechała do Marleny bez zapowiedzi. Nie miała siły rozmawiać o tym przez telefon. Wiedziała, że to nie będzie łatwa wizyta. Nigdy nie rozmawiało się w ich domu o śmierci Wojtusia. W albumie były tylko dwie czy trzy jego fotografie. Chciała zapytać mamę... Zbierała się do tego wiele razy... Nie zdążyła.

Marlena była od niej o trzy lata starsza. Powinna wiedzieć... A przynajmniej pamiętać... choć trochę więcej.

Córeczki siostry, Isia i Mysia, jak kazały do siebie ostatnio mówić, od razu wpakowały się jej na kolana.

– Ciociu, dlaczego tak rzadko do nas przychodzisz?

– A gdzie jest wujek?

– Przyjdź następnym razem z wujkiem!

– Tak, z wujkiem, koniecznie! Wujek Igor jest taki fajny! Prosimy! Tak fajnie udaje zębatego ducha!

– Ciociu, pobawisz się z nami? Mamy nowe lalki, którym zgina się talia! I nogi w kostkach! Dostałyśmy na urodziny!

Szlag!!! Zapomniała o ich urodzinach. Drugi rok z rzędu! Nic dziwnego, że Marlena nie była zachwycona, widząc ją nagle w progu.

– Ja też mam dla was niespodziankę na urodziny – powiedziała w panice.

– Jaką?

– Jaką?

– Daj ciociu! Daj, prosimy!

– Nie mam jej tutaj. – Jej myśli pędziły nerwowo we wszystkie strony jednocześnie. – Zobaczycie ją w sobotę. O ile mama pozwoli mi zabrać was na pół dnia na małą wycieczkę...

– Mamo!

– Mamo, pozwolisz? Powiedz, że pozwolisz!

– Mamo, słyszałaś? Ciocia wcale nie zapomniała o naszych urodzinach! Niepotrzebnie płakałaś!

Szlag by to trafił. Nie mogła trafić gorzej z tą wizytą... I poważnymi pytaniami, które chciała zadać Marlenie.

– Porozmawiam o tym z waszą mamą. – Uśmiechnęła się do dziewczynek, zdejmując je z kolan. – Ale musicie na chwilę zostawić nas same.

– Ale ciociu...

– Miałaś się z nami pobawić nowymi lalkami... Obiecałaś!

Dwie małe buzie wygięły się, jak na komendę, w identyczne podkówki.

– Idźcie do pokoju – powiedziała poważnie. – Za moment do was przyjdę. Obiecuję. Muszę teraz porozmawiać z waszą mamą. Sama. Zrozumiano?

Coś w jej głosie kazało Marlenie przestać się boczyć i potraktować ją poważnie.

Odprowadziła dziewczynki do pokoju i zamknęła drzwi.

– Chyba nie zamierzasz rozmawiać ze mną o niespodziance dla moich córek? – Odgadła od razu. – Zabierz je gdzie chcesz, będą szczęśliwe nawet, jak pójdą z tobą na plac zabaw. Zgadzam się na wszystko. A teraz mów, co masz za sprawę niecierpiącą zwłoki...

– Chodzi o Wojtusia – wyrzuciła z siebie Dagmara jednym tchem. – Muszę wiedzieć, na co on umarł.



## ROZDZIAŁ 16 NIESPODZIANKA

Ciszę, która panowała w gabinecie można było kroić nożem. Oddychała głęboko, próbując przygotować się na rozczarowanie. Na pewno coś będzie nie tak. Na pewno.

Po tych kłopotach z jajowodami... Czy po in vitro też można być w ciąży pozamacicznej? Nie miała pojęcia. Ale nagle poczuła granitową pewność, że to właśnie ją spotkało.

Jakiś nowy lekarz, którego nazwiska nie pamiętała, w skupieniu wpatrywał się w monitor.

Nie miała pojęcia, czy zawsze jest taki milczący. A może zwykle dowcipkuje wesoło z pacjentkami, teraz jednak zobaczył coś okropnego... Tak okropnego, że zbiera siły, żeby im to powiedzieć.

Próbowała podejrzeć coś na ekranie, ale nie miała pojęcia, czego powinna szukać. Obraz z USG zawsze stanowił dla niej czarną magię.

Ciemno, jasno, ruchomo, nieruchomo... Plamy, paski... Na pewno nie było tam żadnego dziecka!

Może wyniki testu ciążowego... I czterech badań krwi... Może one wszystkie kłamały? Może wcale nie była w ciąży? Może jej hormony zwariowały przez to leczenie?

A może to dziecko... Może lekarz już to widzi, jakimś cudem, już na tym etapie... Może ono jest bardzo chore? Przecież nie mają doskonałych genów, ani on, ani ona... Na drzewie genealogicznym, które rysowali w gabinecie, było kilka czerwonych kropek, świadczących o poważnych niebezpieczeństwach, które mogli odziedziczyć po przodkach... Jeden z testów też musieli powtarzać... Może któraś z czerwonych kropeczek właśnie się zmaterializowała w postaci koszmarnej, nieuleczalnej choroby?

Lekarz wreszcie odwrócił się w jej stronę.

Nie umiała niczego wyczytać z jego twarzy.

– To, że szczęście tym razem państwu dopisało, to już wiemy...

Ale że aż tak? Gratuluję! – Uśmiechnął się szeroko.

Tak! On naprawdę się uśmiechnął!

– Wszystko w porządku? – zapytała słabym głosem, szukając dłoni męża.

Drżała, jeszcze bardziej niż jej własna ręka.

– W porządku! I to potrójnym! – Lekarz nie przestawał się uśmiechać.

– Potrójnym? – Usiadła raptownie na kozetce. – Czy... Czy to znaczy, że...?

Bała się nawet powiedzieć to głośno.

Lekarz powiedział więc za nią.

– Tak, wygląda na to, że mamy tu trojaczki. Oczywiście, wiele jeszcze może się zdarzyć, ale na razie mogę potwierdzić, że transfer wszystkich trzech zarodków udał się znakomicie. Proszę spojrzeć, tu bije jedno serduszko, tu drugie, a tu, troszkę niżej...

DZIESIĘĆ MIESIĘCY PÓŹNIEJ

ROZDZIAŁ 17  
DELIKATNA SUGESTIA

– Dzwoniłaś do niej?

– Tak. Wszystkie badania potwierdziły diagnozę. To koniec.

Szanse na zdrowe dziecko... biologiczne dziecko obydwojga... są tak małe, że nawet lekarz odradził im kolejne próby.

– A nasienie dawcy? Nie chcą spróbować z nim jeszcze raz?

– Chyba nie – pokręciła głową. – Sam wiesz, jaki on jest. Nie podoba mu się ten pomysł. Ona zresztą też ma już dosyć. Chyba naprawdę jest całkiem załamana. Zapraszałam ją na herbatę... Żeby w końcu zobaczyła nasze maluchy. Nie chciała. Przynajmniej na razie. Widać, że mają cholerny problem z zaakceptowaniem tej sytuacji. Zwłaszcza ona...

– My też mamy problem. – Uśmiechnął się, podając jej zawiniątko.

– Franio znowu chce jeść... Siódmy raz od rana.

Z drugiego pokoju dobiegło kwilenie. Z każdą chwilą przybierało na sile.

– Antoś chyba też... Idź po niego, dobrze?

Drugie zawiniątko trafiło po chwili na jej drugie ramię.

– Dobrze, że przynajmniej Jasio śpi. – Uśmiechnęła się czule. –

Ojej, chyba już nie śpi. Idź po niego! Dlaczego wy zawsze musicie jeść jednocześnie? Przecież w tej mleczarni są tylko dwa kraniki, robaczki. Musicie grzecznie ustawić się w kolejce...

– Jesteś pewna, że chcesz to zrobić? – Patrzył na nią zaniepokojony.

– Najzupełniej.

– A geny? Nasze geny? Nie będzie ci żal?

– Czego?

– Tego, że dziecko nie ma twoich oczu, moich ust, twojego kształtu paznokci... i poczucia humoru...

Pokręciła głową.

– Będzie miało poczucie humoru. Nie ze względu na geny, ale na to, że będzie się wychowywać z nami, w naszym domu. Że będziemy z nim żartować od pierwszych chwil, czytać mu zabawne książki, oglądać razem bajki.

– A uzdolnienia? – Nie odpuszczał. – Przecież odziedziczy ich

talenty, a nie nasze...

– To nie są takie złe talenty. – Uśmiechnęła się, zamyślona. – Obydwoje całkiem nieźle radzą sobie w życiu, prawda? A poza tym sam wiesz, że sukces to pięć procent talentu, pięć procent pracy i dziewięćdziesiąt procent szczęścia.

Nie był pewny, czy to powiedzonko brzmiało właśnie w taki sposób. Miał wrażenie, że podkreślało raczej rolę ciężkiej pracy, a nie życiowego fartu. Ale jakie to miało teraz znaczenie?

– A więc? – Znowu tak na nią popatrzył. Uważnie i trochę smutno.

– A więc wchodzimy w to. Bez cienia wątpliwości. – Uśmiechnęła się lekko. – Zadzwoń teraz, od razu, i powiem, że się zdecydowaliśmy.

– I co? – zapytał kwadrans później, kiedy wróciła do pokoju.

– I nic. – Wzruszyła ramionami. – Chyba nie zrozumiała, o czym mówię...

– Nie poprosiłaś jej wprost? Dlaczego?

– Nie umiałam, naprawdę. Miałam nadzieję, że sama się domyśli. Próbowałam to jakoś delikatnie jej zasugerować...

– Zasugerować? W dodatku delikatnie? – Roześmiał się, kręcąc głową. – Naprawdę myślisz, że ona słyszy teraz delikatne sugestie? Jest wykończona, niewyspana, dzieci wyją od rana do nocy...

– Wcale nie wyją – zaprotestowała. – Podobno są wyjątkowo grzeczne.

– Świetnie. – Znowu potrząsnął głową z niedowierzaniem. – Trójka aniołeczków. I ich wypoczęta mamusia, do której od razu docierają najdelikatniejsze sugestie. To może powiesz mi, dlaczego na nie wcale nie odpowiedziała? Dlaczego nie wspomniała ani słowem o tym, co jej sugerowałaś?

– Może... Może po prostu chce z nim najpierw o tym porozmawiać?

– O czym tu rozmawiać? Przecież nam obiecali. Obiecaliśmy sobie wzajemnie! I muszą to pamiętać, tak samo jak my!

– Porozmawiamy z nimi o tym w piątek. – Uśmiechnęła się do męża. – Będiesz mógł sam przypomnieć im tamtą rozmowę... Na pewno załatwisz to znacznie lepiej niż ja.

Od razu usłyszał sarkazm w jej głosie.

Nie chciał jednak się kłócić.

Naprawdę nie chciał.

– W piątek? Idziemy do nich zobaczyć dzieci? Czujesz się wreszcie na siłach?

– Oni przychodzą do nas – wyjaśniła. – Zaprosiłam ich na pyszny, domowy obiad... Ona na pewno nie ma teraz czasu na gotowanie.

## ROZDZIAŁ 18

### OBIAD Z TRZECH DAŃ. PLUS DESER

Miotła się po kuchni jak w ukropie. Od tak dawna nie robiła obiadu z prawdziwego zdarzenia. Nie przyjmowali gości na obiadach. Spotykali się w knajpkach, na lunch, makaron albo na drinka. Najczęściej na drinka. Znajomi, jeśli wpadali, to też na wino, na wspólne oglądanie filmu... A tu nagle obiad. Z trzech dań. Z przystawkami. Plus deser. Co ją podkusiło?

– Myślałam, że mamy maszynkę, w której można mielić orzechy –

mruknęła. Krojenie ich na drobniutkie kawałeczki było naprawdę czasochłonne. Po co wybrała taki skomplikowany przepis na tę sałatkę?

– Soczewicę z puszki powinnam chyba odcedzić? Jak myślisz? – zapytała, odgarniając z czoła niesforny kosmyk.

Wzruszył ramionami. Robił świetne steki. Cudowne pieczone ryby. Ale sałatka z soczewicą, orzechami i roszką? To zdecydowanie nie była jego bajka.

Podjęła decyzję. Odcedzić, tak. Stanowczo tak. Odcedziła więc soczewicę, bardzo starannie. Wymieszała z kuskusem, czosnkiem, orzechami, cebulką... Posypała roszką... I wreszcie przełożyła do salaterki i wstawiła do lodówki. W przepisie kazali przygotować sałatkę dwie godziny wcześniej. Trudno, tej będzie musiało wystarczyć dwadzieścia pięć minut.

Uparty kosmyk znowu wyślizgnął się z koka i wszedł jej do oczu. Odsunęła go małym palcem – jedynym, który nie był umazany sałatką. A potem umyła ręce.

Czas nakryć do stołu i ubrać się jakoś odpowiednio. Pewnie przyjdą, jak to oni, elegancy i oficjalni, z dziećmi w miniaturowych garniturkach.

Tak dawno się nie widzieli... Czy powinna wyjąć z szafy czarną, jedwabną sukienkę?

Nie, bez przesady... Nie chciała ich przecież spieszyć.

Ustawiła na stole małe, niebieskie talerzyki, idealne do przystawek. Przypominały jej pierwszą wspólną podróż do Grecji. Szalony wyjazd, dwa tygodnie po pierwszej randce. Pojechali na lotnisko, zdecydowani kupić bilety w jakiegokolwiek ciepłe miejsce. Samolot na Kretę odlatywał za godzinę. Nie miał kompletu pasażerów.

W Heraklionie wynajęli samochód i pojechali przed siebie, wzdłuż wybrzeża, aż do maleńkiej wioski zawieszanej na skale. Dojechali tam po ciemku. Wynajęli za grosze pokój w jedynym pensjonacie w okolicy. Stał tuż przy schodach prowadzących w dół, do zatoczki. Dopiero następnego poranka zobaczyli widok, który rozciągał się z balkonu. I wioskę, której uroda zapierała dech w piersiach. Bugenwille okalały każdą bramę, wiły się po każdym kawałku białej ściany, zwisały nad wszystkimi niebieskimi i zielonymi drzwiami.

– To jest raj – powiedziała wtedy, tonąc w jego ramionach.

Kochali się dniami i nocami. Jeździli samochodem na dzikie plaże i kochali się znowu. Na piaskach, na skałach, na ręczniku rzuconym na suchą, wypaloną słońcem trawę.

Ostatniego dnia zatrzymali się w maleńkiej wsi gdzieś w górach. Było tam tylko kilkanaście domów. I, oczywiście, jak w każdej wsi, tawerna z drewnianymi stołami przykrytymi obrusami w kratę, ocieniona rozłożystym platanem. Nigdy nie poznała nazwy tej wioski.

Zjedli sałatkę horiatiki, podaną w niebieskiej misce. Ten kolor wprawił ją w absolutny zachwyt. Był jak morze, jak greckie niebo, jak te wszystkie drzwi kreteńskich domów.

Właściciel tawerny nie mówił po angielsku. Ani po niemiecku. Nie opanował ani jednego słowa w obcym języku. Ale potencjalnego klienta umiał rozpoznać z daleka. Pięć minut później przy ich stoliku stał jego szwagier, długowłosa, pomarszczony Giorgos, z miskami, miseczkami i talerzykami w obu dłoniach. Jego warsztacik był ukryty za skałą, po drugiej stronie wioski.

Wyrzuciła wtedy parę sandałów i przeczytaną książkę, żeby wcisnąć do walizki kupione od Giorgosa miseczki i talerzyki o barwie głębokiego kobaltu.

Talerzyki, które zachwyciły wszystkich gości.

Które pasowały do zwykłej kanapki, kilku oliwek, ciastka z cukierni na rogu. Uwielbiała je.

Pasowały do wszystkiego.

– Wiesz co? – mruknęła po chwili wahania. – Jakoś nie pasują do dzisiejszego obiadu.

Zebrała je ze stołu, schowała do szafki.

Tak, te stare, porcelanowe, to była jedyna pamiątka po babci. Ciotka oddała je z ciężkim sercem w dniu ich ślubu. Bo tak chciała babcia.

One znacznie bardziej pasowały do dzisiejszego spotkania.

Igor przyglądał jej się z rosnącym zdumieniem i rozbawieniem.

– Hej, Daga, co ty wyprawiasz? – zapytał w końcu. – Nigdy nie widziałem, żebyś się tak przejmowała gośćmi. Nawet dla mojej mamy nie wyjęłaś nigdy tej porcelany po babci.



Zatrzymała się w pół kroku.

– Myślisz, że przesadzam?

Pokiwał głową.

Przez chwilę patrzyła na nakryty stół. Może faktycznie zbyt elegancko? Mateusz i Monika nie są chyba przyzwyczajeni do sygnowanej porcelany. W dodatku będą z dziećmi. Jeśli któreś machnie nóżką i uderzy w stół...

Cofnęła się o krok. Zebrała talerzyki Rosenthala i schowała je do szafki.

Na stół wróciły niebieskie, przywiezione z Grecji.

– Daga, litości! – Igor poczuł, że nie może dłużej znosić tego w milczeniu. – Co się z tobą dzieje? Zachowujesz się tak, jakby miała odwiedzić nas królowa Anglii.

– Dla mnie są ważniejsi niż królowa – oświadczyła poważnie. A potem zerknęła na zegarek. – Będą tu za dziesięć minut! Pomóż mi! Igor, słyszysz? Pomóż mi! Trzeba zrobić grzanki do zupy!

– Do zupy? Ugotowałaś zupę? Naprawdę! W takim razie muszę zrobić zdjęcie! – Igor sięgnął po komórkę i zaczął stukać w jej ekranik.

– Nie wygłupiaj się, pomóż mi. – Dagmara robiła się naprawdę wkurzona.

– Zaraz skarbie, zaraz. – Igor zbliżył się do garnka i sfotografował jego zawartość. – Prawdziwa zupa, ale numer. Pierwsza zupa od półtora roku. I to dla kogo? Dla Frędzla? Naprawdę dla niego?

– To twój kolega ze szkoły. – Daga przeszła do defensywy. – Myślałam, że go lubisz, że zależy ci, żeby...

– Daga, to tylko Frędzel, naprawdę. – Igor prychnął w jakiś nowy, nieznany sposób. – Frędzel zawsze lubił wszystkich. A jego nikt. Serio! Powinien być zachwycony, że w ogóle może mnie odwiedzić. W szóstej klasie dałby się za to pokroić.

– Dziś to my damy się pokroić za to, o co zamierzamy ich poprosić – przypomniała mu Daga. – Będziesz miły. Miły jak diabli. Bo to jest warte więcej niż talerzyki Rosenthala razem z tymi z Krety... I niż wszystko, co mamy w tym domu! Będziesz cholernie miły, rozumiesz? Tak miły jak dla najważniejszego klienta na świecie!

– Dobrze, już dobrze. – Zrozumiał, że nie ma sensu się jej

sprzeciwiać. Skoro ugotowała zupę, sprawa naprawdę była poważna...

Chociaż on tak naprawdę nie miałby nic przeciwko temu, żeby Frędzel i Monika powiedzieli im „nie”.

Już własne dziecko wydawało mu się pomysłem dostatecznie dziwnym i ciężkim do zaakceptowania. Dziecko Dagi i nieznanego dawcy nasienia... ten pomysł przyjął już z prawdziwym trudem. Ale dziecko Frędzla? Nie. Nie miał najmniejszej ochoty go wychowywać... Jeszcze tego brakowało, żeby musiał patrzeć codziennie w te małe, ciemne, frędzlowate oczka!

Przez całą drogę powrotną nie odzywali się ani słowem.

Nawet dzieci wyjątkowo milczały, śpiąc w swoich fotelikach.

Powinni kupić większy samochód. To był jedyny model fotelika, którego trzy sztuki byli w stanie wcisnąć na tylne siedzenie.

Ale pewnie za rok staną się za małe... A tych większych nie zmieszczą już w żaden sposób.

Trzeba będzie rozejrzeć się za szerszym autem. Powinni dostać za fiata dobrą cenę, miał mały przebieg... Od dawna nie jeździli na wakacje.

– Może volkswagen? – powiedział nagle Mateusz. – To chyba taka rodzinna marka... I jest dużo używanych, w dobrym stanie...

– Słucham? – Monika patrzyła na niego ze zdumieniem. – Naprawdę chcesz rozmawiać teraz o samochodach?

– Albo skoda? Muszę posprawdzać różne modele skody. Ma silnik volkswagena, a jest dużo tańsza...

– Mateusz, zlituj się! – Gdyby nie to, że prowadził, potrząsnęłyby go za ramię. – Czy do ciebie nie dotarło, o czym ona ze mną rozmawiała?

– O śnieżynkach. – Pokiwał głową, skupiony na zamieszaniu na rondzie. – Chcą wziąć jedną z naszych. To chyba dobrze? Nie musimy się już martwić, co się z nimi stanie...

Między zupą a drugim daniem Daga wreszcie poruszyła ten temat.

– Naprawdę nie możesz już urodzić więcej dzieci? – zapytała prosto z mostu, zbierając talerze.

Monika opowiadała jej już o tym przez telefon. Macica po noszeniu trzech chłopców i cesarskim cięciu nie przetrwałaby kolejnego wysiłku. Była dosłownie w strzępach, jak obrazowo wyraził się doktor Wasilewski, który w międzyczasie wrócił ze stażu w Paryżu i z wielką radością poprowadził jej ciążę, aż do samego końca.

– Nie mogę. – Pokiwała głową Monika, pomagając Dadze rozłożyć sztuce. – Ta trójeczka będzie musiała nam wystarczyć...

Trójeczka leżała w sypialni, na wielkim łóżku Dagi i Igora. Nie dochodziły stamtąd na razie żadne kwilenia. Franio, Antoś i Jasio pokazywali się nowej cici i nowemu wujkowi ze swojej najlepszej strony.

– A co z... no wiesz... ze śnieżynkami? – Daga przełknęła ślinę i znieruchomiła z miską sałatki w dłoniach.

Igor miał za zadanie zagadywać Mateusza, tak by nie uczestniczył w tej rozmowie... Przynajmniej nie od początku. Jeśli Monika powie „tak”, przekona potem Mateusza... Tak było zawsze, ze wszystkim, nawet z tym, czego bardzo nie chciał. Nie potrafił odmawiać swojej żonie. Ulegał jej w każdej sprawie.

Daga zerknęła przez ramię.

Igor spisywał się znakomicie, pokazywał mu właśnie w swoim gabinecie zdjęcia z wycieczki paralotnią.

Można było przystąpić do ofensywy.

– Macie cały czas te zamrożone zarodki, prawda?

Dagmara wpatrywała się w napięciu w twarz Moniki.

Czy pamiętała o tamtej obietnicy?

Musiała pamiętać. Naprawdę musiała.

– Chcesz zapytać, czy oddamy wam nasze śnieżynki? – Monika spojrzała jej prosto w oczy. Jak zwykle była szczerą i prostolinijną. Nie zamierzała bawić się w żadne gierki. – Nie rozmawiałam o tym z Mateuszem, ale myślę, że powie to, co ja.

– Czyli? – Daga nie mogła znieść tego napięcia.

– Czyli tak. Oczywiście, że tak. Przecież wam obiecaliśmy, tak jak wy nam. Wtedy wszystko wskazywało na to, że wam uda się od razu, a my będziemy potrzebowali wsparcia... Że to my będziemy musieli skorzystać z waszego zarodka. Wyszło odwrotnie... A więc po prostu

musimy wam pomóc.

Z oczu Dagmary popłynęły łzy.

Przytuliła przyjaciółkę z całej siły.

Chciała powiedzieć „dziękuję”. Chciała powiedzieć tyle rzeczy.

Ale nie zdążyła.

– Daga, na litość boską! Te kotlety całkiem się spaliły! – krzyczał Igor.

A trzy niemowlaki, jak na komendę, zaczęły spazmatycznie płakać.

Na podziękowania przyjdzie czas później. Zdąży jeszcze powiedzieć, jak bardzo jest wdzięczna i szczęśliwa. Najważniejsze, że wszystko jest już ustalone. W poniedziałek rano będzie można zadzwonić do kliniki.

– Zgodziłaś się? – zapytał Mateusz, nie odrywając wzroku od jezdni.

– Tak... Przecież im obiecaliśmy. Obydwoje.

– Naprawdę? – Roześmiał się jakoś tak nieprzyjemnie. – Wydaje mi się, że ty im obiecałaś. Ty, kochanie. A ja nie miałem wyjścia, musiałem potwierdzić to, co powiedziałaś na Comino.

– Jesteś zły?

Zastanawiał się przez moment.

– Nie, nie. – Westchnął i na sekundę chwycił ją za rękę. Akurat stali na czerwonym świetle. – Może dobrze, że tak się stało. Nie musimy się martwić o nasze śnieżynki. Wezmą obie?

– Pewnie tak... – Monika wzruszyła ramionami. Nie rozmawiały o takich szczegółach. Zapach spalenizny przerwał tę rozmowę, zanim na dobre się rozpoczęła.

– Czy ja wiem? Oni od początku chcieli mieć tylko jedno dziecko, więc mogą się na to nie zdecydować. Wiem, że lekarze mówią, że pozostałe zarodki są „na wszelki wypadek”, ale przecież nam udało się transfer całej trójki. A coś mi się zdaje, że patrząc na nas, nie będą chyba zainteresowani ciężą mnogą...

– Patrząc na nas? A co niby jest z nami nie tak? – Monika podniosła głos, zirytowana.

– Nie no, wszystko jest tak... tak jak trzeba... Jest cudownie. –

Poklepał ją po nodze i szybko przerzucił biegi. – Tylko wiesz, to jednak trochę męczące. A Dagmara zdecydowanie nie jest typem matki Polki.

– Chcesz powiedzieć, że ja...

Znowu coś nie tak! Ta rozmowa zdecydowanie nie przebiegała tak jak powinna.

Mateusz postanowił to załagodzić.

– Jesteś mądra, dobra, cudowna, inteligentna, piękna. – Wiedział, że dokładnie te słowa chciała usłyszeć. – Nie kłóćmy się, proszę. Nie chciałem powiedzieć nic złego. Po prostu... No... Tak, to świetnie, że im pomożemy. Naprawdę świetnie. Mam nadzieję, że uda się przy pierwszym transferze. Nasze zarodki są przecież zdrowe i silne.

Przez resztę drogi milczeli, każde pogrążone w swoich myślach.

Lepiej oddać im niż obcym ludziom, to przecież jasne – mówiła do siebie Monika. – Będziemy mogli patrzeć, jak się rozwijają, kupować im prezenty na urodziny... Ciekawe, czy Daga zgodzi się, żebyśmy kiedyś powiedzieli im prawdę? Muszę ją o to zapytać... W końcu i tak mogą się dowiedzieć, całkowicie przez przypadek... Nie będą miały ich grupy krwi. To niesamowite, że przy adopcji śnieżynek niepotrzebna jest żadna zgodność... Każdy zarodek może się rozwinąć u każdej kobiety. A Rh+, B Rh-... Bez znaczenia. Ale potem mogą się dowiedzieć, na przykład przy oddawaniu krwi, przy jakimś wypadku... Albo na lekcji biologii... Chyba na biologii w liceum wciąż rozrysowuje się te schematy dziedziczenia i możliwych grup krwi dziecka? Zapytają Dagę i Igora o ich grupy, podstawią swoją... I nic nie będzie się zgadzać. Powinniśmy im powiedzieć jak najwcześniej. Oni powinni. Muszę koniecznie z nią o tym porozmawiać.

Zgodziłem się, bo myślałem, że to my będziemy potrzebować zarodka – myślał w tym czasie Mateusz. – Nie chciałem narażać Moniki na czekanie w kolejce... To mogło trwać nawet kilka lat. Myślałem, że robię to dla nas. Wyszło odwrotnie. Igor jak zwykle mnie przechytrzył. Jak zwykle, z tym swoim cwany uśmiechem, zabiera to, co moje. Kiedyś wyciągał mi z tornistra kanapki i kieszonkowe. Dziś... Dziś to ja sam oddaję mu swoje dzieci. Podaję mu je na tacy! Znowu, znowu, znowu...

Zacisnął mocniej ręce na kierownicy. Gwałtownie nadepnął na hamulec.

– Nie zauważyłeś go? – Monika była blada jak ściana. – Nie zauważyłeś wielkiej, czerwonej ciężarówki?

– Przepraszam – wyszeptał Mateusz.

Ale zagłuszył go płacz trzech chłopców, obudzonych raptownym hamowaniem.

Wieczorem, kiedy pochylali się razem nad trzema białymi łożeczkami, stłoczonymi na antresoli, Monika mocno przytuliła się do Mateusza.

Ostatnio coraz częściej się przytulali. Bycie rodzicami uspokoiło obydwójce. Życie nareszcie było doskonałe. Takie o jakim marzyli od tamtej pielgrzymkowej nocy, gdy zakochali się w sobie, siedząc pod gwiazdami przy ognisku, sześćdziesiąt czy siedemdziesiąt kilometrów przed Częstochową.

– Widzisz, jak wszystko pięknie się ułożyło – szepnęła Monika. – Mamy nasze skarby... I nie musimy martwić się o śnieżynki. Tak bardzo się upierałeś, żeby nie mrozić zarodków... A teraz, dzięki nam, Dagmara i Igor już niedługo też będą mieli takie... takie...

Przerwała w pół zdania. Wpatrywała się w napięciu w maleńkie usta Jasia, przypominające kształtem pękate serduszko. Pochrapywał słodko, jego górna warga drżała leciutko przy każdym oddechu. Urodził się najmniejszy i najśłabszy ale teraz, z każdym dniem, doganiał swoich braci.

– Fajne te nasze chłopaki. – Mateusz uśmiechnął się, gładząc ją po plecach.

– Fajne. – Monika położyła głowę na jego ramieniu.

Jakaś myśl jednak wciąż nie dawała jej spokoju.

Mateusz od razu to zauważył.

– O co chodzi? – zapytał, próbując zajrzeć jej w oczy.

Spuściła wzrok.

– Słuchaj, a co będzie jeśli... jeśli jeden z zarodków się podzielił? To przecież teoretycznie możliwe... Jeśli podzielił się jeszcze przed transferem?

– Mówisz o bliźniętach jednojajowych? – Spojrzał na malutką buzię Jasia, wysokie czoło Frania, trójkątną twarz Antosia... – Nie ma chyba wątpliwości. Nic takiego nie miało miejsca. Nasi chłopcy kompletnie nie są do siebie podobni. A przecież musieliby być, gdyby tak się zdarzyło?

– No właśnie! Właśnie! – Monika zaczęła nerwowo chodzić po pokoju. – Pomyśl o tym! Przecież to teoretycznie możliwe... bardzo możliwe... że jeden z takich identycznych zarodków... z bliźniąt jednojajowych... – Zaczęła jąkać się z nerwów. – ...Że jeden trafił do mnie, a drugi wciąż czeka... i trafi do Dagmary? Co wtedy zrobimy? Jak wytłumaczymy naszym dzieciom, że mają inne domy i innych rodziców, chociaż są identyczne?

## ROZDZIAŁ 19 ZABAWA W PANA BOGA

Po raz pierwszy od kilku miesięcy Dagmara podniosła się z łóżka jeszcze przed budzikiem. Dawno nie czuła się tak lekko. Jakby mgła,

w której poruszała się od ostatniej rozmowy z lekarzem, wreszcie opadła.

To były ciężkie miesiące. Cholernie ciężkie. Z trudem brała instrument do ręki. Były chwile, że chciała wziąć zwolnienie, urlop bezpłatny... cokolwiek. Zamknąć się w domu i nie wystawiać nosa spod kołdry.

Ale orkiestra była jedynym, co kazało jej zbierać się w sobie, myć, ubierać, czesać, malować, wychodzić z domu.

Nie mogła z tego zrezygnować. Ostatnio zdołała nawet zmusić się, żeby pojechać na koncert do Portugalii.

Nikt oprócz Aśki nie wiedział, jak wiele ją to kosztowało.

Igor robił wrażenie zniecierpliwionego. Ile czasu można być w żałobie po dziecku, którego wcale się nie miało? Plan A nie wypalił, trzeba zająć się planem B. Tak przecież ustalili. Tak mieli to traktować.

On traktował, owszem. Ona nie umiała.

I jeszcze te SMS-y Moniki ze zdjęciami z USG. Podesłany mailem filmik z bijącymi serduszkami. I ostatnia, krótka wiadomość ze szpitala. Że się urodzili. Piękni i zdrowi. Prawdziwi trzej muszkieterowie.

Krótką wiadomość i dołączone zdjęcie.

Dagmara patrzyła na to zdjęcie całymi godzinami. Kiedy była sama w domu, wyjmowała komórkę i patrzyła, patrzyła, patrzyła.

I przez cały czas kołatała jej w głowie tylko jedna myśl: to mogły być moje dzieci.

Aśka robiła co mogła, żeby wyciągnąć ją z tego stanu. Zabierała ją do kina, na zakupy, na kawę, na wino. Umówiła ją z koleżanką, która adoptowała pięcioletniego chłopca. Dziś ten chłopiec miał dwadzieścia trzy lata. Właśnie obronił z wyróżnieniem dyplom na politechnice. Dziękował profesorom w imieniu wszystkich ze swojego roku. A do mamy przyszedł z wielkim bukietem czerwonych róż.

Dagmara nie chciała nawet myśleć o adopcji. Nie wyobrażała sobie tych wszystkich szkoleń, testów, rozmów, wizyt domowych. A przede wszystkim: nie wyobrażała sobie obcego dziecka, które wprowadza się do nich ze swoim plecaczkiem i z dnia na dzień ma stać się synkiem albo córką. Na niemowlaka Igor był już za stary. A siedmiolatka... obcego siedmiolatka... Nie, nie umiałyby go pokochać.



Tak samo jak chorego dziecka.

– To państwa decyzja. Nikt nie może podjąć jej za was – mówił doktor Truszewski, kiedy zebrali już komplet wyników badań... A potem, dla pewności, powtórzyli wszystkie te testy jeszcze raz. – Zdarzają się osoby z poważniejszymi obciążeniami genetycznymi, które decydują się na in vitro... Dziś leczy się z powodzeniem ciężkie choroby, które jeszcze kilkanaście lat temu były równoznaczne z wyrokiem śmierci. A poza tym, proszę pamiętać, że w państwa przypadku prawo dopuszcza selekcję zarodków.

– To znaczy, że stworzymy ich więcej i wybierzemy zdrowy? – Ucieszyła się Dagmara. – Świetnie! Proszę tak zrobić! To doskonałe rozwiązanie!

– Hemofilia, na którą zmarł pani ojciec... i pani brat... dotyka niemal wyłącznie mężczyzn – wyjaśnił lekarz. – Jeśli urodzi się dziewczynka, będzie prawdopodobnie tylko nosicielką zmienionego genu. Oczywiście, będzie mogła przekazać go swoim synom i oni zachorują... Ale państwo będziecie mieli córkę, która niczym nie będzie się różnić od zdrowych dzieci. Mamy możliwość wybrania w laboratorium zarodka płci żeńskiej...

– Wspaniale. – Dagmara poczuła, że kamień spada jej z serca. – I tak wolałabym mieć dziewczynkę!

– Narazisz jej dzieci.. swoje wnuki... na taką chorobę? – Igor spojrział na nią z niedowierzaniem. – Nie wydaje ci się to okrutne?

Nie wydawało jej się, ani trochę.

– Nie wiadomo, czy w przyszłości nasza córka będzie w ogóle chciała mieć dzieci. – Wzruszyła ramionami. – A nawet jeśli tak, to przecież, zamiast zachodzić w ciążę we własnym domu, będzie mogła po prostu iść do kliniki i też wybrać płć zarodka, tak jak my. Za dwadzieścia czy trzydzieści lat pewnie będzie się to robić rutynowo, wymyślą jakieś pięciominutowe testy, dostępne bez recepty w każdej aptece.

Doktor Truszewski chrząknął znacząco, wciąż przeglądając ich wyniki.

– Mamy jeszcze sprawę pana badań... – powiedział poważnym głosem. – I tu sprawa jest bardziej skomplikowana. U pana w rodzinie

były dwa przypadki ciężkich upośledzeń umysłowych. Jeden, jeśli dobrze zapisałem, dotyczył pana brata ciotecznego?

– Tak. Wychowywaliśmy się razem. – Igor schował głowę w ramionach. – Zanim wyjechałem z rodzicami z Wałbrzycha. To był syn ciotki Stefy...

Ostatnie słowa były przeznaczone dla Dagmary.

Pamiętała tę historię. Ciotka Stefa... Najpiękniejsza w rodzinie, najambitniejsza, najzdolniejsza. Była chyba dentystką? Wyszła za mąż tuż po studiach, za miejscowego amanta. Mieli ślub jak z bajki. Cudowny dom z krużgankami, jedyny taki w okolicy. Po prostu bajka. A potem urodził się Czarek. Cezary. Miał być jak rzymski wódz. Jak potężny Cezar. Miał mieć świat u stóp. Wybrali mu to imię jeszcze przed porodem. Zanim okazało się, że jest chory. Bardzo chory.

Ta choroba Czarka zmieniła wszystko. Wałbrzyski amant próbował stanąć na wysokości zadania... Ale nie wytrzymał długo. Siedział na progu, płakał i patrzył w niebo. Igor pamiętał ten jego wzrok. A potem wyprowadził się z domu z krużgankami, tuż przed czwartymi urodzinami synka. Ciotka Stefa zamknęła gabinet, skupiła się na dziecku... Tylko na nim. Szukała pomocy wszędzie. Sprzedała dom. Jeździła do Warszawy, Krakowa, Poznania.

Czarek zmarł, gdy Igor był już na studiach.

Miesiąc później piękna ciotka Stefa popełniła samobójstwo.

Dagmara знаła tę opowieść od lat. Nie wiedziała tylko, że DNA Czarka miało tak wiele wspólnego z DNA jej męża. Że mogło mieć wpływ na jej własne życie.

– Testy potwierdziły, że jest pan nosicielem...

Gdy usłyszała te słowa, zrobiło jej się ciemno przed oczyma. Resztę tej rozmowy z lekarzem pamiętała jak przez mgłę. Na pewno mówił coś o translokacji dwóch chromosomów. Zapraszał na konsultację z genetykiem klinicznym, następnego dnia po południu. Przekonywał, że wciąż istnieje pewna szansa na poczęcie i urodzenie zdrowego dziecka.

– Tutaj też możemy sięgnąć po diagnostykę preimplantacyjną. Wybrać zdrowy, żeński zarodek, oczywiście jeśli będzie taka możliwość... Tak, żeby jednocześnie ustrzec się przed uszkodzeniami genów, które może pan przekazać i przed hemofilią, którą przekaze

pani...

Kiwała głową, jak automat.

Również wtedy, kiedy ginekolog uprzedzał, że nawet wybór zdrowego zarodka nie da im stuprocentowej gwarancji, mimo wszystkich przeprowadzonych badań.

– Jak to? – zapytała słabym głosem.

A on wyjaśnił, że te translokacje mogą prowadzić do obumarcia ciąży albo poronienia.

– Mamy tu, jak państwo widzicie, dość poważne ryzyko. – Postukał palcem w tabelkę na wydruku z wynikami badań. – Ponadto, żeby mieć pewność, że płód jest zdrowy, trzeba będzie poczekać do trzeciego miesiąca ciąży, zrobić biopsję i w razie czego... W razie, gdyby państwo podjęli taką decyzję... Przeprowadzić aborcję, mniej więcej w szesnastym tygodniu.

– Aborcję? – Dagę przeszedł dreszcz. – W szesnastym tygodniu? To już jest chyba całkiem duże dziecko?

Doktor Truszewski pozostawił jej słowa bez komentarza.

Rozmawiali o tym przez dwa dni i dwie noce.

Wreszcie postanowili spróbować. Mimo wszystko. Może będą mieli szczęście? Przecież zawsze je mieli. Zawsze, aż do tej pory.

Wyprodukowała czternaście pięknych, dużych komórek jajowych. Udało się zapłodnić siedem z nich.

Wszystkie miały wady genetyczne. Poważniejsze niż Czarek. Cały zestaw wad jak z podręcznika dla studentów medycyny. Prawdopodobnie nie zdołałyby zagnieździć się w macicy albo umarłyby jeszcze w czasie ciąży. Te, które przetrwałyby jakimś cudem aż do porodu, przeżyłyby nie więcej niż kilka dni.

Druga próba była trudniejsza. Zwłaszcza dla Igora. Bo nie brał już w niej udziału.

– Nasienie dawcy daje nam ogromną szansę powodzenia – zapewniał doktor Truszewski.

Igor nie powiedział „nie”. Skoro tak bardzo jej na tym zależało. Starał się zaciskać zęby i nie mówić, co o tym myśli. Skoro naprawdę chciała mieć dziecko z obcym mężczyzną...

Truszewski zapewniał, że dawca ma tę samą grupę krwi co Igor. I ten sam kolor oczu. I że jest wysoki, tak jak on.

Tym razem do zapłodnienia nadawała się tylko jedna komórka jajowa.

Okazała się chłopcem.

– Będzie chory na hemofilię – powiedział lekarz, nie zostawiając jej cienia złudzeń. – Oczywiście, będzie można go leczyć, medycyna zrobiła wielki krok...

Nie umiała powiedzieć „tak”. Czuła, że powinna, że może warto spróbować... ale nie umiała.

Niewiele miała wspomnień na temat Wojtusia, jednak to, co opowiedziała jej Marlena... to, co przeczytała o tej chorobie w sieci... To wystarczyło, żeby powstrzymać ją przed przyjęciem tego zarodka.

Chciała cieszyć się macierzyństwem, a nie dręczyć siebie i dziecko, każdego dnia. A życie z hemofilią wydawało jej się udręką. Dla całej rodziny.

Nie potrafiła się na tę udrękę zdecydować. Po prostu nie potrafiła.

Tłumaczyła sobie wtedy, że spróbuje jeszcze raz. Za dwa albo trzy miesiące. Że tym razem na pewno pocznie zdrową dziewczynkę.

Ale gdy minęły te miesiące nie wróciła do kliniki. Nie miała siły na kolejną próbę. I na kolejne rozczarowanie.

Chodziła jak robot, do pracy i z pracy. I cały dniami patrzyła w ścianę.

Wiedziała, że Igor ma tego dość. Oczekiwał, że pozbiera się sama. Że przestanie ryczeć po kątach. Ale ona nie przestawała.

Wreszcie znalazł jej terapeutkę. Najlepszą w Warszawie. Daga odmówiła jeżdżenia do jej gabinetu, więc terapeutka odwiedzała ją w domu, trzy razy w tygodniu.

Mówiła do niej, mówiła, mówiła... A Dagmara patrzyła w ścianę.

Nie powiedziała nikomu, że zbiera siły. Że czeka tylko na ten dzień, kiedy urodzą się dzieci Moniki. Zdrowa, piękna trójka. A wtedy ona zadzwoni i przypomni o obietnicy z Comino. To był jedyny plan B, jaki miała.

Planu C nie było.

Monika zawsze o tym marzyła. Przez tyle lat przystawała gdzieś z boku i patrzyła... A serce ścisnęła jej zazdrość. Tak bardzo zazdrościła wszystkim tym parom, które szły przez park, pchając wspólnie wózek. Zaglądała do tych wózków i czuła, jak w gardle rośnie jej wielka, ołowiana kula.

Dziś to ona pchała dumnie potrójny wózek obok równie dumnego Mateusza. Nareszcie skończyła się ta fala zimna i deszczu. Mogła zabierać codziennie całą trójeczkę na dwór.

To był ich pierwszy wspólny spacer. Na poprzednich była z mamą, która przyjechała na tydzień zobaczyć wnuki... A po jej wyjeździe z sąsiadką, albo sama. Bo Mateusz był w pracy.

Dziś wreszcie szli razem przez ten park. On, ona i ich dzieci.

Czekała na to tak długo. Tyle lat. Dlaczego więc nie umiała się cieszyć? Dlaczego nie czuła się lekko jak w marzeniach?

Nagle zrozumiała, co ją gniecie.

– Słuchaj... Musimy zadzwonić do kliniki, umówić się, podpisać dokumenty – szepnęła.

Mateusz nie spojrzał w jej stronę, nie zwolnił kroku. Zobaczyła kątem oka, że mocniej zaciska palce na rączce wózka.

Poczekala chwilę, ale nie odpowiadał. Powtórzyła więc nieco głośniej:

– Musimy zadzwonić do kliniki. Słyszysz? Daga i Igor już pewnie nie mogą się doczekać.

Znowu cisza. I te palce niemal miażdżące uchwyt.

– Mateusz, słuchaj, my im to obiecaliśmy.

– Tak... No tak – mruknął jakoś tak kompletnie bez emocji.

Nie chciała naciskać. Wiedziała, że w końcu się odezwie. Musiał tylko przetrwać to w sobie.

Szli więc w milczeniu.

Próbowała przywołać ten magiczny nastrój ze swoich marzeń. Dziś spełniały się przecież, po tylu latach. Powinna fruwać ze szczęścia.

*Ciesz się. Ciesz się! To wasz pierwszy wspólny spacer. Nie psuj go!*  
– upominała się w myślach.

Wszystko na nic.

Na ławce pod kasztanowcem jakaś para całowała się namiętnie.

*My nigdy się tak nie całowaliśmy* – pomyślała nagle Monika. – *Nie w miejscu publicznym. Nie tak namiętnie jak oni.*

Mateusz zatrzymał się na środku alejki. Franio zakwilił przez sen, zaniepokojony. Jaś zawtórował mu, jak zwykle. Mateusz kilka razy poruszył wózkiem, by ukołysać chłopców.

– Przyjaźnimy się z nimi, prawda? – powiedział. – Z Igorem i Dagą?

– Jasne... – Nie bardzo rozumiała, o co mu chodzi. – To wszystko naprawdę nas zbliżyło... Nie mamy chyba w tej chwili innych tak bliskich przyjaciół.

– Myślisz, że ta znajomość przetrwa? – Na czole Mateusza pojawiła się ta zmarszczka, którą znała z najtrudniejszych rozmów.

Wciąż nie wiedziała, do czego on zmierza. Odpowiedziała więc tak, jak czuła:

– Mam nadzieję, że tak. Daga kilka razy bardzo mi pomogła... Ja jej chyba też...

– No widzisz – westchnął Mateusz, bez ostrzeżenia ruszając przed siebie niemal truchtem. Wózek podskakiwał na nierównej ścieżce.

Nie miała pojęcia, o czym tak naprawdę rozmawiają. Męczyła ją ta dyskusja.

Nie miała ochoty za nim biec.

Usiadła na ławce. Oczy piekły ją niebezpiecznie.

Mateusz zorientował się po dłuższej chwili, że nie idzie koło niego. Zawrócił. Usiadł obok. I nagle wyrzucił z siebie cały potok słów.

– Myślę o tym od tygodnia. O niczym innym, tylko o tym. Jeśli będziemy się przyjaźnić to nasze dzieci... Nie rozumiesz? Przecież one będą wychowywać się razem. Spotykać. Może pojedziemy razem na wakacje. Co będzie, jeśli się w sobie zakochają?

– W kimś muszą się zakochać. – Monika wzruszyła ramionami. – Daga i Igor są nowocześni... i niewierzący... Ale na pewno dobrze wychowają swoje dzieci. A więc? Nie rozumiem... Gdzie widzisz problem?

Mateusz siedział bez ruchu. Jakby czekał, aż spłynie na nią olśnienie.

No i spłynęło. Olśnienie... Czy raczej grom z jasnego nieba.

– No tak! Kurczę... Kurczę blade, nie pomyślałam! To przecież byłoby kazirodztwo. Więc co? Mamy zerwać przyjaźń z nimi zaraz po oddaniu śnieżynek? Czy dopiero jak Daga urodzi?

Mateusz pokręcił głową.

– Myślałem o tym... Rozwazałem wszystkie ewentualności. Wiesz, gdybyśmy nie musieli trzymać tego w tajemnicy... Przed mamą, Markiem, wujem... Wtedy po prostu moglibyśmy powiedzieć naszym chłopcom i... i dzieciom Dagmary i Igora... Powiedzieć im wcześniej. Dużo wcześniej. Wychowywać je z tą świadomością...

– Co powiedzieć? – Monika poderwała się z ławki. – Co? Że ich nie chcieliśmy? Że je oddaliśmy, bo wyprodukowałam za dużo komórek jajowych? Że w wyniku losowania jedne dzieci mamy my, drugie Daga i Igor, i całe szczęście, że nie było jeszcze kolejnej trójki czy piątki, bo one wciąż siedziałyby grzecznie w zamrażalniku?

Odeszła kawalek, trzęsąc się ze złości. Jak mogłaby powiedzieć coś takiego dzieciom? Jakimkolwiek dzieciom, swoim, cudzym, albo tym... tym cudzym, chociaż swoim?

Dopiero po chwili dotarło do niej, że Mateusz coś mówi. Mówił tak cicho, że musiała podejść o dwa kroki, żeby rozróżnić słowa.

– Marek miał rację... – mruzczał pod nosem. – Miał rację. Nie wolno bawić się w Pana Boga. Nie wolno robić takich rzeczy. W ogóle nie powinienem się na to wszystko zgadzać!

Monika poczuła, że coś się w niej gotuje. Te wszystkie upokorzenia, które zniosła ze strony męża i jego rodziny... To przełykanie łez... Milczenie w imię celu, któremu podporządkowała absolutnie wszystko.

Nie mogła milczeć. Już nie mogła.

– Co ty powiedziałaś?! – ryknęła. – Nie powinieneś się na to zgadzać? Na TO? TO?! Nie zapominaj, że TO są twoje dzieci! Nie zabawa w Boga albo w diabła, ale dzieci! Nie mają napisane na czole, że są z in vitro! I mam nadzieję, że nie zamierzasz ich z tego powodu traktować inaczej! Nie chcę ci przypominać, że po laparoskopii mi i moim komórkom jajowym nic już nie dolegało. I że z innym mężczyzną mogłabym zająć w ciążę „po bożemu”, zamiast udawać przed twoją matką idiotkę, która wydała całą pożyczoną forszę na waciki!

Złapała wózek i ruszyła z nim biegiem przez park.  
Łzy leciały równymi strużkami po obu policzkach.

## ROZDZIAŁ 20 TALIZMAN

Wiedziała, że nie powinna. Że nie wolno robić takich rzeczy.  
Obiecała terapeutce, że nie będzie. A przede wszystkim obiecała  
Igorowi. I samej sobie.

Nie umiała się powstrzymać.

Ta słodka sukieneczka w kwiatki... Nie mogła oderwać od niej  
wzroku. Wyobraziła sobie nagle, jak jej córeczka, jasnowłose bosonogie  
słoneczko, tańczy na trawie przed domem, w porannym słońcu, w rytm  
muzyki, która brzmi tylko w jej głowie. Śmieje się perliście. Płowe  
loczki, tak podobne do lnianych włosów Moniki, podskakują przy  
każdym ruchu. Ma dwa latka... Może trzy?

– Na jaki wiek jest ta sukienka? – zapytała.

– Dwadzieścia cztery miesiące – odparła ekspedientka, zerkając na



metkę.

Dłuższą chwilę zajęło jej zrozumienie, że dwadzieścia cztery miesiące to dwa lata.

Dwuletnia kruszynka w tej sukience, tańcząca w letni poranek na trawniku pod domem.

– Poproszę. – Położyła na ladzie kartę kredytową. Nie sprawdziła nawet, ile kosztuje. Musiała ją mieć. Była obietnicą. Marzeniem. Miała dać siłę na wszystkie te dni, które jeszcze przed nimi. Na wszystkie rozczarowania, na które próbowała być gotowa. Na walkę, której jeszcze nie przeczuwała... Bo przecież wydawała się już skończona.

– Zapakować na prezent? – Ekspedientka nagle stała się szalenie miła. Czyżby to była bardzo droga sukienka od znanego projektanta? Wyglądała prościutko... ale znani projektanci, ci najlepsi, cenią przecież minimalizm.

Sprzedawczyni patrzyła na nią z wyczekiwaniem.

– Słucham? – Zapomniała już, jakie było pytanie. – A, na prezent? Nie, nie, to dla mojej córeczki.

– Dla córeczki? W takim razie może zajrzy pani do naszego drugiego butik na rogu Marszałkowskiej... Mamy tam identyczny fason, tylko w dorosłych rozmiarach. Mogłybyście ubrać się z córką tak samo na jakieś wielkie wyjście. To teraz bardzo modne.

Wyobraźnia natychmiast podsunęła jej ten obrazek. Idą obok siebie, duża i mała... W identycznych kwiecistych sukienkach na ramiączkach, z włosami związanymi w koński ogon, z kolorowymi balonikami w rękach.

Balonikami? Po diabła im baloniki?

Otrząsnęła się z tej wizji.

– Dziękuję. Dziękuję bardzo. Na pewno tam zajrzę. Do widzenia.

Papierowa torba, w którą sprzedawczyni włożyła sukieneczkę, parzyła ją w palce. Nie powinna jej kupować. Naprawdę nie powinna. Obiecała, że już nigdy tego nie robi. Całe pudło śpioszków i pajacyków, kupowanych „na przyszłość” wyniosła do domu małego dziecka, tydzień po ostatniej rozmowie z lekarzem. Po pożegnaniu zarodka, który byłby synkiem, chorym na hemofilię.

A teraz co? Przyjdzie do domu z sukieneczką dla dwulatki? Jak mu

to wytłumaczy?

Wcisnęła sukienkę na dno torebki.

Papierową elegancką torbę wyrzuciła do stojącego na rogu ulicy kamiennego śmietnika.

– Musiałam ją kupić – powiedziała głośno do swojego odbicia w witrynie mijanego sklepu z butami. – Będzie moim talizmanem. Teraz, kiedy ją mam, wszystko musi się udać. Po prostu musi...

Oczywiście nie miała żadnej gwarancji, że śnieżynka, którą dostanie, jest dziewczynką. Tego pewnie nie wiedzieli nawet lekarze. A nawet jeśli wiedzieli, to nie mogli im powiedzieć. Nie wolno im było sprawdzać płci zarodków bez wyraźnych wskazań medycznych. Zarodki Moniki i Mateusza nie miały takich wskazań. Były silne, zdrowe, nieobciążone ryzykiem. Śnieżynka, którą rozmrożą dla Dagmary, mogła więc być chłopcem... albo dziewczynką... Szanse były identyczne. Czysto teoretycznie.

Bo tak naprawdę rachunek prawdopodobieństwa był, zdaniem Dagi, zupełnie inny. Monika urodziła już trzech synów. Wszystkie zarodki nie mogły być tej samej płci. A więc ten jeden jedyny, który do niej trafi, musi być dziewczynką. Po prostu musi.

Dziewczynką, która pewnego dnia założy tę śliczną, kwiecistą sukieneczkę.

Włożyła rękę do torebki, dotknęła delikatnego materiału wepchniętego na samo dno. Dodał jej odwagi.

*Mój nowy talizman już działa.* – Uśmiechnęła się do siebie.

Postanowiła zadzwonić od razu do kliniki, zapytać, czy dostali już zgodę podpisaną przez Mateusza i Monikę. Powinna tam dotrzeć, nawet jeśli wysłali ją pocztą i to nie priorytetową.

Recepcjonistka szukała bardzo długo, dwa razy upewniając się, czy nie pomyliła nazwiska dawców zarodków. Potem konsultowała się z kimś szeptem.

– Niestety, jeszcze nic nie mamy – powiedziała w końcu. – Zadzwonimy do państwa, gdy tylko dostaniemy ten dokument.

Szybko, bez zastanowienia wybrała numer Moniki. Musiała się upewnić, że go wysłali. Może poda jej numer listu poleconego?

Sprawdzi w Internecie, czy gdzieś nie utknął po drodze... Miała taki przypadek z zaproszeniem na festiwal w Korei. Była pewna, że jej nie zakwalifikowali – a koperta z zaproszeniem leżała przez dwa tygodnie na poczcie, podczas gdy listonosz nie zostawił żadnego awiza. Może i teraz tak się właśnie stało?

Monika nie odbierała.

*Nagraj wiadomość po usłyszeniu sygnału.*

Spróbowała jeszcze raz. I jeszcze.

*Nagraj wiadomość...*

Nagrała więc. Nieskładną, chaotyczną... Miała nadzieję, że przyjaciółka cokolwiek z tego zrozumie.

– Chciałam tylko zapytać o ten dokument. To znaczy o zgodę. Mieliście ją dostarczyć, powinna już dojść, ale recepcja mówi, że nie. Chodzi mi o śnieżynki. O waszą zgodę. Zadzwoń, jak będziesz mogła.

Zatrzasnęła drzwi samochodu i pojechała na próbę. I, po raz pierwszy od czterech lat, zgubiła się w drodze do pracy! Była tak roztrzęsiona, że skręciła za wcześnie w lewo! Dopiero wtedy zrozumiała, jak bardzo rozmowa z recepcjonistką z kliniki... a potem Monika, nie odbierająca telefonu... wytrąciły ją z równowagi.

Monika pewnie karmi. Oddzwoni za moment – powtarzała sobie jak mantrę.

Ale niepokój już zakiełkował w jej głowie. Nawet włączone w samochodzie radio, rozkręcone na cały regulator, nie było w stanie go zagłuszyć.

Przed zamkniętym szlabanem uświadomiła sobie, że nie wzięła karty parkingowej. Została w kieszeni kurtki, oczywiście. Nie mogła więc wjechać na swoje miejsce. Chciała zadzwonić do Aśki, ale w porę przypomniała sobie, że to na nic. W sali prób komórki nie miały zasięgu. Do tej pory uważała, że to świetny pomysł. Nie znosiła brzęczących co chwilę telefonów, sprawiających, że musieli zaczynać wciąż i wciąż od nowa. Ale teraz...

Szlag! Nie mogła znaleźć ani skrawka wolnego miejsca. Niewiele brakowało, a zaparkowałyby na trawniku. Wiedziała, że jest na cenzurowanym. Już od roku, od kiedy odmówiła wyjazdu do Londynu, szef orkiestry i obaj dyrygenci patrzyli na nią wilkiem. Potem, w dniu

pierwszej punkcji jajników, zawałiła koncert. A potem dwa razy nie pojawiła się na próbie. Bez żadnej przyczyny. Po prostu nie mogła wstać z łóżka. Nie przyznała się nawet Igorowi. Nie załatwiła zwolnienia. Nie zadzwoniła, żeby powiedzieć, że złapała gumę. Przez te dwa dni było jej zupełnie wszystko jedno.

W Portugalii też nie zagrała tak, jak powinna. Starła się, naprawdę. Ale mina dyrygenta mówiła sama za siebie.

Naprawdę nie mogła sobie pozwolić na kolejną wpadkę. Nie mogła się spóźnić.

Szlag! Już zaczęli!

Przepychała się, zdyszana, między kolejnymi muzykami. Potrącała instrumenty. Zrzuciła nuty dwóm wiolonczelistkom.

– Przepraszam. Przepraszam bardzo – szeptała, torując sobie drogę do swojego krzeselka.

– Jak miło, że już jesteś. – Głos kierownika orkiestry brzmiał, jakby zatopiono w nim kryształki lodu. – W takim razie zaczynamy jeszcze raz, z Dagmarą.

Czuła, że drżą jej ręce. Rozłożyła pulpit, otworzyła nuty. Ten rytuał zawsze działał na nią uspokajająco.

Szlag! Jak mogła tak się pomylić!?

– Przepraszam. Zaczęłam za wcześnie – mruknęła, czerwona jak burak.

– Jeszcze raz. – Głos kierownika zamroził powietrze w sali prób. Nie zdziwiłaby się, gdyby na szybach zaczęły pojawiać się fantazyjne kwiaty rysowane szronem.

Szlag!

Zagryzła wargę, próbując powstrzymać łzy.

– Pięć minut przerwy! – zarządził kierownik. – Dagmara, pozwól do mnie.

Wszyscy bezszelestnie wyszli z sali. Nawet dyrygent, który był gościem specjalnym ich orkiestry, zaproszonym tylko na trzy koncerty. O nic nie pytał, niczemu się nie dziwił... Po prostu wyszedł na korytarz.

Była jak sparaliżowana. Wiedziała, że kierownik oczekuje wyjaśnień. Stał bez słowa. Czekał. A ona umiała wydukać tylko:

– Ja naprawdę bardzo przepraszam, ja dzisiaj...

– Nie chodzi tylko o dzisiaj. – Był naprawdę wściekły. – Dagmara, ja nie jestem idiotą. Widzę od dłuższego czasu, że coś się dzieje. Nie kontrolujesz się. Jesteś w złej formie. Weź kilka dni wolnego, odpocznij. Potem będziesz ćwiczyć z dublerami.

Z dublerami? Czy to miało oznaczać to, co myślała?

– To znaczy, że... – Nie mogła nawet powiedzieć tego głośno.

Pokiwał głową.

– Stawiałem na ciebie, mimo wszystkich wpadek. Zabrałem cię do Portugalii, chociaż miałem Fabiana, który aż rwie się do grania... Ale widzę, że naprawdę dzieje się coś złego. Zadbaj o siebie, załatw swoje sprawy. Fabian zastąpi cię przez ten czas.

Dagmara oparła się o ścianę. Zrobiło jej się ciemno przed oczami.

– Ale... Ja naprawdę... – Chciała coś powiedzieć, zaprotestować, ale brakowało jej słów.

– Nie ma dyskusji. – Szef odwrócił się na pięcie i zaczął w skupieniu porządkować swoją teczkę. – Nie możemy pozwolić sobie na błędy w sobotnim koncercie. Ani, tym bardziej, na festiwalu w Szwajcarii. Wrócisz do pierwszego składu, kiedy będziesz w lepszej formie.

## ROZDZIAŁ 21 ŁATWA RECEPTA

– Kto dzwonił? Znowu ona? Tym razem na twój numer? – Monika już w południe wyciszyła swój telefon i odłożyła go do szafki. Nie chciała nawet sprawdzać, ile ma nieodebranych połączeń do Dagmary.

– Nie, tym razem jakaś doktor Marciniak z kliniki. Zajmuje się dawstwem zarodków. Mówi, że dzwoni do niej co chwilę pani Lor, z pytaniem o podpisaną przez nas zgodę.

– I co jej powiedziałaś?

– Prawdę.

– To znaczy?

– To znaczy, że wpadniemy w przyszłym tygodniu na Borowieckiego i załatwimy tę sprawę. Nie powiedziałem tylko jak.

– A jak zamierzamy ją załatwić? – Wcisnęła się w kąt kanapy, jakby chciała zniknąć.

Mateusz już od kilku dni nie widział na jej twarzy uśmiechu. A przecież była taka szczęśliwa! Jeszcze tak niedawno! Błyszczały jej oczy, niemal unosiła się nad ziemią. Dlaczego to nie mogło potrwać choć trochę dłużej? Dlaczego nie pozwolono im nacieszyć się tym szczęściem, na które czekali przez tyle lat?

– Jak zamierzamy to załatwić? – powtórzyła. – Masz jakiś pomysł?

– Żadnego – przyznał. – Ale i tak musimy tam iść. Zapłacić za przechowywanie zarodków... Albo podpisać tę zgodę.

– No tak. Tak. – Pokiwała głową.

Tak bardzo chciałyby mieć to już za sobą.

Jeszcze kilka dni temu ta decyzja wydawała się taka prosta i naturalna. Pomoc znajomym... Dobry dom dla śnieżynek... Ale gdy tylko zaczęli o tym myśleć... Nie teoretycznie, ale tak naprawdę... Wtedy wszystko nagle bardzo się skomplikowało.

Czuł, że musi o wszystkim opowiedzieć bratu. Jeśli ktoś miał jakoś mu pomóc wybrnąć z tej sytuacji... Zdecydować, co jest złem

mniejszym, a co większym... O ile istnieje w ogóle to słynne mniejsze zło... to tylko Marek. Musiał z nim porozmawiać jeszcze przed chrztem chłopców. Naprawdę musiał. Zbierał się przez trzy dni i trzy noce. Układał w myślach każde zdanie.

Nie chciał opowiadać Monice o tym, co planuje. Jeszcze tydzień temu była taka szczęśliwa.

Teraz siedziała w kącie i płakała całymi dniami.

Musiał coś z tym zrobić.

Drzwi na plebanię były otwarte. Marek siedział przy stole na wprost nich.

Na widok brata rozpromienił się, wstał i ruszył w jego stronę.

Mateusz wiedział, że nie może pozwolić mu mówić. Musiał wyrzucić z siebie to wszystko, zanim brat otworzy usta.

– Chciałem ci coś powiedzieć... – zaczął.

Marek uśmiechnął się szeroko i poklepał go po ramieniu.

– Nic nie musisz mówić, już wiem o wszystkim. Od wczoraj.

– Już wiesz? – Mateuszowi zakręciło się w głowie. Jakim cudem? Skąd? I dlaczego traktuje go w tej sytuacji tak przyjaźnie?

– Mama się wygadała.

– Mama? Boże! A skąd ona o tym wie?

Nie przeklinał, naprawdę. Ale tym razem do głowy cisnęły mu się wszystkie przekleństwa świata. Jakim, kurwa, sposobem mama dowiedziała się o in vitro... I o tej całej sprawie z zamrożonymi zarodkami, Dagą i Igorem? Przecież nie mówili nikomu! Naprawdę nikomu!

– Skąd ona wie? – powtórzył.

Marek znowu uśmiechnął się szeroko.

– No jak to skąd? Przecież dzwonił do niej z kurii, tak jak i do ciotki Lusi.

– Do ciotki Lusi? Z kurii? W mojej sprawie?! – Mateusz musiał przytrzymać się stołu.

– W twojej? – Brat spojrzał na niego zaskoczony. – A co ty masz z tym wspólnego?

Do Mateusza stopniowo zaczęło docierać, że zaszło jakieś gigantyczne nieporozumienie.

Bał się powiedzieć cokolwiek, żeby nie zdradzić, z czym przyszedł, zanim Marek nie odkryje swoich kart.

– Czekał, czekał! – powiedział ostrożnie. – Ja nic nie rozumiem...

– No przecież byli u mamy. U sąsiadów. U ciotek. W mojej parafii, w twojej...

– Co takiego? Kto był? – Mateusz uważał już na każde słowo.

Marek na szczęście nie.

– Nie udawaj, że nie wiesz, o czym mówię! Wszędzie zbierali opinie na temat wuja. Wiesz przecież doskonale, że zanim papież mianuje kogoś kardynałem, trzeba go przeświecić ze wszystkich stron. Jego przeszłość, kontakty, także rodzinę. Nie może być cienia wątpliwości...

– Wuj będzie kardynałem? – Mateusz nie wiedział, czy ma się śmiać, czy też płakać.

– Nie wiedziałeś? No jak to? Przecież powiedziałeś, że... Zresztą, nieważne! Pakuj się, lecimy do Watykanu! Zaraz po chrzcinach chłopaków!

Wsiadł do samochodu i oparł się o kierownicę. Nie miał siły nigdzie jechać. Mógłby tak zostać w aucie choćby do jutra. Nie chciał wracać do domu. Patrząc w zbolące, przerażone oczy Moniki. Przecież teraz, kiedy mieli dzieci... Przecież myślał, że to już skoczyło się na zawsze.

Musiał do niej jechać. Pomóc przy chłopcach. Po prostu musiał.

Przekręcił kluczyk w stacyjce. Samochód zakrzuszył się i zaskoczył, ale silnik pracował nierówno, fotele lekko podskakiwały na boki.

– Wiem, wiem, dawno nie widziałeś mechanika – mruknął do siebie. – Wezmę cię niedługo na przegląd, obiecuję.

Wolał myśleć o samochodzie niż o dwóch zarodkach, czekających na jego decyzję. I o wuju... Wuju, któremu na pewno złamaliby z Moniką nie tylko serce, ale i karierę... Gdyby dowiedział się, co zrobili...

Był już pewien, że nie może liczyć na Marka.

Nie w tym momencie.

Nominacja kardynalska dla wuja elektryzowała rodzinę od kilku



lat. Już pięć albo sześć razy okazywało się, że to tylko plotki. Ale tym razem...

Jak on to powiedział? Muszą przeświecić całą rodzinę?

– A jeśli prześwietlą i nas? – Westchnął. – Co znajdą, jeśli zaczną grzebać w naszej historii?

Samochód znowu się zakrzusił i zgasł na środku skrzyżowania. O nie! Tylko nie to! Nie może już pożyczać od Marka na mechanika. Wciąż jeszcze nie oddał mu tamtych pieniędzy.

– Zapal! No zapal! – Przekręcił kluczyk do oporu.

Zapalił. Udało się jeszcze raz.

Co będzie, jeśli nas prześwietlą? – zastanawiał się, coraz bardziej spanikowany. – Wuj pożegna się z nominacją... Marek pewnie też z marzeniem o byciu proboszczem... Staniemy się ulubionym przykładem dla połowy księży w tym kraju. Będą opowiadać na kazaniach o owieczkach, które zboczyły z właściwej drogi. I będą mieli rację.

Nie mógł o tym powiedzieć Monice. W żadnym wypadku.

Zjechał na parking pod supermarketem i szybko wybrał numer Marka.

– Co tam, braciszku? Zapomniałeś o czymś?

– Nie, nie... – Musiał o to zapytać prosto z mostu. – Słuchaj, jak oni będą nas prześwietlać? Przyjdą do pracy? Do sąsiadów?

– Boisz się? Nie do wiary! – Marka wyraźnie rozbawiło to pytanie. – Kto jak kto, ale ty chyba nie masz żadnych wielkich grzechów na sumieniu?

– Każdy coś ma – odpowiedział Mateusz, tak enigmatycznie, jak tylko potrafił. – Wiesz, nie chciałbym czymś niechcący zaszkodzić wujowi. Dlatego zastanawiam się, jakie są te przepisy...

– W obecnej sytuacji to raczej możesz pomóc wujowi, a nie mu zaszkodzić. – mówił Marek powoli. – Te chrzciny to dla niego idealna okazja, żeby pokazać się z dobrej strony... Pytał mnie ostatnio, czy długo staraliście się o dzieci... Czy można powiedzieć, że je wymodliliście, po wielu latach...

– I co? – zapytał Mateusz zduszonym głosem, zaciskając palce na telefonie.

– Powiedziałem mu, że tak, oczywiście. Mam nadzieję, że nie jesteś na mnie zły? Sam wiesz, o co chodzi... Nawet jeżeli nie do końca tak było, jeżeli nie staraliście się całymi latami, to dlaczego nie miałyby ująć tego w ten sposób w swoim kazaniu? Prawda? W końcu stawka, o którą toczy się gra, jest naprawdę duża... Musimy trochę go wesprzeć!

Tej nocy nie mógł zmrużyć oka. Dwa razy wstał do popłakujących chłopców i podał ich Monice, żeby nie podnosiła się z łóżka.

– Dziękuję, kochanie. – Uśmiechnęła się, przystawiając Jasia i Frania do piersi. Antoś musiał poczekać, choć obudził się, jak zwykle, razem z braćmi.

Co powinien zrobić? Jak może zapobiec katastrofie?

Może faktycznie trzeba jak najszybciej oddać zarodki do adopcji... Dadze i Igorowi albo komukolwiek innemu... Oddać i zapomnieć o całej sprawie.

Zupełnie, jakby dało się o niej zapomnieć...

Gdy tylko zamykał oczy, w jego głowie zaczynały brzmieć głosy Moniki, wuja Kazimierza, Marka... Wszystkich naraz.

– „Tak” dla in vitro to „tak” dla śmierci. – To oczywiście głos wuja. Silny, pewny. Zawsze mówił w ten sposób, nawet wtedy, kiedy bujał ich na kolanach jako małe dzieci. – Pamiętajcie, że in vitro to synonim wysublimowanej, wyrafinowanej, przeprowadzonej z pełną premedytacją aborcji!

Przeszedł go dreszcz, kiedy przypomniał sobie te słowa.

Ale zaraz zagłuszył wuja inny, równie stanowczy głos.

– Nie mają napisane na czole, że są z in vitro! – To Monika.

Wściekła jak wtedy, w parku.

Nie mają napisane... Oczywiście, że nie. Jakim sposobem ci ludzie, sprawdzający wuja i jego rodzinę – kimkolwiek byli – mieliby się tego dowiedzieć?

– Trzeba go prześwietlić ze wszystkich stron. Jego przeszłość, kontakty, także rodzinę. Nie może być cienia wątpliwości... – To z kolei mówił Marek.

Skąd on mógł wiedzieć, że sprawdzają wszystkich z rodziny? Przecież na pewno robili to bardzo dyskretnie...

Dyskretnie? W takim razie już dawno mogli znać prawdę. Obserwować ich. Robić zdjęcia. Przeszedł go znowu zimny dreszcz. Dlaczego nie pomyśleli, żeby chodzić na badania kontrolne i do lekarza w normalnej przychodni? Po co przez całą ciążę biegali do ginekologa na Borowieckiego? Do budynku, który ma nad drzwiami wielki napis „Klinika leczenia niepłodności”. Przecież wiadomo, jak się leczy niepłodność w takich miejscach! Nie ziółkami, nie hipnozą, nie witaminkami... Podawali na tacy informacje wszystkim, którzy chcieliby je znaleźć. Wszystkim!

Ale przecież klinikę obowiązuje tajemnica lekarska. Nie powiedzą nikomu. Nawet wysłannikom z Watykanu.

Oprócz lekarzy wiedziały tylko dwie osoby.

Tylko dwie...

Co będzie, jeśli przyjdą do Igora i Dagmary? Jeśli dowiedzieli się jakoś o ich przyjaźni? Jeśli widzieli Monikę z Dagą na zakupach albo w spa? Jeśli mieli dowody ich wspólnego wyjazdu na Comino? Kto wie, kiedy zaczęto zbierać te informacje... Przecież nominacji kardynalskiej nie przyznaje się z dnia na dzień.

Co będzie, jeśli ktoś poprosi Igora i Dagę o rozmowę? Co oni powiedzą tym szpiegom z Watykanu?

Wiedział, że nie ma wyjścia. Musiał przekonać Igora, żeby go krył. Musiał się przed nim poniżyć. Jeszcze ten jeden raz. Tylko on i Dagmara stanowili zagrożenie. Tylko oni dwoje.

Gdy o świcie obudziło go kwilenie Frania, miał już gotowy plan.

Oddadzą te zarodki. Zrobią to, czego chcą Igor i Dagmara. Ale nie za darmo. Oddadzą – i kupią sobie w ten sposób ich milczenie.

W razie, gdyby ktokolwiek i kiedykolwiek pytał ich o tę znajomość, powiedzą, że Mateusz to kolega ze szkoły. Dawny znajomy. Więcej nic. Ani słowa na temat kliniki. Wyciągnie od nich tę obietnicę. Jeszcze dzisiaj.

Tak. Zadowolony pokiwał głową. Tak. To właśnie będzie pierwszy warunek.

Był jeszcze drugi. Drugi warunek, który muszą spełnić, żeby dostać ich zarodki.

Wiedział dokładnie, jak to powie. Krótko i na temat. Bez cienia wątpliwości:

Znikniecie. Obydwoje. Zaraz po transferze.

Tak, to było konieczne. Wiedział już, że Igor i Dagmara muszą zniknąć jak najszybciej. Że muszą zniknąć z ich życia na zawsze. Postawi im taki warunek, a oni go wypełnią. Dla dobra wszystkich. Tak, by dzieci nigdy nie się nie spotkały, nawet przypadkowo. I by rodzina Mateusza nigdy się o niczym nie dowiedziała.

*Spotkajmy się jutro. Bez dziewczyn. Tylko my dwaj.*

SMS od Mateusza bardzo go zaskoczył.

Najpierw unikają ich jak ognia, nie odbierają telefonów, a teraz coś takiego?

*Dagmara usiłuje się z wami skontaktować od tylu dni. Co się dzieje?* – zapytał.

Frędzel nie odpisywał dłuższą chwilę.

*Nic złego, naprawdę. Przyjdź sam. Pogadamy o wszystkim.* – Napisał wreszcie, chyba po kwadransie.

O nie! Igor nie zamierzał bawić się w podchody.

*Powiedz konkretnie, o co chodzi. Nie mam czasu.*

Powinien to chyba zrozumieć? I odkryć karty.

Mateusz jednak nie chciał tego robić.

Cały jego plan opierał się przecieŜ właśnie na tym, Ŝeby nie został Ŝaden ślad w SMS-ach ani na poczcie głosowej. Już i tak było za wiele śladów tego, co się stało. Musieli załatwić to bez świadków. W cztery oczy.

*Przyjdź. To potrwa tylko chwilę.*

Ŝaden z nich nie spał dobrze kolejnej nocy.

Mateusz bił się z myślami. Zgodzi się czy nie? Nie mógł nic wywnioskować z jego zachowania. Wysłuchał go i odjechał tym swoim kabrio bez jednego słowa.

Denerwował się coraz bardziej.

JuŜ nie miał tego wspaniałego poczucia, Ŝe znalazł prostą receptę na wszystkie kłopoty. Igor i Dagmara zabiorą zamroŜone zarodki i odjadą, bez Ŝadnych protestów, na drugi koniec świata. Albo

przynajmniej Europy. I wuj ani ludzie z Watykanu nigdy o niczym się nie dowiedzą. Bo przecież, oprócz Dagi i Igora, prawdę znają tylko pracownicy kliniki, których obowiązuje tajemnica lekarska. Jedyne zagrożenie zniknie na zawsze.

Czy on naprawdę w to wierzył? Czy wierzył, że przekonał Igora? Bardzo chciał, żeby tak było.

Ale z każdą chwilą miał coraz więcej wątpliwości.

Poczuł się podle, kiedy dotarło do niego, że wcale nie myśli już o zarodkach. Że teraz broni tylko własnego tyłka... I tyłka swojego wuja.

Cóż, to chyba prawda, że każde kolejne przestępstwo popełnia się coraz łatwiej. Że jeśli raz przekroczy się granice, to potem jest już z górki. Czytał kiedyś wywiad z zawodowym mordercą. Płakał za pierwszym razem. A potem strzelał w głowy kobietom i dzieciom bez mrugnięcia okiem. Widział w telewizji mężczyznę bijącego żonę. Inny kaliber sprawy, ale wnioski były dokładnie takie same. Gdy uderzył pierwszy raz, nie mógł spać przez całą noc. Potem bił już tak, jakby robił sobie herbatę.

Ze zdradzaniem żony pewnie też jest podobnie.

Nie zamierzał próbować.

Ale wiedział, że łamanie zasad... zasad, których trzymał się od dzieciństwa... które były najważniejszym drogowskazem... Wiedział, że ich łamanie przychodzi mu coraz łatwiej. Tak naprawdę najtrudniejszy był ten pierwszy raz. Wizyta w klinice i to głupie badanie, przed którym tak się bronił. W imię wiary! Potem było już z górki.

Aż do dziś, gdy podjął tę decyzję. Odda zarodki. Ale w zamian za milczenie.

Czy to był szantaż? Czy on naprawdę właśnie tym sposobem, ze strachu, został szantażystą?

Nie mógł zrozumieć, jak do tego doszło.

Wcisnął twarz w poduszkę.

Tak bardzo chciałby porozmawiać o tym z Moniką, opowiedzieć jej o wszystkim. Wiedział jednak, że nie może. Chciał ją chronić.

A poza tym... To był jego wuj. Jego wuj i jego sprawa.

Monika mogła tylko wszystko skomplikować.

Igor siedział na tarasie, palił papierosa, pierwszego od wieków, i z niedowierzaniem kręcił głową. Frędzel! Kto by pomyślał! Ten mały, gamoniowaty Frędzel wymyślił sobie sposób na pozbycie się go z Warszawy. Niby to szlachetnie, ze względu na wuja! Chciało mu się śmiać, kiedy o tym usłyszał.

Wciąż bił się z myślami, czy powinien powiedzieć Dagmarze.

Taka była zachwycona przyjaźnią z Moniką. Taka pewna, że przyjaciółka jej nie zawiedzie, że słowo, które dała jest święte... A teraz co?

Ale może Monika o niczym nie wie? Może Frędzel sam opracował ten swój sprytny plan?

– O nie, frajerze – szepnął, patrząc w ciemność. – Nie ze mną takie numery.

Postanowił przejąć inicjatywę.

Na sobotę zaplanowano chrzest trojaczków. Nie zamierzali tam iść. Nie lubili takich uroczystości. Ale w tej sytuacji... Tak, w głowie Igora też kiełkował już pewien plan.

## ROZDZIAŁ 22 NIEOCZEKIWANY GOŚĆ

Cały kościół wypełniali ludzie. Nie mieścili się w ławkach. Kilkanaście osób stało nawet na dworze. Były kamery. TVN24, Polsat, TVP. Nawet jakaś zagraniczna stacja z dziwnym logo w kształcie ziarenka kawy... Monika westchnęła ciężko i mocniej zacisnęła ręce na uchwycie wózka. Doskonale wiedziała, czyja to robota.

– Z rodziną dobrze wychodzi się tylko na zdjęciach – mruknęła do siebie. – Kochany szwagier, zawsze można na niego liczyć...

Mareczek z pewnością obdzwonił wszystkie media z zaproszeniem na to doniosłe wydarzenie. Ostatnia msza biskupa Kazimierza przed wyjazdem do Watykanu. Ale czy naprawdę taka informacja wystarczyłaby, żeby zainteresować największe stacje telewizyjne? Przecież nie tylko o nim jednym plotkowano, że zostanie na najbliższym konsystorzu mianowany kardynałem. Tak naprawdę ciągle nie było pewności...

Wózek z trudem mieścił się w przejściu między ławkami.

– Pomóż mi – szepnęła do Mateusza.

Posłusznie przejął od niej wózek i, wyprostowany jak struna, ruszył nawą główną.

Przy ołtarzu czekali już Grażyna z Witkiem, Renata z Darkiem i Dorota z Pawłem. Trzy pary rodziców chrzestnych. Wszyscy eleganccy, poważni, przejęci rolą. Nikt oprócz Moniki nie zauważył chyba, jak bardzo drżą Renacie ręce i kąciki ust. Nie znosiła być w centrum uwagi, nie spodziewała się zainteresowania mediów. Nikt jej nie uprzedził. Bo kto mógłby przewidzieć, że Mareczek wywinie coś takiego?

Z każdą chwilą Monika robiła się coraz bardziej wściekła. Jakim prawem Marek wyciął jej taki numer? Dlaczego posłużył się jej dziećmi, żeby ocieplić wizerunek wuja? Była pewna, że to zrobił, mniej więcej od trzeciej minuty mszy. Wszystkie kamery były skierowane na nich i na dzieci. Nie na biskupa stojącego przy ołtarzu. Co on powiedział tym dziennikarzom? Dlaczego ich trojaczki miały być takie niezwykle, że

przyciągnęły największe media w Polsce?

Zagadka rozwiązała się w czasie kazania. Biskup Kazimierz, rzecz jasna, głosił je osobiście.

– Moi kochani, to dla mnie cudowny dzień – zwrócił się z ambony wprost do Moniki i Mateusza. – To dzień, gdy miłosierdzie Boże objawia się w całej swej pełni. Wasza niezłomna wiara dała owoce, które dziś wszyscy tu widzimy.

Dzieci rozpląkały się jak na komendę. Nawet Franio, najspokojniejszy z całej trójki, krzychał tak, że było go słychać chyba nawet w zakrystii.

Biskup uśmiechnął się ciepło i wrócił do przerwanej myśli:

– ...Tak, wasza wiara dała owoce, które tu widzimy i słyszymy! Krzyczcie, dzieciaczki! Krzyczcie ile sił w płucach. Dawajcie tym krzykiem świadectwo, że można wymodlić nawet to, co wydaje się niemożliwe. Mam nadzieję, że nie zdradzam tu żadnego sekretu mówiąc, że staraliście się, Mateuszu i Moniko, o te małe szczęścia od wielu lat. Lekarze na pewno nie wierzyli już, że wam się uda. Namawiali do decyzji, na które jako katolicy zgodzić się nie mogliście. Wszyscy wiemy o czym mowa. Tak, lekarze z pewnością przekonywali was, że bez in vitro nigdy nie zostaniecie rodzicami.

Monika gwałtownie wciągnęła powietrze. Skąd on wiedział, że się starali? Że chodzili do lekarzy? Przecież nie rozmawiali o tym z rodziną, ani razu? Przecież jeszcze niedawno teściowa wmawiała Mateuszowi, że jego żona po kryjomu łyka tabletki antykoncepcyjne!

– Rozmawiałeś z nim o tym? – szepnęła do Mateusza. –

Rozmawiałeś z wujem?

Odwrócił wzrok, mrużąc:

– To nie tak...

A więc rozmawiał! Ale z kim? Z matką? Czy z Mareczkiem?

Szarpnęła go za rękaw.

– Rozmawiałeś – powiedziała oskarżycielsko.

– Marek pokręcił wszystko, co mu mówiłem – wyszeptał Mateusz, najciszej jak potrafił. – Wiesz, dzwoniłem do niego kilka dni temu...

Pytał, czy długo staraliśmy się o dzieci...

– A ty? Co mu na to odpowiedziałeś?



– Nic. To znaczy... ja tylko przyznałem, że dość długo. Nie podawałem żadnych szczegółów, naprawdę. Sam domyślił się reszty... to znaczy, no, trochę sobie dopowiedział.

– Ale po co... – Nagle zrobiło jej się strasznie duszno. – Po co on cię o to pytał?

– No wiesz... Chodziło o wuja. Bardzo chciał wspomnieć o tych długich staraniach w kazaniu...

– Wspomnieć?! – jęknęła Monika, chyba trochę za głośno.

Oczy całej szóstki rodziców chrzestnych zwróciły się w jej stronę. Biskup chrząknął znacząco.

Monika zaczerwieniła się i spuściła wzrok, wściekła na męża i na szwagra. Nie mogła nawet zdecydować, na którego z nich bardziej.

Wuj tymczasem wziął głęboki oddech i mówił dalej:

– Tak, lekarze z pewnością niejednokrotnie namawiali was na in vitro. Ale wy im nie wierzyliście. Odmawialiście poddania się tym zabiegom, stojącym w sprzeczności z bożymi prawami, i modliliście się dalej, jeszcze żarliwiej! I, wybaczone mi, drodzy, ten kolokwializm... I zagraliście na nosie wszystkim niedowiarkom! Pokazaliście im, że dla Pana Boga nie ma rzeczy niemożliwych! Że nie potrzeba próbek i zimnych stalowych szczypiec, które połączą wasze komórki!

Mateusz zaczął kaszleć. Monika nerwowo poprawiała dzieciom ubranka, omijając biskupa wzrokiem.

Wuj najwyraźniej się rozkręcał. Był bardzo szczęśliwy i chciał się z tym podzielić z całym światem. Monika słyszała już wiele jego kazań. Porywających, pełnych pasji... Ale nigdy nie mówił w taki sposób. Z takim żarem, z samej głębi serca.

Poczuła nagle, że coś ją dławi w gardle. Jak długo będzie mogła utrzymać to wszystko w tajemnicy? Jak zdoła wyjaśnić teściowej, że nie przystąpiła dziś do komunii? Wiedziała, że nie może tego zrobić. Nie może. Przecież jest grzesznicą. I, co najgorsze, wcale nie czuje żalu i skruchy. Nie chce błagać w konfesjonale o wybaczenie. Grzeszy więc dodatkowo pychą. Stawia się wyżej od Boga... Wyżej od wuja... Nie powinna już nigdy przestąpić progu kościoła.

Uspokój się – powiedziała sobie, oddychając głęboko i uśmiechając się do Renaty, trzymającej na rękach nieszczęśliwego,

zapłakanego Jasia. – Nie wszyscy biskupi uważają in vitro za grzech śmiertelny. Nie wszyscy...

Głos biskupa zagłuszył jej myśli.

– Dziś Bóg i jego moc triumfują w tym kościele! – zawołał, a oko kamery, tej zagranicznej, ze stylizowanym ziarenkiem kawy, omiotło cały kościół, wypełniony ludźmi jeszcze szczelniej, niż kiedy do niego wchodził. – To chwila wielkiego triumfu! A dla mnie osobiście to prawdziwe ukoronowanie pracy duszpasterskiej. Najpiękniejszy moment, jaki mogę przeżyć, jako kapłan i jako twój, drogi Mateuszu, wuj. Trudno by było sobie wymarzyć piękniejsze ukoronowanie posługi biskupiej niż chrzest waszych dzieci. Dzieci poczętych w wierze, miłości, zaufaniu do Pana Boga i jego decyzji. Bez nowoczesnej ateistycznej medycyny. Bez in vitro, które miało być waszą jedyną szansą. Zbliźcie się, kochani, do ołtarza. Jestem dumny, że mogę ochrzcić wasze dzieci.

Monika kątem oka dostrzegła, że z Mateuszem dzieje się coś złego. Zastygł w bezruchu, a potem opadł na ławkę i zaczął płakać. A przecież ostatnio był taki twardy, taki opanowany... tak wspierał ją w tych najtrudniejszych chwilach! Położyła mu rękę na ramieniu, chciała coś szepnąć... Biskup był jednak szybszy.

– Widzę twoje wzruszenie, Mateuszu. I nie dziwi mnie ono ani trochę.

Biskup wskazał dłonią pierwszą ławkę. Reporterzy natychmiast wycelowali kamery w Mateusza i jego żonę.

Monika była naprawdę zdumiona, że Mateusz tak się rozkleił. Nie miała pojęcia, że za filarem, w bocznej nawie, stał Igor i robił zdjęcia.

Ustawił się tak, żeby Mateusz mógł obserwować każdy jego ruch.

Wiedział, że odczyta ten sygnał tak, jak powinien.

Z miejsca, gdzie stała Monika, widać było tylko jego rękę i ramię, ubrane w czarną marynarkę. I błyskający flesz.

Jeszcze jeden fotograf zwabiony przez Marcinka – pomyślała Monika. – Ten przynajmniej ubrał się stosownie do okazji.

Słuchając kazania głoszonego z taką pasją, Igor pogratulował sobie w duchu.

Ten gnojek naprawdę ośmiela się go szantażować? Chce go zmusić do wyjazdu? Bo, jak się okazuje, ukrywali przed całą rodziną to, że się leczyli? Wujcio biskup na pewno nie byłby zachwycony, gdyby usłyszał kilka szczegółów.

Cóż, być może będzie musiał poznać prawdę...

Jeśli Frędzel szybko nie pójdzie po rozum do głowy i nie przestanie stawiać tych głupich warunków.

Nie ma mowy, nigdzie nie wyjadą.

Mieszka w Warszawie od szóstego roku życia. I żaden Frędzel nie będzie go stąd wyrzucał!

Postanowił zrobić kolejny krok.

Monice też przyda się małe przypomnienie o danej obietnicy. Przecież od tylu dni nie oddzwoniła do Dagmary...

Dagmara. Na myśl o niej zacisnął usta. Robił to dla niej. Tylko dla niej. Bardzo chciał, żeby była szczęśliwa.

Zbliżył się do ołtarza, powoli, o krok... Biskup akurat robił znak krzyża na czole jednego z chłopców. Igor ciągle ich nie odróżniał. Malec darł się w niebogłosy.

Jeszcze jeden krok.

Wycelował aparat prosto w Mateusza.

Ten zauważył go w ostatniej chwili. Zamarł w bezruchu. Zrozumiał, co próbuje mu powiedzieć. Tak, zrozumiał. Piłka była teraz po stronie Igora. Jeśli Frędzel kiedykolwiek miał w tej grze przewagę, to stracił ją nieodwołalnie.

Monika zobaczyła, że coś się dzieje. Rozejrzała się półprzytomnie i dostrzegła twarz fotografa. Przez ułamek sekundy nie mogła sobie uświadomić, skąd go zna. Jakiś nieoczekiwany gość? Dawno niewidziany kuzyn? Dopiero potem zrozumiała, że to Igor. Postać z innego świata, tak odległego od tego, co działo się tu dzisiaj.

To miał być taki piękny dzień.

Monice zakręciło się w głowie.

*Mam za swoje – pomyślała. – Zamiast szczerze pogadać z Dagmarą, lawiruję, unikam rozmowy... Tak się nie da. Igor przyszedł mi o tym przypomnieć.*

Podążyła Frania Grażynce dosłownie w ostatniej chwili.

Biskup znowu mówił coś o prawdziwej, dobrej katolickiej rodzinie. Stawiał ich za wzór.

Jakaś kamera zbliżyła się do jej twarzy.

Świat wirował coraz szybciej i szybciej. Musiała usiąść, chociaż na momencik.

– Co za wstyd! – Głos teściowej dobiegał z daleka, jakby przez grubą ścianę. – Zrobiła pośmiewisko z nas i z wuja!

*A więc już wiedzą. Już po wszystkim.* Ta myśl przyniosła Monice ulgę. Igor opowiedział na pewno, jak się poznali... Opowiedział o in vitro, o śnieżynkach... Już nie trzeba niczego ukrywać. Wszyscy znają już prawdę o ich dzieciach...

– A ja myślę, że to całkiem dobrze wypadło. – Drugi głos, donośniejszy i bardzo zadowolony, należał do Marcuszka. – Młoda mama, przemęczona, niewyspana, ale szczęśliwa... Poruszona słowami biskupa tak bardzo, że aż mdleje na środku kościoła... To będzie świetnie wyglądało w serwisach informacyjnych!

– Czy ja zemdlałam? – próbowała zapytać, ale nie była w stanie wydobyć z siebie choćby szeptu. Powieki też nie chciały się unieść choćby o milimetr. Leżała na czymś twardym i zimnym.

Na litość boską! – Myśleć na szczęście mogła już dość sprawie. – Na litość boską, zostawili mnie tam, gdzie padłam? W nawie głównej? Nie podłożyli nawet nic pod głowę?

– Zostawcie nas samych. – To był głos Mateusza. Dobiegał jak zza mgły. – Proszę, zostawcie nas samych. Wszyscy.

Wokół jej głowy rozległy się szurania, stukoty obcasów...  
I wreszcie cisza.

– Mamo, ty też. Bardzo cię proszę. – No tak, oczywiście, słowo „wszyscy” nie dotyczyło jego matki.

Próbowała coś powiedzieć, ale wciąż jej się nie udawało.

Powoli przypominała sobie to, co się wydarzyło.

Franio... Trzymała na rękach Frania, na pewno. Czy nic mu się nie stało? Dlaczego nie słyhać płaczu dzieci? Kto je zabrał? I dokąd?

Usiadła raptownie. Świat zawirował wokół niej. Musiała zamknąć oczy.

– Gdzie dzieci? – Jakimś cudem zdołała wydobyć z siebie te dwa słowa.

– Wszystko dobrze, kochanie. Wszystko będzie dobrze. – Twarz Mateusza, z jakiegoś tajemniczego powodu trochę nieostra i rozciągnięta na boki, pojawiła się tuż nad nią. – Maluchy są z Grażynką i Renią. Zaraz cię do nich zabiorę.

Przypomniała sobie nagle inną twarz. Twarz Igora, która też pojawiła się tak nagle... To przez niego straciła przytomność. Przestraszył ją swoją obecnością, zawziętą miną, tym aparatem, czarną marynarką... Wiedziała, że chciał dać jej znak. Czytelny znak: Nie dam się spławić. Obiecałaś zarodek. Dotrzymaj słowa.

– Musimy oddać im te zarodki – powiedziała słabo. – On przyszedł tu po nie, prawda? Po nasze śnieżynki.

Mateusz pokiwał głową.

Unikał jej wzroku.

Wiedział, że musi powiedzieć jej prawdę. Wyznać, co zrobił... Co chciał zrobić. Dla niej, dla wuja, dla dzieci... Trochę też dla siebie... Ale to było cholernie trudne. Wiadomo było, że się wścieknie.

Sam wściekał się na siebie.

Powinien załatwić to jakoś inaczej. Powinien powiedzieć Monice od razu po rozmowie z Markiem. Ona inaczej rozmawiałaby z Igorem. W jej ustach to nie zabrzmiałoby jak szantaż... Nawet gdyby nim było.

Ona nie doprowadziłaby Igora do ostateczności.

## ROZDZIAŁ 23

### ŁAPÓWKA, SZANTAŻ I INNE CHWYTY NIEDOZWOLONE

Jak mógł nie pomyśleć o tym wcześniej? Przecież to wcale nie musi być ten konkretny zarodek! Na świecie są przecież tysiące tych, jak chciała je nazywać Daga, śnieżynek. Tylko czekają, aż ktoś wyciągnie je z ciekłego azotu. Dlaczego upierali się akurat na te dwa?

– Załatwimy to w klinice, bez frędzlowej łaski – powiedział nieoczekiwanie Igor. – Umówiłem nas jutro na spotkanie.

To nie musi być nasz zarodek – uświadomiła sobie Monika, niemal w tym samym momencie. – Może być jakikolwiek, prawda? Byle był...

Zadzwoiła do kliniki, nie podając swojego nazwiska. Potem do drugiej. I trzeciej.

Wreszcie usiadła do Internetu i zaczęła przeszukiwać ogłoszenia.

To chyba nie było legalne? Płacenie obcym ludziom za coś takiego?

Nie miała pojęcia, ile to może kosztować. Jak się to załatwia. Prawdę mówiąc, bała się nawet rozmowy telefonicznej. A jeśli to ogłoszenie to prowokacja? Jeśli po drugiej stronie siedzi policjantka, udająca tylko kobietę oferującą „komercyjny zarodek”?

Nie wiedziała, skąd wezmą pieniądze. Mieli same długi. Marek na pewno nie zechce pożyczyć im więcej. Teściowa też. Brat Moniki, z bratową i dziećmi, dopiero urządzali się w Anglii. To raczej oni potrzebowali teraz pomocy...

– Coś wymyślę. – Zacisnęła zęby. – Jeśli tylko znajdę dla nich tę śnieżynkę... Jeśli tylko przestaną nas dręczyć... Nie chcę, żeby Igor pojawiał się jak duch w najmniej spodziewanych momentach. Nie chcę, żeby mnie straszył!

Wiedziała, że nie zgodzi się, żeby ci ludzie wychowywali jej dziecko. Nigdy.

Choćby miało na zawsze pozostać w ciekłym azocie.

Będzie tam bezpieczniejsze niż pod opieką tego dryblasza o krzywym, bezwzględny uśmiechu.

Jak ta Dagmara mogła się w nim zakochać?

Zadzwoiła pod wszystkie numery znalezione w Internecie. Pod wszystkie.

Nie było wątpliwości. Nigdy w życiu nie będzie ich stać, żeby kupić zarodek. Nigdy.

Musieli załatwić to inaczej.

– Chodzi o adopcję zarodka – powiedziała Dagmara. –  
Chcielibyśmy zapisać się na listę oczekujących.

Doktor Truszewski zerknął na monitor komputera, stuknął kilka razy jednym palcem w klawiaturę i oświadczył:

– Oczywiście, wpiszę państwa na listę... Ale nie będę ukrywać, że sytuacja jest trudna. Gdyby przyszli państwo w tej sprawie kilka miesięcy temu, prawdopodobnie mielibyśmy zarodek do dyspozycji niemal natychmiast. Ale teraz... Sami widzicie, co się dzieje w związku z tą nową ustawą. Nie wiemy ciągle, na czym stoimy, brakuje przepisów szczegółowych, rozporządzeń, mamy mieć nowe centralne rejestry... A póki co, mamy codziennie nowe awantury o zamrożone zarodki, w telewizji, w sejmie, w senacie, na ulicy...

Daga i Igor pokiwali głowami. Wiedzieli to wszystko, oczywiście. Ale jaki to miało związek z ich sytuacją? Nie chcieli zmieniać ustawy, tylko wpisać się na listę...

– Atmosfera nie jest najlepsza – mówił lekarz dalej. – Ujawnienie rejestrów dawców w Niemczech, tysiące pozwów o alimenty od dzieci urodzonych przed laty dzięki bankom nasienia... Naprawdę mamy ciężki moment, panuje chaos, nikt nie wie, co nam wolno, a czego nie. Wiele par wycofuje swoją zgodę na adopcję ich zarodków. Inne nie będą miały czego oddać, choćby chciały, bo ustawa pozwala tworzyć znacznie mniej zarodków niż do tej pory. Kolejka oczekujących gwałtownie się wydłuża. Dodatkowo mają zacząć obowiązywać nowe zasady, dotyczące

podobieństwa fenotypów, czyli cech fizycznych dawców i biorców. Pan jest bardzo wysoki i szczupły... Wyjątkowo wysoki... Zaś pani bardzo drobna i śniada... Jeśli te zapisy wejdą w życie, bardzo trudno nam będzie znaleźć podobną parę.

– Ale my wcale tego nie oczekujemy! – zaprotestowała Dagmara, ściskając mocno poręcz krzesła. Czyżby kolejna szansa właśnie zniknęła za zakrętem? – Nie przeszkadza nam, że dziecko będzie jasnowłose, pulchne, niepodobne do nas!

– My przecież wcale nie chcemy korzystać z programu rządowego, z refundacji, ułatwień... – zaprotestował Igor. – Chcemy to przeprowadzić prywatnie. Zapłacić... tyle, ile trzeba... Albo więcej...

– Słucham? – Doktor Truszewski zaczął bawić się długopisem.

– Chcemy zapłacić. Pieniądze nie mają znaczenia. Proszę tylko podać swoją cenę. I cenę dawców.

– Słucham?!

– Proszę powiedzieć, ile będzie kosztowało przyspieszenie i uproszczenie tego wszystkiego...

Dagmara zorientowała się od razu, że lekarz nie jest zachwycony podejściem jej męża. Próbowwała jakoś mu przerwać, stuknęła go w kolano, złapała za palce, za rękaw koszuli...

Wszystko na nic.

– Każdy ma swoją cenę, prawda? Pan też – powiedział Igor, patrząc doktorowi prosto w oczy.

Sekundę później zostali wyproszeni z gabinetu.

– Coś ty zrobił? – łkała. – Przecież ciągnęłam cię za rękaw, dawałam ci znaki...

– Myślałem, że tak mnie szarpiesz z emocji... Że nie możesz się opanować.

Nie wiedziała, czy ma się śmiać, płakać, czy może dać mu w twarz. Przecież to przez niego stracili ostatecznie szansę na wpisanie na tę listę!

– Zaproponowałeś mi łapówkę! – krzyknęła tak głośno, że wszyscy, którzy byli na parkingu, spojrzeli w ich stronę. – Powiedziałeś wprost, że zapłacisz za to, żeby przeskoczyć kolejkę! Żeby obejść procedury!

– Chciałem ci pomóc – mruknął, szukając po kieszeniach



kluczyków.

– Mnie??? Nie nam? Ta ciąża w ogóle cię nie obchodzi? – Nie kontrolowała się, wrzeszczała coraz głośniejszym głosem, po policzkach ciekły jej łzy.

Wiedziała, że została im tylko jedna szansa. Śnieżynki Moniki i Mateusza. Musieli ich jakoś przekonać. I mieli na to coraz mniej czasu.

– Nowe przepisy zabraniające dawstwa ze wskazaniem wejścia w życie lada chwila – uprzedził ich lekarz, zanim zaczęła się ta cała szopka z łapówką... Zanim wyrzucił ich z gabinetu. – Jeżeli jest ktoś, kto zgodzi się przekazać państwu zarodek, załatwcie to jak najszybciej, zanim sprawa zostanie uregulowana prawnie.

Musieli to załatwić.

Musieli ich przekonać.

Tylko jak?

– Przecież nam obiecali! Obiecali! – Zaczęła szlochać, oparta o srebrną maskę jego mitsubishi. – Przecież ja mam to nagrane!

– Co masz nagrane? – Nie zrozumiał.

Nie była w stanie odpowiedzieć.

– To... no to... – Łkała, wstrząsana dreszczami. Z trudem otworzyła torebkę i podała mu komórkę.

– Co mam z nią zrobić? – Przez moment nie miał pojęcia, o co jej chodzi.

A potem nagle przypomniał sobie tamten wieczór. Cała scena stała mu przed oczami. Urodziny Mateusza. Ohydny szampan dla dzieci o smaku rozpuszczonych landrynek. Jakieś śmiechy. I obietnica, którą złożyli on i Dagmara... Tak, pamiętał dokładnie. Wyciągnęła wtedy przed siebie komórkę, przytuliła go do siebie i nagrała tę obietnicę. Obietnicę, z której nigdy nie będą mogli się wywiązać. A potem... Potem nagrała podziękowania Moniki... i chyba Mateusza... I to, co powiedzieli. Ale jak to brzmiało? „My wam też”? „Zrobimy dla was w razie czego to samo”? Musiał wiedzieć dokładnie.

Nerwowo zaczął klikać w ekranik smartfona Dagmary. Nie miał nigdy telefonu tej marki, nie bardzo sobie z nim radził, ale w końcu znalazł to, czego szukał. Trwający półtorej minuty film.

Nacisnął niecierpliwie strzałkę z napisem „odtwórz”.

Daga przestała płakać, oparła głowę na jego ramieniu i też patrzyła w napięciu na komórkę.

Najpierw na ekranie pojawiły się ich roześmiane twarze. Dawno się tak nie śmiali. Igor niemal nie poznał Dagmary w tej beztroskiej dziewczynie z burzą loków. Od tak dawna nie rozpuszczała włosów. Od tak dawna nie odgarniała ich za ucho tym zawadiackim, prowokującym gestem. Zawsze kiedy to robiła, całował koniuszki jej palców. Nie mógł się powstrzymać.

To było tak dawno.

– Nie ma dźwięku! – Głos Dagi przywołał go do rzeczywistości. – Nie nagrałam dźwięku!

– Raczej masz wyciszoną komórkę. – Roześmiał się, widząc jej przerażoną twarz. – Gdzie tu ustawia się głośność?

Po kilku sekundach z głośnika dobiegł szum, śmiech i słowa Dagmary:

– Halo, halo! Ziemia do Mateusza! Mamy tu dla ciebie prezent z okazji urodzin. Niewidzialny, ale prawdziwy. Nasze zarodki! Jeśli tylko będziemy je mieli, bierz ile chcesz.

Igor, ten z filmiku, nie odzywał się ani słowem, tylko kiwał głową na znak, że zgadza się z żoną.

Potem mówiła coś Monika. Prawie nie było jej słychać. Siedziała po drugiej stronie stołu. Jeśli Daga nie zbliżyła do niej tej komórki, wszystko na nic! Głos był niemal nierozpoznawalny.

Zbliżyła! Jednak zbliżyła! Obróciła telefon i filmowała Monikę, trochę z góry i boku.

– Dziękujemy. Dziękujemy – mówiła blondynka na filmie. Teraz już było ją słychać naprawdę wyraźnie! Igor odetchnął z ulgą. Daga przywarła do jego ramienia. Obydwoje wiedzieli, że zbliża się decydujący moment nagrania.

– Dziękujemy. My też, w razie potrzeby, oddamy wam śnieżynkę... Albo dwie... Jeśli zdarzy się cud i będziemy je mieli. Prawda, Mateusz?

Obraz na ekranie rozmazał się, zatrząsnął, zciemnił... A potem pojawiła się na nim twarz Mateusza. Spięta, bez cienia uśmiechu.

Nerwowo, głośno przełknął ślinę, spojrzął prosto w kamerę i oświadczył:

– Dziękuję za życzenia. I potwierdzam: jeśli zdarzy się cud, chętnie

oddamy wam zarodek. Właśnie wam. To chyba byłoby najmniejsze zło? A teraz... eeee... Wyłączycie to wreszcie? Monika upiekła bajeczny tort czekoladowy...

*Koniec nagrania. Odtworzyć jeszcze raz?* – zapytała komórka.

Daga odwrócił wzrok od ekranu i spojrzała mężowi prosto w oczy.

– Widzisz? Widzisz? Obiecali, obydwójcie! Nie wymyśliłam sobie tego!

– Wiem, kochanie. Wiem. – Uśmiechnął się, tuląc ją mocno do siebie.

Nie zauważyła, że za jej plecami napisał coś szybko na telefonie. Pokiwał głową z zadowoleniem.

Już mu się nie wywiną!

Mateusz wyszedł z łazienki i zastał Monikę w stanie skrajnej hysterii. Leżała na kanapie, zwinięta w kłębek, z kolanami pod brodą, i zanosila się płaczem.

Od razu domyślił się, że to ma coś wspólnego z zamrożonymi zarodkami. Nie miała przecież żadnych innych powodów do płaczu. Naprawdę żadnych.

Ale dlaczego tak bardzo się zdenerwowała akurat teraz, kiedy brał prysznic?

Pochylił się i pogłaskał ją po włosach.

Zaczęła szlochać jeszcze bardziej.

Dopiero teraz dostrzegł komórkę, którą ścisnęła w dłoni.

– Dzwoniła Dagmara? – zapytał.

Pokręciła głową i podała mu telefon. Nie wiedział, czego ma szukać. Wszedł w listę ostatnich połączeń. Nie, to nie to. Od wczoraj z nikim nie rozmawiała.

Może SMS-y? Tak, bingo, to było to!

SMS od Daggmary sprzed siedmiu minut. MMS w zasadzie, bo dołączono do niego zdjęcie. Jakby zrzut ekranu? A na nim trochę nieostra, uśmiechnięta twarz Moniki.

– Co to za zdjęcie? – Nie rozumiał. – Przecież takie włosy to ty miałaś bardzo dawno temu?

– Rok temu – chlipnęła. – Nawet trochę więcej niż rok...

Przeczytał podpis pod zdjęciem:

*Pamiętacie ten dzień? Mamy filmik z waszą obietnicą. Dotrzymacie jej, czy mamy iść w tej sprawie do księdza biskupa?*

– Jak ona śmie?! – Dłonie Mateusza zacisnęły się w pięści. – To jest szantaż! Normalny szantaż!

– Zaraz do niej zadzwonię. – Monika wreszcie przestała płakać, ale głos ciągle drżał jej przy każdym słowie. – Dagmara na pewno tego nie zrobi. Wiem, że nie.

*Ale Igor robi to bez wahania* – pomyślał Mateusz.

Nagle w ułamku sekundy dotarło do niego, że tę wiadomość z komórki Dagi wysłał jej mąż. Ona napisałaaby to inaczej. Prosiłaby, błagała, odwoływała się do uczuć... Taki bezwzględny, zimny szantaż był zdecydowanie w stylu Igora.

– Nie zrobią tego. – Monika próbowała chyba przekonać bardziej siebie niż Mateusza. – Nawet gdyby chcieli, to przecież do wuja nie da się wejść ot tak, z ulicy... Ani dodzwonić... Zresztą w przyszłym tygodniu wuj będzie już w Watykanie. Do jego powrotu wszystko musi się jakoś rozwiązać.

Szantaż. Mateusz powtarzał w myślach to słowo.

To on pierwszy sięgnął po tę broń.

Teraz sam mógł nią oberwać.

Przez kolejne dwa dni SMS-y przychodziły regularnie, co dwie godziny. Nawet w środku nocy.

Zawsze takie same.

*Czas płynie. Kiedy wreszcie podpiszecie zgodę?*

Mateusz nie miał już cienia wątpliwości, że Igor nie zawaha się przed niczym. Absolutnie przed niczym.

Dręczył go w dzieciństwie z zimną krwią i tak samo zrobi to teraz. Będzie spokojnie patrzył na jego cierpienie. Tak samo jak wtedy.

Mateusz zawsze mu ulegał. Robił bez najmniejszego sprzeciwu to, co kazali Igor i Piotrek. Oddawał kanapki, kieszonkowe, nawet buty. Nigdy nie udało mu się wymazać z pamięci tego dnia, gdy wracał do domu boso, w śniegu, bo Igor postanowił zrobić z jego nowych butów stateczki z żaglami z papieru śniadaniowego i puścić je w przeręblu na środku zamrożonego stawu.

Buty natychmiast wypełniły się wodą i poszły na dno.

Dostał wtedy od mamy solidnie w skórę.

Wuj odbył z nim poważną rozmowę o tym, że trzeba szanować rzeczy, zdobyte z takim trudem, wystane w kolejkach, wyproszone u znajomych ekspedientek przez jego matkę, biedną wdowę.

Nie przyznał się, co się stało.

Nigdy się nie przyznawał. Ze strachu przed zemstą dwóch dryblasów z krzywymi uśmiechami.

Ale przecież od tamtych wydarzeń minęło już tyle lat. Dziś już się nie bał. Nie aż tak, jak wtedy. Musiał stanąć do walki, póki jeszcze jest czas. Nie odda zarodków. Nie odda, choćby miał za to zapłacić bardzo wysoką cenę.

Musiał zdobyć się na odwagę i jeszcze raz pojechać do Marka.

Ale jak miał tego dokonać?

Rozmyślał o wszystkim przez pół dnia. Zaplanował, co powie, w najdrobniejszych szczegółach. Powtórzył całą kwestię dwa razy przed lustrem.

Ale gdy, zaraz po wyjściu z pracy, podjechał pod plebanię, odwaga znowu go opuściła. Siedział w samochodzie i nie miał siły wejść do środka.

Kiedyś już tak było. Chciał poprosić Monikę o rękę. Wiedział, że się zgodzi. Że go kocha. Ale wiedział też doskonale, że nie ma jej wiele do zaoferowania. Że nie stać go nawet na wynajęcie kawalerki. Stał wtedy pod jej domem, patrzył w jej okna i nie miał odwagi nacisnąć dzwionka na jej drzwiach.

Napisał list. Podrzucił na wycieraczkę. Nacisnął guzik i uciekł na dół.

A potem czekał.

To był najbardziej romantyczny list, na jaki się zdobył w życiu. Jedyne romantyczne listy, jakie kiedykolwiek napisał. Na kartce w kratkę, wyszarpanej z notesu.

*Moniczko, Słońce moje!*

*Kocham Cię!*

*Chcę Cię prosić o rękę.*

*Zgodzisz się?*

*Nie stać mnie na wesele, na podróż poślubną... Obrączki będziemy mieli po moich rodzicach...*

*Wiesz, że nie jestem bogaty i nie mogę obiecać, że niczego Ci nie zabraknie... Ale mogę przysiąc, że będę Cię zawsze kochał, że będę wierny, uczciwy i będę ciężko pracował, by było nam jak najlepiej.*

*Niczego na świecie nie pragnę tak, jak zostać Twoim mężem i ojcem Twoich dzieci.*

*Jeśli się zgadzasz, zjedź na dół.*

*Czekam pod blokiem!*

*Twój Mateusz*

Zeszła wtedy na podwórko z oczyma płonącymi jak gwiazdy.

I wszystko jakoś się ułożyło. Nawet na podróż poślubną, na cudowny weekend w Berlinie, udało się jakoś zebrać pieniądze od gości.

Dziś bym już nie mógł tego zrobić. – Uśmiechnął się do siebie. – Dziś wszędzie są domofony...

Ale też... No jasne! Przecież nie trzeba nigdzie się zakradać, żeby podrzucić list. Przecież dziś wszyscy mają już komórki.

To była najszybsza droga. Musiał napisać do Marka! Jak najprościej przekazać to, co miał do powiedzenia.

Tak, żeby nie spadły na niego pierwszy szok... i pierwsza złość... Żeby rozmawiali już spokojnie.

Ale jak to ująć w stu sześćdziesięciu znakach? Albo w trzystu dwudziestu? Chyba komórka Marka przyjmuje takie długie SMS-y?

Próbował kilka razy.

*Zgrzeszyłem, musimy porozmawiać. Boję się, że wuj dowie się o wszystkim.*

Tak, to faktycznie było krótko... Ale nie wyjaśniało zupełnie niczego.

Więc może jakoś tak:

*Mieliśmy in vitro, mamy zamrożone zarodki, ktoś chce je zabrać i nas szantażuje. Boję się, że wuj będzie miał kłopoty.*

Lepiej, znacznie lepiej... Ale czy nie za ostro? Powinien okazać skruchę, nawet w takiej krótkiej wiadomości.

*Jest coś, czego się wstydzę. Zrobiliśmy coś... Nasi chłopcy są z in vitro. Mamy jeszcze dwa zamrożone zarodki. Oszczędź mi kazań. Chodzi o wuja. Ktoś nas szantażuje i może mu zaszkodzić. Zaraz u ciebie będę.*

Tak, to chyba brzmiało nie najgorzej? Policzył znaki. Tylko dwieście siedem. Świetnie. Treściwie, na temat, z delikatnym wstępem.

Nacisnął „wyślij”. Szybko, jak najszybciej, żeby znowu nie dopadły go wątpliwości.

Marek stał tyłem. Nie podał mu na powitanie ręki. Nie poklepał po plecach.

Powiedział tylko:

– Trzeba jak najszybciej zawiadomić wuja.

– Nie! – zaprotestował Mateusz. To była dokładnie ta rzecz, której

chciał uniknąć. Po to właśnie przyszedł do Marka.

– Przecież sam napisałeś, że was szantażują. Lada chwila ktoś to wyciągnie. Wykorzysta. Musisz zadzwonić i mu powiedzieć. Im wcześniej, tym lepiej. Będzie miał czas, żeby się jakoś przygotować na ten atak.

Mateusz wiedział, że brat ma rację. Ale to go przerastało. Nie mógł sobie nawet wyobrazić, że mówi coś takiego do biskupa.

– Nie dam rady... – jęknął. – Naprawdę nie wiem, jak... jak miałbym...

Marek wreszcie odwrócił się od okna. Był cały czerwony z wściekłości.

– Dorośnij! – krzyknął. – Dlaczego nie przyszedłeś do mnie wcześniej? Dlaczego?

Mateusz nie umiał na to odpowiedzieć.

– Chciałem... Próbowałem... – Tylko tyle zdołał z siebie wydusić. Za to Marek miał do powiedzenia jeszcze bardzo dużo.

– Oszukałeś nas wszystkich! Matka dostanie zawału, jak się dowie. A wuj... Naprawdę nie mogłeś wybrać gorszego momentu! Przecież wiesz, jak ważna jest dla niego nieposzlakowana opinia. Gdyby papież wiedział, że coś takiego miało miejsce... Gdyby wiedział kardynał Reszke... To z jego rad korzysta papież, rozważając polskie kandydatury do biretu kardynalskiego! Nie udawaj, że nie miałeś o tym pojęcia. Kardynał Reszke rekomendował wuja już dawno. Wiesz dlaczego? Tak, oczywiście, wuj Kazimierz jest wybitnym biskupem. Ale to nie wystarczy. Chodzi też o to, że nikt... nikt inny nie ma takiej wspaniałej rodziny jak wuj. Te wasze dzieci, chrzest, to było ukoronowanie wszystkiego! Zadbalem o to, żeby cała uroczystość została nagrana i żeby ta relacja błyskawicznie dotarła do Watykanu! Myślałeś, że kto ściągnął do kościoła te wszystkie telewizje?

*Monika miała rację – pomyślał Mateusz. Jak zwykle rację miała rację. To była robota mojego braciszka...*

Marek mówił dalej, coraz szybciej, coraz zapalczywiej:

– Wiesz doskonale, jaki jest kardynał Reszke. Zawsze powtarza, że dobry kapłan naucza najpierw swoich bliskich. A jeśli nie umie tego zrobić, jeśli jego rodzina występuje przeciw Bogu, to nie nadaje się na



kapłana. Wiesz, jaka będzie afera, jak się dowie? Natychmiast zawiadomi papieża. Natychmiast! Wuj będzie skończony! Tego samego dnia.

– Bez przesady. – Mateusz próbował trochę załagodzić sytuację. – Nikogo nie zamordowaliśmy, nie okradliśmy... A poza tym, przecież wuj o niczym nie wiedział. On nie brał w tym udziału. Nie zamroził sobie żadnych zarodków, nie oddał plemników do banku nasienia...

– Licz się ze słowami! Mówisz o biskupie! O przyszłym kardynale!  
– Marek poczerwieniał jeszcze bardziej.

– Sorry – westchnął Mateusz. – Chciałem tylko powiedzieć, że... no wiesz... Może to się jakoś rozejdzie po kościach? Może nie trzeba będzie go zawiadamiać...

Marek spojrzał wymownie i podał mu komórkę.

– Zadzwoń. Teraz, przy mnie. Zadzwoń i powiedz mu, że to Monika namówiła cię do grzechu. Przecież tak było... Przecież to był jej pomysł, prawda? Powiedz, że o niczym nie wiedziałeś do ostatniej chwili. Że sama załatwiła wszystkie formalności.

Mateusz westchnął ciężko.

Tylko cud mógł go uratować.

Jak spojrzy w oczy wujowi po czymś takim?

Jak zniesie to rozczarowanie jego mama?

A Monika? Czy wybaczy mu, że jeszcze raz zrzucił na nią całą winę?

Tylko cud...

Nagle w kieszeni zabręczała mu komórka.

Odłożył telefon brata na stół i wyjął swój. Czyżby to był ten cud, na który liczył?

*Czas minął. Filmik z twoich urodzin jest już u dziennikarzy.*

– Za późno – wydusił przez ściśnięte gardło. – Nie zdążyliśmy... Wuj dowie się wszystkiego z telewizji.

## ROZDZIAŁ 25

### SPRAWA MATCZAKÓW

Nie mogła uwierzyć, że to zrobił.

Że posunął się tak daleko.

Nie przypuszczała, że jest do tego zdolny. To było okrutne, naprawdę. Monika i Mateusz pewnie schowali się w domu, przerażeni i zaszczuci. Zawsze powtarzali, że nikt nie może się dowiedzieć... Zwłaszcza ta jego okropna matka. Daga przypomniała sobie opowieści Moniki, snute tamtego wieczoru w spa. Tak dobrze się bawiły. Była pewna, że będą przyjaciółkami na wiele lat. Że różnice czasami naprawdę się przyciągają.

Wyszło inaczej.

Chciała napisać do niej SMS-a. Choćby krótkie „przepraszam”.

Ale nie mogła. Okazałaby słabość... i nielojalność wobec Igora. Nie mogła. On przecież zrobił to dla niej. Dla nich obojga. Dla niej... bo to ona pragnęła tego dziecka znacznie bardziej niż on. Zawsze zdawała sobie z tego sprawę. I tym bardziej była mu wdzięczna, że aż tak się zaangażował.

Sięgnęła do lodówki po chłodną butelkę. Nalała do kieliszka swoje ulubione białe wino. Pinotage z Kapsztadu. Z konturem nosorożca na etykietce. Zawsze, kiedy je kupowali, wracała wspomnieniami do

tamtých chwil spędzonych z Igorem w Afryce. Beztroskich, szczęśliwych.

Kochali się na skale o zachodzie słońca. Leżała w jego ramionach, naga, trzęsąc się z zimna.

– Nie potrzebuję niczego oprócz ciebie – szepnął jej do ucha.

– Ja też – odpowiedziała.

Pobiegli do wody.

Ocean był lodowaty, nogi drętwiały im przy każdym ruchu.

– Kocham Dagę! – krzyknął Igor na cały głos.

– Kocham Igora! – wrzasnęła Dagmara.

Następnego dnia wjechali na Górę Stołową. Mieli cały świat u stóp.

Dlaczego nie mogło tak zostać? – zastanawiała się teraz. – Dlaczego te cholerne hormony dopchały się do głosu i kazały mi starać się o dziecko? Przecież było dobrze tak, jak było. Diabelnie dobrze. Czy naprawdę musiałam chcieć więcej?

Nie wierzyła w Boga. Nie miała pojęcia, co mówi na ten temat Pismo Święte. Ale mgliste wspomnienia z lekcji historii podsuwały jej coś o gniewie bogów na ludzi, którzy chcą za dużo. Tyle że to chyba była mitologia grecka, a nie Biblia?

– Bajka o rybaku i złotej rybce też pokazuje coś podobnego – mruknęła do siebie i nareszcie się uśmiechnęła.

Trochę wina wylało się na stół. Bez zastanowienia wytarła je wierzchem dłoni. Nie miała siły wstać po ścierkę.

Przechyliła się, by dosięgnąć pilota. Włączyła telewizor. Igor obiecywał, że wróci do domu na Jamesa Bonda. Oglądał go już sto razy, miał komplet DVD, ale nie mógł sobie darować powtórki. Według programu, powinna zacząć się za trzy minuty. A więc Igor też powinien być tu lada chwila.

Dolała jeszcze trochę wina.

Zapomniała, na którym programie lecą stare bondy. Skakała po kanałach. Na jednym z nich kończyły się właśnie wiadomości. Reporterka biegała po ulicy z mikrofonem. Dagmara próbowała skupić się na jej słowach. To musiało być coś bardzo zabawnego. Jakaś zapytana dziewczyna dosłownie wiła się ze śmiechu.

Nacisnęła zielony guzik na pilocie. Trochę za mocno. Głos dziewczyny z ekranu grzmiał w całym mieszkaniu.

– Uważam, że powinno się te zarodki oddać jakiejś zupełnie innej osobie – mówiła blondynka uśmiechnięta od ucha do ucha. – Tak, żeby ani jedni, ani drudzy nie dowiedzieli się, kto urodzi te dzieci.

– Dziękuję bardzo. – Dziennikarka, też uśmiechnięta od ucha do ucha, odwróciła się do przechodzącego mężczyzny. – A co pan sądzi o głośnej sprawie zarodków Matczaków?

Brodacz w okularach zwolnił, wzruszył ramionami i rzucił do kamery:

– Wrzucić do sedesu, spuścić wodę, zapomnieć.

Po czym poszedł dalej w swoją stronę.

Dagmara trzymała dłoń na pilocie, ale nie miała siły przełączyć na inny program. Patrzyła jak zahipnotyzowana.

Tym razem dziennikarka zaczęła jakąś zakochaną parę. A oni, trzymając się za ręce, zaczęli od razu się kłócić.

– Te dzieci mają rodziców! – powiedział z przekonaniem chłopak. – Mają geny tych, no, państwa Matczaków. I tylko oni mają prawo do decyzji.

– Oni już podjęli decyzję! – krzyknęła dziewczyna. – Widziałeś to nagranie? Obiecali, że oddadzą swoje zarodki przyjaciołom.

– Byli pijani, nie wiedzieli, co mówią. – Chłopak wytaczał coraz cięższe działa.

– Skąd wiesz? Badałeś ich alkometem?

– Przecież to widać – prychnął chłopak. – To była jakaś impreza, na stole stały puste kieliszki i jakieś ciasto.

– Kieliszki na stole? – Dziewczyna przewróciła oczami. – Taką poszlakę odrzuciłby ci każdy sąd.

– Wygląda na to, że państwo będą kontynuować tę rozmowę w domu. – Dziennikarka odebrała im mikrofon i ustawiła się prosto przed kamerą. – Tak jak wiele innych par, dyskutujących o tym od kilku dni. Dawno żaden temat nie rozpałił aż tak opinii publicznej...

– Mam w dupie opinię publiczną! – krzyknęła Daga, wyłączając telewizor. – I państwa Matczaków razem z ich obietnicami!

W całym domu zapadła cisza.

– Mam w dupie! – powtórzyła Dagmara, po czym zanosła się płaczem. – Igor, gdzie ty jesteś? Twój Bond zastrzelił już pewnie siedmiu wrogów angielskiej królowej, a ty na to nie patrzysz? Igor!

– Jestem, kochanie. – Jej mąż stanął w drzwiach, jak na zamówienie. – Straszne korki na moście... Obejrysz Bonda razem ze mną? Kochanie? Dlaczego ty płaczesz?

W tej samej chwili, tę samą dziennikarkę krążącą po ulicy z mikrofonem oglądała Monika. No, może „oglądała” nie było tu najlepszym słowem. Zerknęła w telewizor, biegnąc między trójką dzieci, płaczących jak na komendę. Nagle dotarło do niej, o czym jest ten program. Zatrzymała się, blada jak ściana. Drżały jej ręce, nogi, usta. Chciała się rozplakać, ale nie umiała. Jakby coś się w niej zepsuło.

Sprawa zarodków państwa Matczaków? Tak się teraz nazywali? Tym byli? Tylko sprawą? Tak właśnie znała ich cała Polska. I każdy czuł, że ma prawo wypowiedzieć się na ten temat. Każdy był sędzią w ich sprawie.

Usiadła na środku podłogi. Płacz dzieci przybierał na sile, ale nie potrafiła się podnieść.

Wszystko poszło nie tak, jak powinno. Wymknęło się spod kontroli.

– Nie chciałam nikogo skrzywdzić – powtarzała, zaciskając pięści.  
– Chciałam tylko mieć dziecko, jak inni ludzie. Czy to przestępstwo?

Odpowiedziało jej tylko kwilenie Jasia i rozdierający krzyk Franca.

Nie mogła ruszyć nogą ani ręką. Chciała do nich biec, jak zawsze, ale nie mogła się podnieść.

– Miałam być wreszcie szczęśliwa – powtarzała. – Po tylu latach wszystko miało wreszcie być tak, jak sobie wymarzyliśmy. Miałam być szczęśliwa...

– Monika, dzieci płaczą, nie słyszysz? – Mateusz stanął mokry w drzwiach łazienki. Patrzyła, jak wokół jego stóp powiększa się kałuża. Kap, kap, kap... Woda z pianą ściekała z jego pleców i bioder. Chciała wziąć ścierkę i ją zetrzeć, ale wciąż nie mogła się ruszyć.

– Monika? – Do Mateusza dotarło wreszcie, że coś jest nie tak. –

Źle się czujesz? Monika?

Podszedł i wziął ją w mokre ramiona.

Zadrzała.

Dzieci płakały coraz głośniej.

– Miałam być taka szczęśliwa – powtórzyła jeszcze raz, ciągle zdziwiona, że nie może się rozplakać. – Wszystko miało być wreszcie tak, jak trzeba.

Położyła się na podłodze. Nagle pomyślała, że chciałaby umrzeć. Żeby tylko wszystko się skończyło. Żeby przestało tak bardzo ją boleć.

Jak przez mgłę słyszała głos Mateusza. Czowała, jak potrząsa jej ramieniem. Nie umiała jednak odpowiedzieć.

Tego dnia, gdy po raz pierwszy usłyszała o sobie, Igorze i śnieżynkach w telewizji, była naprawdę wściekła. Ale nie miała jeszcze tego poczucia zagrożenia. Nie czuła się jeszcze osaczona, jak zwierzę zapędzone w ciasny kąt... Jak zwierzę, które może tylko szczerzyć zęby, wiedząc, że nie ma żadnej drogi ucieczki... To pojawiło się później.

Pamiętała dokładnie.

To była środa.

Wstała przed ósmą. Nienawidziła tych pobudek. Próby dublerów odbywały się przed spotkaniami pierwszego składu. Trwały krócej, dużo krócej. Pokusa, żeby tam nie iść, żeby przewrócić się na drugi bok i spać dalej, tylko ten jeden jedyny raz, była ogromna. Ale wiedziała, że nie może sobie na to pozwolić. Była na cenzurowanym. Kierownik orkiestry nie darowałby jej choćby najmniejszego spóźnienia.

Westchnęła ciężko i poszła pod prysznic.

Igora nie było już w domu.

Od dwóch tygodni, od kiedy w jego firmie szalał audyt, wychodził o świcie i wracał, gdy było już ciemno. Wieczory bez pracy i bez niego były długie i smutne.

Odkręciła wodę. Chciała zmyć z siebie wszystkie te ponure, niepotrzebne myśli. Wycisnęła na rękę swojego ulubionego szamponu, pachnącego mango i trawą cytrynową. Energetycznie, optymistycznie...

W tym momencie do łazienki wdarł się gwałtownie dźwięk dzwonka.

Nie od razu go usłyszała.

Zabrzączał raz... Potem drugi...

Zakręciła wodę.

Zabrzączał jeszcze raz, nie wydawało jej się! Ale kto to mógł być, o tej porze?

Może Igor wrócił po coś do domu? Ale przecież nie dzwoniłby domofonem? Chyba że zapomniał kluczy?

Listonosz? Nie, wykluczone. Nie było jeszcze ósmej. Poczta o tej godzinie jest przecież na pewno nieczynna.

Goła, mokra, z włosami pełnymi piany pachnącej optymistycznym mango, pobiegła do przedpokoju i uniosła słuchawkę.

– Kto tam? – zapytała kogoś stojącego przy wejściu na osiedle.

– Policja. Musimy z panią porozmawiać – odpowiedział suchy męski głos.

Miała wrażenie, że śni.

– Policja? – upewniła się, przekonana, że musiała coś źle usłyszeć. Może to przez ten szampon? Pewnie dostał się do jej ucha?

– Policja, tak. Komisarz Witkowski – odparł mężczyzna. – Wolałbym nie prowadzić tej rozmowy przez domofon.

– Tak, tak... Oczywiście... Już otwieram. – Nacisnęła guzik i popędziła do łazienki po szlafrok. Nie może przecież przyjmować stróża prawa całkiem naga!

To nie był policjant.

Gdy otworzyła drzwi, zobaczyła długi obiektyw, wycelowany prosto w swoją twarz. Ostre światło flesza oślepiło ją na moment. A potem jeszcze raz. Błysk. I jeszcze...

Nie od razu zrozumiała, z kim ma do czynienia. Znała to tylko z filmów. Z serwisów plotkarskich. Żaden muzyk grający w orkiestrze symfonicznej nie zasłużył sobie chyba do tej pory na wizytę paparazzich. Nawet pierwsze skrzypce, nawet dyrygent... Nie mówiąc już o kontrafagocistach, zwłaszcza tych odsuniętych od pierwszego składu.

Obok mężczyzny z aparatem stał kamerzysta. A krok za nimi dziewczyna z mikrofonem. Nieduża, zarumieniona o kruczoczarnych włosach związanych w koński ogon.

Patrzyła na Dagmarę bez słowa, jakby czekała, aż to ona zrobi

pierwszy krok.

– Czego od nas chcecie? – zapytała w końcu. Jeden zero dla czarnuli!

– Słyszała pani o decyzji biskupa? – Dziennikarka odpowiedziała pytaniem na pytanie.

Flesz błysnął jej w oczy. Kamera zbliżyła się do twarzy Dagi.

Czarnowłosa dziewczyna wzięła głęboki oddech i wyrecytowała do mikrofonu:

– Mamy najświeższe informacje w sprawie zarodków Matczaków. Biskup Kazimierz nie jedzie na konsystorz w Watykanie. Dziś rano kuria wydała oświadczenie, że oddał się do dyspozycji papieża. Odmawia kontaktów z mediami, nie wychodzi ze swojego mieszkania. W ostatnią niedzielę nie odprawił uroczystego nabożeństwa z udziałem prezydenta. Mamy też wiadomość, jeszcze nie potwierdzoną, że na bezterminowy urlop udał się brat Mateusza Matczaka, siostrzeniec biskupa, ksiądz Marek, pracujący od czterech lat w parafii na Żoliborzu. Poprosiliśmy o komentarz do tych wydarzeń panią Dagmarę Lor, która...

Daga nie słuchała dalej. Odepchnęła dziewczynę i zatrzasnęła drzwi. A potem zanosła się płaczem.

## ROZDZIAŁ 26 LIST NA STOLE



Monika obudziła się z głębokiego snu. Spojrzała na zegarek. Osiemnasta trzydzieści? Naprawdę minęła osiemnasta trzydzieści? Nie. To niemożliwe. Wskazówki musiały stanąć! Jeden rzut oka w stronę okna uświadomił jej, że z zegarem wszystko jest w porządku. Naprawdę robiło się już ciemno.

Lekarz przychodził codziennie od tygodnia. Próbował z nią rozmawiać. I dawał leki.

Zawsze podczas tych spotkań patrzyła zaciętym wzrokiem w ścianę. Nie zamierzała powiedzieć do niego ani słowa. Była pewna, że to znajomy teściowej albo wuja. Tylko oni mogli zapłacić za te wizyty domowe.

Ale dlaczego tym razem po jego wizycie przespała prawie cały dzień? Ponad dziesięć godzin! Jak to możliwe?

I co z dziećmi? Dlaczego nie płaczą?

Dlaczego w tym domu panuje taka cisza?

Ostrożnie podniosła się z łóżka.

Przypomniała sobie, że dostała zastrzyk. To po nim, na pewno, wciąż kręciło jej się w głowie.

– Mateusz – zawołała półgłosem, żeby nie obudzić dzieci. –

Mateusz!

Odpowiedziała jej cisza.

Zrobiła krok w lewo. W łóżeczkach, stojących pod oknem, nie było chłopców.

Strach chwycił ją za gardło.

– Mateusz! – krzyknęła, tym razem głośniej.

Znowu nic.

Zbiegła po schodach z antresoli.

Nie było go w pokoju, w kuchni, w łazience.

Wyjrzała na balkon. Też ani śladu jej męża i dzieci.

Pewnie zabrał chłopców na spacer. Albo do teściowej. Nie... nie

do teściowej. Na pewno nie. Ona już nigdy nie będzie chciała widzieć ani jej, ani wnuków. Nie po tym, czego się dowiedziała. Nie po tym, JAK jej o tym powiedziano.

– Mateusz! – zawołała jeszcze raz, rozpaczliwie.

I nagle zauważyła leżącą na stole kartkę.

Ze strachu zakręciło się jej w głowie.

Czy to możliwe, że odszedł? Zabrał dzieci i odszedł, tak po prostu? Jak w filmie? Nie, nie, nie. Mateusz nigdy nie zrobiłby czegoś takiego.

Przypomniała sobie tamten list z oświadczeniami podrzucony pod drzwi.

Czyżby o odejściu też informował ją na piśmie?

*Kochanie, zaraz wracam, nie martw się!*

Zaraz wracam? Te słowa trochę ją uspokoiły.

Ale dlaczego pisał w liczbie pojedynczej? Co z dziećmi? Czy uznał, że jest wariatką, która nie może się nimi opiekować? Czy tak powiedział mu lekarz? Czy to możliwe, że postanowił zostawić je u teściowej? Przynajmniej dopóki Monika nie wyzdrowieje? O tak, na to cudowna, współczująca pani Matczak na pewno zgodziłaby się od razu! Wydrzeć dzieci Monice? Zagrać jej na nosie? Tak... Już mogła sobie wyobrazić jej triumfujący uśmiech!

Popędziła po schodach na górę, odsunęła szufladę, potem drugą. Musiała sprawdzić, czy zabrał ubranka, pieluchy... Przerzucała rzeczy nerwowo, liczyła kaftaniki... Kilka z nich spadło na podłogę, ale nie miała siły ich podnieść. Czy to możliwe, że brakuje jednego albo dwóch?

A śpioszki? Co ze śpioszkami? Szuflada, szarpnięta zbyt gwałtownie, wypadła na podłogę. Monika odsunęła się w ostatniej chwili, szuflada minęła jej stopy dosłownie o włos i z hukiem rąbnęła o ziemię. Śpioszki i czapeczki rozsypały się na dywanie. Czy były wszystkie? Czego brakowało?

Dlaczego nie ma żadnych pieluch?

Z nerwów nie mogła zebrać myśli.

Komórka! Gdzie jest komórka? Musiała do niego zadzwonić, jak najszybciej!

Znowu pobiegła na dół.

Nie znalazła telefonu.

A więc na górę. Też go tu nie było. A może był, ale była zbyt zdenerwowana, żeby go zauważyć?

Opadła na podłogę i zaczęła krzyczeć. Głośno, bardzo głośno. Ale to przecież bez znaczenia. Nikt jej tu nie usłyszy.

Pierwszy raz od niepamiętnych czasów była w domu całkiem sama. Wszędzie leżały dziecięce ubranka. Nie miała siły wstać i ich pozbierać.

A więc teraz tak już będzie przez cały czas? Naprawdę będzie musiała przyzwyczaić się do tej ciszy?

Podniosła małego pluszowego misia, leżącego na podłodze. Przytuliła go do siebie. Z oczu, po raz pierwszy od dawna, popłynęły jej łzy.

– Kochanie, co się dzieje? – To Mateusz z Franiem w ramionach wszedł po schodkach na antresolę. – Co robi na ziemi ta szuflada? Kochanie? Ty płaczesz?

Uśmiechnął się. Lekarz mówił przecież wyraźnie, że jeśli znowu zacznie płakać, to będzie dobry znak. A ona płakała i nie mogła przestać.

Antoś i Jasio, obudzeni zamieszaniem, też zaczęli kwilić w swoim wózku.

– Tak się bałam, że was już nie zobaczę – chlipała Monika. – Gdzie ty byłeś? Gdzie byłeś?

– Spałaś tak mocno, a ja musiałem kupić pieluchy – powiedział Mateusz, biorąc ją za rękę.

– Podpiszmy tę zgodę – wyszlochała w jego ramię. – Podpiszmy ją, proszę. Jeszcze dzisiaj. I niech to wszystko wreszcie się zakończy.

## ROZDZIAŁ 27 NIESPODZIANKA

Drżącymi rękami pakowała to małe pudełeczko. Jednocześnie potrafiła jednak złapać dystans... Patrzyła na to, co robi, jakby z boku... i śmiała się z samej siebie. Co za tandetny, oklepany gest! Nie stać cię na nic lepszego? Naprawdę?

Musiała jednak przyznać, że podobało jej się to, co robiła. Cholernie jej się podobało.

Podejrzała to w jakiejś reklamie wieki temu. A może w filmie klasy C, na który wpadła przypadkiem, przerzucając kanały?

Wtedy śmiała się do rozpuku. Kto o zdrowych zmysłach robiłby coś takiego?

Dziś sama z przejęciem włożyła do środka te małe buciki, a między nie wcisnęła test ciężowy, z dwoma grubymi, fioletowymi kreskami. Gotowe! Zamknęła wieczko i starannie przewiązała paczuszkę błękitną wstążeczką w śniegowe gwiazdki. Znalazła ją w szufladzie z pozostałościami po ostatnim Bożym Narodzeniu.

Śnieżynki...

Już na ich widok Igor na pewno domyśli się, co jest w tym pudełeczku.

Śnieżynki...

Była tylko jedna. Druga po rozmrożeniu wcale nie chciała się rozwijać. Stracili ją jeszcze przed transferem. Tylko jedna... Kiedy to usłyszała, była pewna, że się nie uda. A jednak, to była naprawdę silna, piękna śnieżynka. Doktor Truszewski był z niej wyjątkowo zadowolony.

Nagle przypomniała sobie tamtą bombkę, wyciągniętą z kosza z napisem „wszystko po 10 złotych”. Miała być wróżbą na przyszłość... Jak każda z tych losowanych przez nią bombek... Od tylu już lat.

Bombka w kształcie śniegowej gwiazdeczki... Wtedy wydało jej się, że to banał... Że śniegowy płatek nie może powiedzieć nic o tym, co ją czeka.

Uświadomiła sobie, że to wcale nie były ostatnie święta. To wszystko działo się rok wcześniej. Ostatnie Boże Narodzenie właściwie w ogóle nie zaistniało w jej kalendarzu. Po prostu je wymazała, przegapiła, olała. To było tuż po tamtej informacji, że z drugiego in vitro też nie będzie dziecka. Zdrowego dziecka, o którym marzyła.

Zrezygnowała z trzeciej próby. Była już bardzo zmęczona. A poza tym widziała, jak bardzo zabolą Igora to nasienie dawcy. Udawał, że go to nie obchodzi, ale widziała wyraźnie, że cierpi... Że odsuwa się od niej i całego projektu „Dziecko”. Nie chciała więcej tego robić.

Zaraz po tej decyzji cały świat świętował Boże Narodzenie.

Ona rozpadała się na kawałki.

Po raz pierwszy od dwudziestu czterech lat nie poszła po bombki do tego cudownego sklepu i nie wyciągnęła z koszyka z najtańszymi świątecznymi ozdobami swojej wróżby na cały rok.

A skoro tak, to chyba wciąż obowiązuje poprzednia przepowiednia. I mała, srebrzysta śnieżynka.

Długo wyobrażała sobie ten wieczór. Do ostatniej chwili nie mogła się zdecydować: restauracja czy dom? Gdzie powinna mu powiedzieć?

A może jakiś wypad we dwoje? Nad morze, do spa albo do romantycznego pensjonatu w leśnej głuszy?

Postawiła na dom. Tu przynajmniej nikt nie będzie się gapił. Nikt nie rozpozna jej twarzy... Albo twarzy Igora, widywanej ostatnio non stop w wiadomościach.

Tu będą bezpieczni. Nikt nie zacznie się śmiać, jeśli Igor rozplacze się na widok pudełeczka. Albo rzuci się, żeby ją całować jak jakiś wariat.

Tu będą mogli kochać się do rana.

O ile, oczywiście, Igor nie będzie się bał kochać z nią teraz, kiedy

jest w ciąży.

Pytała doktora Truszewskiego jeszcze przed transferem śnieżynki. I dzisiaj, po raz drugi. Zapewniał, że nie ma żadnych przeciwwskazań. Seks w ciąży bez powikłań to same korzyści dla kobiety, a nawet dla jej dziecka.

Musi o tym koniecznie powiedzieć Igorowi.

Rozpuściła włosy, tak jak lubił. Założyła ten wisiorek, który kupił jej przy plaży na Teneryfie. Srebrną muszelkę, przypominającą tamtą plażę pełną muszli... Tamtą, na której kochali się o wschodzie słońca, obmywani przez lodowate fale.

Pojadą tam jeszcze raz. Razem z dzieckiem. Teneryfa to świetne miejsce na rodzinne wakacje.

Z uśmiechem, pograżona w marzeniach, nakrywała do stołu. Nie chciała robić wielkiego przyjęcia. Nie miała na to ani czasu, ani siły. Przez ostatnie dwa tygodnie tak skupiała się na czekaniu... Uda się, czy się nie uda? Skupiała się tak bardzo, że nie została jej już ani odrobina energii na gotowanie czy smażenie. Zresztą Igor zawsze je obiady w pracy. Nie będzie głodny. To ma być coś symbolicznego, a nie wielka wyzerka.

Postawiła więc świece... Chyba zdąży się ściemnić przed jego powrotem? Zwykle zdążało... Zwłaszcza teraz, kiedy przyjmował nowych pracowników i wciąż miał jakieś spotkania z kandydatami... Proponował nawet, żeby przyszła przesłuchać kilku z nich, tłumaczył, że przyda mu się taka opinia kogoś niezwiązanego z branżą... Ale zdawała sobie sprawę, że chciał ją po prostu czymś zająć. Wiedział, jak przeżyła te nieudane in vitro i degradację w orkiestrze.

Wyciągnęła niebieskie miseczki, te przywiezione z Krety. Do jednej włożyła oliwki, do drugiej kosteczki sera feta. Jak Grecja to Grecja...

Po chwili namysłu wyjęła ze stojaka na wino jedno z ulubionych win Igora. Nero d'avola. Nie z Grecji, lecz z Sycylii. Nie lubiła tak naprawdę czerwonych win... Nie była pewna, czy nie popełnia jakiegoś faux pas. Ale przecież Sycylijczycy też jedzą oliwki? Powinno pasować?

Chciała, żeby wszystko było tego dnia doskonałe.

Ten jeden jedyny raz.

Dla siebie też postawiła na stole kieliszek. Gdyby go nie było, Igor od progu zorientowałby się, co się święci. Po prostu wypije w nim wodę mineralną. Z mnóstwem kostek lodu.

A może lepiej nie?

Nigdy nie była hipochondryczką. Ale teraz poczuła to ukłucie niepokoju. Co będzie, jeśli się przeziębi? Nie powinna brać w ciąży żadnych leków. Nie znosi wody w temperaturze pokojowej, ale trudno, będzie ją piła. Jeszcze przez osiem miesięcy. Nie może sobie pozwolić na błąd. Nie teraz, gdy wreszcie wszystko idzie tak, jak powinno.

Dzwonek telefonu zastał ją siedzącą przy stole, z butelką wody mineralnej w rękę i rozmarzonym uśmiechem na twarzy.

O nie, tylko nie to! Czyżby Igor chciał powiedzieć, że wróci później? Albo że w ogóle nie wróci, bo musi nieoczekiwanie lecieć na spotkanie do Monachium?

Na szczęście to nie był Igor tylko Aśka.

– Dlaczego nie dzwonisz? – zapytała niecierpliwie. – Umieram tu z nerwów! Udało się? Powiedz, że się udało!

– Udało się, tak. – Dagmara po raz pierwszy mogła powiedzieć to głośno. – Jestem w ciąży. Słyszysz Aśka? Naprawdę jestem w ciąży!!!

Krzyczała tak, że Igor usłyszał każde słowo, wychodząc z samochodu. I nie tylko on. Przez uchylone kuchenne okno radość Dagmary dotarła do sąsiadów po lewej... i do tych z naprzeciwka.

*Będą zaraz chcieli składać gratulacje* – pomyślał Igor, a przez jego twarz przebiegł grymas niezadowolenia.

Szybko go wypędził. Wziął głęboki oddech, uśmiechnął się i nacisnął dzwonek do drzwi.

Zapewne zaplanowała jakąś niespodziankę.

Nie będzie jej psuł.

Obejrzy ten test ciążowy, zdjęcie z USG, czy co tam dla niego przygotowała... Dopiero potem przyjdzie czas na tę niespodziankę, którą on szykował dla Dagi już od wielu tygodni.

Wszystko przebiegło dokładnie tak, jak chciała.

Jego zdumienie na widok pudełeczka, przewiązanego kokardką w śniegowe gwiazdki. Niedowierzenie, niepewność...

Zjedli oliwki, ser, chleb z oliwą. Jak w greckiej knajpce na brzegu zatoki, w której spędzili tyle wieczorów. Tyle że tam pili retsinę. Białe, cierpkie, żywiczne wino. Nie wodę mineralną w temperaturze pokojowej i nie ciemnoczerwone, zawiesziste nero d'avola z Sycylii.

– Jak się czujesz, tatuśku? – zapytała, biorąc go za rękę.

Miała nadzieję, że pójda do sypialni... Albo zostaną tu, na kuchennej podłodze... Choć nie, ta podłoga była jednak za zimna. Ona naprawdę nie zamierzała się przeziębic, przynajmniej w pierwszym trymestrze. Każdy problem zdrowotny mógł się odbić na dziecku. Musiała uważać. Cholernie uważać.

Już otwierała usta, żeby szepnąć *Mrrrruuuuu...* Żeby dać mu sygnał, na co ma ochotę... Ale, zanim zdążyła powiedzieć cokolwiek, Igor puścił jej rękę, odwrócił wzrok i rzucił sucho:

– Nie jestem ojcem tego dziecka. Przecież wiesz.

Co takiego?!

Przez moment miała wrażenie, że się przesłyszała. Chciała się przesłyszeć. Ale nie. On naprawdę to powiedział.

– Jesteś jego ojcem – zaprotestowała. – Oczywiście, że jesteś. Tak samo jak ja matką. Będziemy je wychowywać... Uczyć pierwszych słów... Od nas zależy, jakim stanie się człowiekiem. Pokażemy mu świat, objaśnimy, co wolno, a czego nie. Igor, nie udawaj. Nie mów mi teraz, że myślisz inaczej.

– Interesuje cię, co ja myślę? Naprawdę? – Jego głos był zimny jak stal! – To coś nowego. Do tej pory to ty chciałaś mieć dziecko, a ja miałem się do ciebie dostosować.

Nie mogła zrozumieć, co wywołało ten wybuch. Dlaczego nie powiedział ani słowa wcześniej?

– Nie wiedziałam, że masz z tym problem – powiedziała ostrożnie.

Roześmiał się głośno. Jakimś takim okropnym śmiechem... Nie mogła pozbyć się myśli, że to diabelski śmiech. Diabelski, naprawdę.

– Nie wiedziałaś? – Śmiał się jeszcze głośniejszym głosem. – Wybacz, kochanie, ale to cię kompletnie nie interesowało! Nie rozmawiałaś ze mną o MOICH potrzebach, MOICH marzeniach... Zmieniałaś nagle plany. Bez konsultacji ze mną. Uznałaś, że dziecko to świetny pomysł, skoro orkiestra rusza na tournée. Wybrałaś optymalny



moment. A ja? Ja miałem się dostosować. Taką wyznaczyłaś mi rolę. Miałem oddać plemniki i już, sprawa załatwiona. A kiedy okazało się, że nie mogę spłodzić zdrowego dziecka, bez wahania wymieniłaś mnie na anonimowego dawcę spermy. Bez pytania!

– Zgodziłeś się – zaprotestowała. – Zgodziłeś się, Igor! Nie rób z siebie teraz ofiary!

Wziął głęboki oddech.

Nie chciał przecież jej denerwować. Nie chciał zaczynać awantury.

Chciał tylko wyjaśnić, skąd wzięła się niespodzianka, którą miał dla niej w zanadrzu.

– Nie zamierzam się kłócić – powiedział, próbując spotkać się z nią wzrokiem. Bez skutku. – Daga, słyszysz? Ja naprawdę nie chcę awantury. Naprawdę.

Pokiwała głową. Oparła się o jego klatkę piersiową. Przymknęła oczy.

Zesztywniał i pogłaskał ją po włosach.

Wiedział, że chciałyby czegoś więcej.

Nie, nie. Tylko nie teraz.

Wziął jeszcze jeden oddech. Jeszcze głębszy niż poprzednio.

To nie było łatwe.

– Daga, posłuchaj... Nie chciałem mieć dziecka. Nigdy, ani przez chwilę. Uważam, że nie nadaję się na ojca. I że jest wiele piękniejszych rzeczy do zrobienia w życiu, niż niańczenie niemowlaka. Zwłaszcza takiego, który ma geny Frędzla zamiast moich. A ty nigdy nie zapytałaś... Nie pozwoliłaś mi zdecydować.

Przełknęła ślinę. Wiedział, że sprawia jej ból. Że psuje ten dzień, który miał być idealny. Trudno... Od dawna planował, że powie to właśnie tego dnia. Nie chciał już czekać ani godziny. Dusił go te wszystkie niewypowiedziane słowa.

– Teraz już trochę za późno na zmianę planów. – Zebrała się w sobie, uśmiechnęła, patrząc mu w oczy. – To dziecko już jest. Nie czeka w ciekłym azocie... Jest we mnie. Rozwijają się, rosną. W każdej chwili.

Nie odpowiadał.

– Igor, ty przecież walczyłeś razem ze mną o tę śnieżynkę!

Poruszyłeś niebo i ziemię, żeby Monika i Mateusz dotrzykali danego słowa.

– Walczyłem dla ciebie. – Musiał to wreszcie powiedzieć. – Wiedziałem, jak bardzo pragniesz tego dziecka. Postanowiłem ci pomóc.

– Mnie pomóc? Pomóc? – Potrząsnęła głową. Miedziane loki podskoczyły jakoś niepewnie... Jakby uleciała z nich cała radość. – Co ty mówisz? Pomóc to możesz sąsiadce nieść ciężkie torby! Robiłeś to wszystko dla nas, nie dla mnie. Dla nas obojga. To przecież nasze wspólne życie, Igor! Nasze wspólne...

Wziął głęboki oddech. Jeszcze jeden.

– Już nie, Daga. – Wreszcie to z siebie wydusił! Nigdy nie przypuszczał, że będzie tak trudno. – To już nie jest nasze wspólne życie. Już od dawna. Ty skupiłaś się na dziecku... Nie interesowało cię to, co się ze mną dzieje... Moje sukcesy, problemy... Już nie było mnie, nas, naszych wspólnych chwil i planów. Wszystko kręciło się wokół dziecka. Nieistniejącego dziecka. Zresztą, nie chcę zwałać całej winy na ciebie. Może byłem zbyt niecierpliwy? Może powinienem dać ci trochę czasu... Dziś to już bez znaczenia.

– O czym ty mówisz? – Jego słowa powoli, bardzo powoli docierały do jej mózgu... Ale wciąż nie mogła dopatrzeć się w nich sensu. – Teraz będziemy mieli więcej czasu dla siebie... Nie będę walczyła o powrót do pierwszego składu orkiestry aż do końca urlopu macierzyńskiego. Jeśli chcesz, pojedziemy gdzieś na długie wakacje. Chyba wciąż mamy te vouchery, prawda?

Odwrócił wzrok.

Nie chciał mówić tego tak wprost... Tak dobitnie... Ale chyba musiał. Najwyraźniej ciągle nie rozumiała, co próbował powiedzieć.

– Daga, ja odchodzę. Wyprowadzam się. Jeszcze dzisiaj.

– Co? – Poczowała, że ziemia usuwa jej się spod stóp. Musiała usiąść. Koniecznie musiała usiąść.

Opadła na podłogę, oparła się o ścianę.

Oddychaj, oddychaj – powtarzała sobie raz za razem. – Oddychaj spokojnie.

Wszystko na nic. Płakała spazmatycznie, nie mogąc złapać powietrza.

Chciał ją pogłaskać po plecach, przyciągnąć do siebie, ale wiedział, że tylko pogorszy sytuację.

– Dlaczego teraz? Dlaczego dzisiaj? – W końcu zdołała zadać to pytanie, wwiercające się jej w mózg.

Przecież to bez sensu! To miał być ten doskonały dzień! Początek wszystkiego, co najlepsze w ich wspólnym życiu.

– Nie chciałem odchodzić, kiedy jesteś nieszczęśliwa – powiedział, cofając się o krok. – Wiedziałem, że to cię załamie. Tyle złego ostatnio cię spotkało. Te dwa podejścia do in vitro... Strata miejsca w orkiestrze... Walka z Matczakami, paparazzi siedzący pod naszym domem... Bałem się, że tego nie wytrzymasz. Postanowiłem więc, że wytrwam do dnia, kiedy zobaczysz na teście te dwie kreski. Że ci pomogę to osiągnąć. Bo cięża da ci energię, siłę... Teraz już poradzisz sobie beze mnie.

– Mam ci być wdzięczna?! – Zaczęła krzyczeć na całe gardło. – Mam ci być wdzięczna, że poświęciłeś się i wytrwałeś tyle czasu?

O ułamek sekundy za późno odczytał sarkazm zawarty w tym pytaniu. O ułamek sekundy za późno ugryzł się w język.

– Na szczęście Bogusia wykazała mnóstwo zrozumienia...

– Bogusia?!

O nie! Wygadał się jak dzieciak! A przecież miał o niej nie wspominać. Nie wspominać ani słowem. Przecież wiedział, że Daga lepiej to znieśie, jeśli nie będzie wiedziała, że jest ktoś... ktoś nowy... Ktoś, kto już czeka, aż Igor stanie w jego progu z walizką. Komu czekanie na te dwie kreski dłuży się tak samo, jak jej.

– Bogusia? – powtórzyła cicho, blada jak ściana. A potem rzuciła się na niego z pięściami. Nie był na to przygotowany. Zatoczył się, uderzył o szafkę.

Był na siebie wściekły. Przeprowadził tyle negocjacji... Przejął tyle firm... Właśnie dzięki temu, że dokładnie wiedział, co może powiedzieć, a czego nie. A teraz co? Sam, niepytany, wyleciał z tą Bogusią. Jak ostatni idiota!

– Kim ona jest? Kim jest ta twoja kurwa? – wrzeszczała Daga, kopiąc, gryząc i waląc na oślep pięściami. – Odpowiadaj! Odpowiadaj, słyszysz?!

– Nie znasz jej – powiedział krótko, zasłaniając twarz przed ciosami.

Nie zamierzał mówić już ani słowa więcej. Nie o Bogusi.

– Kim ona jest? – powtarzała. Jej ręce wciąż uderzały go gdzie popadnie. Drapały do krwi.

Nie miał wyjścia. Musiał złapać ją za nadgarstki i przytrzymać.

– Bogusia? – Daga dyszała ciężko. Próbowwała mu się wyrwać. – Bogusia? Co to za imię? Skąd ty ją wziąłeś? Z jakiejś dyskoteki w remizie strażackiej? A może stała przy taśmie w fabryce płyt paździerzowych, którą przejmowałeś w zeszłym miesiącu? Mały wiejski kurwiszzonek, czatujący na cudzych mężów i ich wypchane portfele...

Nie chciał tego zrobić. Naprawdę nie.

Ale nie zdołał się powstrzymać.

Uderzył ją w twarz, z całej siły.

– Nie waż się tak mówić o Bogusi. Nigdy – powiedział. – To bardzo porządna kobieta. I wykazała mnóstwo zrozumienia dla mojej sytuacji... Ani razu nie narzekała, że to trwa tak długo... Że muszę tu zostać, dopóki nie zdobędziemy tego zarodka...

– Powinnam być jej wdzięczna? – Daga szarpnęła się z całej siły. Trzymał ją wciąż za nadgarstki, zaczęła więc kopać na oślep. – Może dasz mi jej numer? Podziękuję osobiście, że nie kazała ci wyprowadzić się wcześniej. No daj! Daj, zadzwonię od razu!

Nie reagował.

Furia uleciała równie nagle, jak się pojawiła.

Daga opadła na podłogę, zwinęła się w kłębek i zaczęła spazmatycznie płakać.

Igor westchnął ciężko. Wiedział, że to będzie trudna rozmowa, ale nie przypuszczał, że aż tak. Miał nadzieję, że uda się to załatwić w cywilizowany sposób...

Szybko przyniósł z garderoby walizkę, wypełnioną najpotrzebniejszymi rzeczami. Stała w kącie za wieszakiem już od dwóch miesięcy. Dziwne, że Daga ani razu jej nie przesuwiała... Że nie zainteresowała się, dlaczego jest taka ciężka.

– Po resztę rzeczy podjadę w przyszłym tygodniu – powiedział, stojąc w progu. – Kiedy cię nie będzie. Nie chcę, żebyś się denerwowała

patrzac, jak sie pakuje.

– Powinnam ci podziękowac za troske? – zapytala slabym glósem.  
Wciáz siedziála na podłodze z kolanami pod brodą.

Taka mała, bezbronna... Zawsze tak go wzruszaly jej lzy. Moze dlatego, ze plakala bardzo rzadko? Przez pierwszy rok albo dwa myslal, ze w ogóle nie potrafi plakac. Zobaczył jak szlocha chyba juz po slubie. Byli na wyścigach konnych na Sluzewcu. Piękny letni dzien. Ona w powiewnej, zielonej sukience i slomkowym kapeluszu. W pierwszej gonitwie dobrze obstawila porzadek i wygrala dwieście dwanaście złotych. Cieszyła sie jak dziecko. W drugiej gonitwie kon przewrócił sie tuż przed meta. Zlamal noge. Przyniesiono parawan, zaslonieto go i zastrzelono. W obecności tysiąca widzów.

– Nie oplaca sie leczyc takiego konia – wyjasnil jakis mezczyzna w przyciasnej koszulce w paski. – Za droga impreza...

A Daga doslownie zalala sie lzami.

Jeszcze niedawno usiadlby koło niej na tej podłodze, scalowalby lzy z jej twarzy, przyciagnalby ja do siebie i kochal sie z nia tak dlugo, az całkiem zapomniaby, dlaczego placze.

Jeszcze niedawno...

– Przykro mi, ze tak sie stalo – powiedzial, otwierajac drzwi. –  
Uwazaj na siebie.

Chcial dodac „zadzwoń, gdybys czegoś potrzebowała”, ale ugryzl sie w jezyk. Wiedzial, ze to groziloby tysiacami telefonów dziennie. Nie chcial tego znosic. Nie chcial, zeby musiala to znosic Bogusia.

Kazda komórka jego ciála rwalala sie juz w jej strone.

– Sprawe domu i pieniedzy załatwimy pózniej... Jak juz ochloniemy – dodal, wciáz z ręką na klamce. – Na razie po prostu tu mieszkaj.

Zrobil krok za próg... i zawrócił. Wyjal z kieszeni jakies zawiniatko.

– To dla dziecka – powiedzial, rzucajac nim w jej strone. – Mam nadzieje, ze bedzie zdrowe... I ze wszystko ci sie ulozy.

Zatrzasnal drzwi.

W domu zapanowala cisza przerywana tylko szlochaniem Dagmary.

Sięgnęła po przedmiot rzucony przez Igora.

To był miś. Mały, beżowy, pluszowy miś z klapniętym uszkiem.

Jak on śmiał dać jej misia? I odejść?

Odejść do Bogusi?!

Chciała gdzieś zadzwonić, komuś powiedzieć... Ale komu? Aśce? Marlenie? Obie rzuciłyby wszystko i natychmiast do niej przyjechały.

Zrozumiała jednak, że na razie nie zdoła wydusić z siebie ani słowa.

Mogłaby napisać SMS-a. Gdyby tylko opanowała drżenie rąk.

– Ty skurwysynu! Skurwysynu! – krzyknęła, rzucając misiem o podłogę. – Jak śmiałeś popsuć mi najpiękniejszy dzień w życiu? Jak śmiałeś?!

Nagle poczuła paniczny strach, że straci to dziecko. Że przez ten stres... Przez szok...

– Już dobrze. Już dobrze, kochanie – powiedziała, kładąc rękę na brzuchu. – Nie będziemy się denerwować przez jakiegoś chuja. Mamusia zaraz się opanuje... Wszystko będzie dobrze.

Zawsze myślała, że mówienie do brzucha to czysty idiotyzm. Zwłaszcza kiedy ten brzuch jest jeszcze całkiem płaski, a dziecko przypomina wielkością ziarenko piasku, ryżu... a potem fasoli. Teraz jednak wcale nie wydawało jej się to śmieszne. Mogłaby przysiąc, że dziecko ją słyszy... Że uspokaja się, kiedy gładzi skórę.

– Chyba zwariowałam – powiedziała i zerknęła w lustro.

Przeraziło ją to, co w nim zobaczyła.

Miała zapuchniętą twarz, z dolnej wargi ciekła jej krew. Pewnie ją przegryzła i nawet nie poczuła.

Wyglądała jak po ciężkiej walce.

– Zajmiemy się teraz czymś miłym – powiedziała, znowu w kierunku brzucha. Najbardziej kojącym tonem, na jaki umiała się zdobyć.

Tylko czym? Jaka czynność mogłaby być miła w domu, z którego właśnie wyprowadził się mąż?

Nagle przypomniała sobie o torbie, którą kilka godzin temu, po powrocie z kliniki, wcisnęła na samo dno szafy. Nie chciała, żeby Igor zobaczył, co kupiła, zanim nie odpakuje tego małego pudełeczka ze

śnieżynkową wstążką.

Nie mogła się powstrzymać. Kiedy doktor Truszewski z uśmiechem powiedział „gratuluję” po prostu musiała to zrobić. Weszła do sklepu i przez półtorej godziny wybierała maleńkie ciuszki we wszystkich możliwych fasonach i kolorach. Takie, żeby pasowały i na chłopczyka, i na dziewczynkę. Chociaż była przekonana, że urodzi córeczkę. Była o tym przekonana już bardzo dawno temu.

Wyjęła z torby wszystkie te koszulki, śpioszki, pajacyki i ubranka, których nazwy zupełnie nie знаła... Bez nogawek za to z rękawkami, zapinane w kroku... Ciekawe, jak to się może nazywać?

Zaczęła układać je na kanapie, jedno koło drugich. Koszulkę w żabki, śpioszki w słoneczka i kolejne, pomarańczowe... w ulubionym kolorze Igora.

Ulubionym kolorze Igora!

– Kurwa! Kurwa, kurwa, kurwa, jebana kurwa jego mać! – powtarzała jak automat, zrzucając wszystkie słodkie ciuszki na podłogę. – Kurwa, kurwa, kurwa! Jak to się stało? Jak? Dlaczego ja kompletnie nic nie zauważyłam?

Upadła na ziemię wśród śpioszków, kaftaników, pajacyków i zalała się łzami.

Godzinę później wciąż siedziała na podłodze. Wszędzie dookoła leżały dziecięce ubranka. Nie miała siły wstać i ich pozbierać.

A więc teraz tak już będzie, przez cały czas? Naprawdę będzie musiała przyzwycząć się do tej ciszy?

Podniosła małego pluszowego misia, leżącego na podłodze.

– Ty skurwysynu – powiedziała do Igora, choć nie mógł jej słyszeć. – Ty cholerny skurwysynu.

Przytuliła misia do siebie. Z oczu znowu popłynęły jej łzy.

## EPILOG CZTERY MIESIĄCE PÓŹNIEJ

– Wszystko dobrze? – zapytała niepewnie.

Wiedziała, że ten strach o zdrowie dziecka będzie jej towarzyszył aż do dnia porodu.

A może nawet dłużej? Może jeszcze przez wiele lat będzie się obawiać, czy naprawdę nic mu nie dolega? Czy nie zrobiła mu krzywdy tymi stresami, łzami, które wylewała po odejściu Igora, nieprzespanymi nocami...

– Proszę spojrzeć. – Lekarka przekręciła monitor.

Tym razem to już nie były szare i czarne plamy. Widziała wyraźnie kręgosłup, okrągłą główkę, nóżki, rączkę zgiętą w łokciu...

– Macha do pani. – Uśmiechnęła się kobieta w zielonym fartuchu.

– Widzi pani te malutkie paluszki?

Nie widziała.

Łzy zasłoniły jej oczy.

Lekarka obserwowała przez chwilę obraz, stuknęła na klawiaturze, a potem powiedziała z uśmiechem:

– Rozwija się znakomicie. Waży już ponad dwieście dwadzieścia gramów. Nie widzę żadnych nieprawidłowości, żadnych powodów do niepokoju...

– To dziewczynka? – zapytała dla porządku Dagmara.



– Tak, dziewczynka. Lekarz mówił to pani już przy poprzedniej wizycie?

– Przy poprzedniej nie dała nam wiele zobaczyć. – Daga uśmiechnęła się szeroko.

Wiedziała przecież, że to dziewczynka. Wiedziała od wielu miesięcy.

Zaraz po wyjściu z kliniki pójdzie do tego sklepu na rogu Marszałkowskiej, o którym mówiła jej ekspedientka. Minęło sporo czasu, ale może mają jeszcze tę sukienkę na ramiączkach? Z takiego samego materiału jak ta maleńka, leżąca w domu na dnie szuflady?

Kupi ją... i będą spacerować obok siebie, duża i mała... Tak jak sobie wymarzyła dawno temu. W identycznych kwiecistych sukienkach na ramiączkach, z włosami związanymi w koński ogon, z kolorowymi balonikami w dłoniach.

Właśnie tak. Kupi całą masę baloników, we wszystkich kolorach tęczy. I będą z nimi spacerowały w każdą sobotę, bez względu na pogodę!

Perlisy śmiech Moniki słyhać było aż na antresoli.

Dawno nie widział jej w tak dobrej formie. Zupełnie jakby wszystko, co się wydarzyło tylko ją wzmocniło... Jakby nie przeżyła tamtego załamania...

Tak, to był świetny pomysł, odnaleźć jej koleżanki ze studiów... Zaprosić je do domu. Zdecydowanie za mało spotykali się z ludźmi. Zdziczełi przez te dziesięć lat walki o dziecko. A potem te wszystkie miesiące walki z Igozem i Dagmarą.

Igor i Dagmara... Tak. Cóż. Dostali jego dziecko, tak jak chcieli.

Igor zawsze dostawał wszystko, czego chciał.

Zagrał mu na nosie.

Zabrał mu dziecko, chociaż wcale go nie pragnął.

Słyszał w telewizji, jak opowiadał, że zrobił to tylko po to, by Dagmara była szczęśliwa. By zapewnić jej, zanim odejdzie do innej kobiety, to o czym tak marzyła. Bardzo szlachetnie! Wszyscy nabrali się na to jego gadanie. Wszyscy, ale nie Mateusz.

*On to zrobił tylko po to, żeby mi pokazać, że jest górą.*

*Znowu.*

*Jak wtedy, w szkole.*

*Żeby zakpić z głupiego ciamajdy. Żeby zakpić z Frędzla.*

Frędzel, Frędzel... Dłonie pociły mu się i zaciskały w pięści, gdy tylko słyszał to głupie przewisko. Dawno i nieważne? Nikt już o tym nie pamięta? Było, minęło?

O nie. Nie dla niego.

Wciąż słyszał te śmiechy i obelgi. Tak jakby było to wczoraj.

Z Frędzla można nabijać się bezkarnie. Frędzel zawsze da się przechytrzyć. Zawsze pozwoli zrobić z siebie głupka.

Tak jak wtedy w szkole.

Tak jak potem, na Comino. Nauka pływania, też coś! On widział, co się działo w tej zatoczce. Widział wyraźnie. Ale kiedy poszedł porozmawiać z Igorem, ten zakpił z niego bezlitośnie. Zrobił z niego idiotę, jak tyle razy przedtem.

– Naprawdę myślisz, że chciałbym bzyknąć twoją grubaśną, zanedbaną żonę, mając przy sobie takie cudo, jak Daga? – powiedział, prychnąwszy mu w twarz. – Naprawdę myślisz, że mógłbym lecieć na taką śniętą rybę z temperamentem meduzy? Frędzel, zlituj się, ona kompletnie mnie nie kręci!

Chciał mu dać w twarz, ale nie zdołał nawet podnieść ręki.

Po prostu wyszedł, bez słowa.

Za plecami długo jeszcze słyszał śmiech Igora.

Frędzel, durny mały Frędzel.

Frędzel zawsze da się wykiwać. Zrobić z siebie głupka. Zawsze?

O nie. Nie. Nie tym razem.

Ta gra jeszcze nie była skończona.

Sięgnął do portfela. Nosił tę wizytówkę już od kilku tygodni.

I wciąż nie mógł się zdobyć na wybranie wydrukowanego na niej numeru.

*Głupi Frędzel! Głupi Frędzel!* – Szkolne docinki brzmiały coraz głośniejsze w jego głowie.

O nie, tym razem Frędzel nie będzie głupi. Tym razem naprawdę bardzo dobrze się przygotował.

Miał wszystkie SMS-y. Zaświadczenie o leczeniu psychiatrycznym Moniki. Oświadczenia Marka, wuja, mamy... Miał wszystko, co mogło

mu się przydać. Wszystko, co zdołał zebrać.

Wziął głęboki oddech.

Nie było już na co czekać.

– Panie mecenasie, nazywam się Mateusz Matczak. Chciałbym zlecić panu poprowadzenie dość delikatnej sprawy. Kilka miesięcy temu szantażem zmuszono mnie i moją żonę do podpisania zgody na oddanie zarodka do adopcji. Dowody? Tak, oczywiście, mam cały szereg dowodów. W tym relacje świadków, SMS-y i nagrania wypowiedzi samego szantażysty z czterech kanałów telewizyjnych. Dodatkowo, co chyba nie jest bez znaczenia, moja żona podpisując tę zgodę przyjmowała leki przepisane przez psychiatrę, po ostrym epizodzie depresyjnym. Tak, mam oświadczenie lekarza i producenta leków, że mogło to mieć wpływ na jej ogląd sytuacji.

– Jest pan naprawdę dobrze przygotowany. – W głosie adwokata słychać było podziw. – Ale czego pan ode mnie oczekuje? Czy ten zarodek wciąż jest zamrożony i chce go pan odzyskać?

– Chcę go odzyskać, tak. – Mateusz wreszcie powiedział głośno to, co gniołło go przez tyle tygodni. – Nie mogę pozwolić, by moje dziecko wychowywało się w obcej rodzinie... W dodatku rodzinie rozbitej... Szantażysta bowiem odszedł od swojej żony do kochanki... Chcę, by sąd zmusił tę kobietę, żeby oddała nam dziecko zaraz po urodzeniu. Czy podejmie się pan takiej bezprecedensowej sprawy?

OD AUTORKI

Ta historia dojrzała we mnie bardzo długo.

Najpierw przez kilka lat obserwowałam dwie bliskie mi kobiety i ich mężów. Nigdy się nie poznały, ale ich historie są dość podobne. Obie świetnie wykształcone, majątkowe, piękne, robiące karierę, żyjące w bardzo udanych związkach. Obu do szczęścia brakowało tylko dziecka. Każda z nich, niemal w tym samym czasie, urodziła dzięki in vitro wspaniałe dzieciaki. Obie ukrywały to, i do dziś ukrywają, przed znajomymi i rodziną. Są wierzące, bardzo wierzące i przeszły naprawdę długą drogę do tej decyzji.

Jedna nie zdecydowała się na zamrożenie nadprogramowych zarodków.

Druga miała ich aż sześć. Wszystkie oddała do adopcji, anonimowo.

Nigdy nie ośmieliłam się zapytać, czy czasami o nich myśli.

Ale mi zdarza się zastanawiać, gdzie są, jak wyglądają, czy są podobne do jej dzieci, czy mają takie same zdolności... Czy tak samo tupią nogą, kiedy się złością... Mam nadzieję, że są bardzo szczęśliwe.

Obu tym kobietom bardzo dziękuję za zaufanie... Za to, że mogłam im towarzyszyć w tej drodze. Żadnej nie mogę wymienić choćby z imienia.

Bo in vitro to naprawdę w wielu domach ciągle ogromne tabu.

Chyba w 2010 roku, przeczytałam w „Przekroju” artykuł o adopcjach zarodków. Wycięłam go, jak wiele innych artykułów, które wyglądają inspirująco. Niedawno wypadł mi na podłogę, kiedy dokładałam do tej teczki z pomysłami na później kilka nowych wycinków.

Oto jego fragment:

*Po zamrożone zarodki ustawiają się wręcz kolejki chętnych. Ci, którzy nie mogą doczekać się własnych, liczą na to, że ktoś może będzie chciał ze swoich zrezygnować i odda je do tak zwanej adopcji prenatalnej. – W Warszawie w dwóch największych klinikach na taką adopcję czeka się w półrocznej kolejce – mówi Anna Krawczak, przewodnicząca stowarzyszenia „Nasz Bocian”.*

*– Poznaliśmy z mężem parę, która nie mogła doczekać się zarodków – wspomina Dominika z Gdańska. – Zaprzyjaźniliśmy się, w końcu ja już urodziłam synka, a im wciąż nic nie wychodziło. Zostały nam jeszcze dwa mrożaczki, pomyśleliśmy: damy im, po co mają czekać i czekać. Ale później przyszła druga myśl: jak to damy? Będziemy obserwować, jak w czyimś brzuchu rośnie nasze dziecko? A może dwójka dzieci? Co zrobimy, gdy urodzą się tak bardzo podobne do naszego Bartusia? Jak my sobie spojrzymy w oczy, gdy w czyimś domu będą biegać nasze dzieci? Trzeba było przeprosić znajomych, że niestety, adopcja zarodków nie wchodzi w grę, bo to byłoby nie do wytrzymania.*

Po przeczytaniu tego fragmentu wiedziałam już, że trzeba opisać taką przyjaźń... Taką, która zaczyna się od marzenia o dziecku, i przez to marzenie kończy. Choć może nie na zawsze?

Postanowiłam też pokazać, z jakimi dylematami zmagają się ludzie głęboko wierzący... Mimo że oczywiście nie wszyscy wybierają taką drogę jak Monika i Mateusz.

Scena, w której Mateusz woli powiedzieć matce, że żona wydała pożyczoną sumę pieniędzy na waciki i ciuchy, niż przyznać się do in vitro, jest jedyną zaczerpniętą bezpośrednio z życia bliskiej mi kobiety. Tak przerażającą, że aż śmieszna... Przynajmniej dla tych, którzy stoją z boku.

Pozostałe sceny powstały – jak mawia moja przyjaciółka Kasia – z głowy, czyli z niczego.

Pisząc tę książkę zaglądałam na tyle blogów i forów dotyczących niepłodności, że nie podejmę się wymienić ich wszystkich, i nie zdołam wszystkim autorkom (i autorom) podziękować. Najważniejszym

miejszem w sieci, gdzie spotykają się ci, dla których droga do rodzicielstwa okazuje się długa i wyboista, jest bez wątpienia portal Nasz Bocian. Tam można nie tylko porozmawiać z ludźmi w tej samej sytuacji, ale też zapytać o radę ekspertów, dostać namiary na kliniki, na ośrodki adopcyjne... Nasz Bocian to również edukacja społeczna i walka o lepsze prawo w Polsce... Wspaniale, że jest w Internecie taki kącik i tacy ludzie, którzy go stworzyli.

Nie wymienię też tutaj wszystkich psychologów oraz lekarzy zajmujących się niepłodnością i genetyką, z którymi rozmawiałam. Nie dlatego, że lista jest taka długa (nie jest... ma raptem siedem pozycji), ale dlatego żeby nie oberwali od nikogo za to, że coś napisałam nie tak, że za mało dokładnie, że badanie X robi się po badaniu Y, a nie przed nim.

Pisząc *Córeczkę*, pilnowałam medycznych szczegółów niemal obsesyjnie. Były tam ważne. Ale tym razem uciekłam od tego, z pełną świadomością. Książek o tym, jak wygląda cała procedura in vitro, napisano już wiele. Stworzyli je ludzie, którzy przeszli to wszystko na własnej skórze. Nie mogłabym się z nimi równać. Ale bardzo chciałam napisać o tym, co dzieje się w głowach, w rodzinach, między partnerami... Co dzieje się tam, gdzie poglądy kłócą się z pragnieniem bycia rodzicem... Dlatego z premedytacją zrezygnowałam z zagłębiania się w opisy kolejnych badań, ich wyników, rozmów z lekarzami o tym, co można jeszcze zrobić... i wydłużyłam trochę kolejkę po zarodki, które można adoptować. Bo pewnie lada chwila naprawdę zrobi się ona znacznie dłuższa.

Kiedy pisałam tę książkę, w polskim parlamencie co chwilę wybuchały awantury o ustawę regulującą sprawy leczenia niepłodności, zapłodnienia in vitro, mrożenia zarodków itp. Niemal codziennie słuchaliśmy posłów, senatorów i biskupów, mówiących o otwieraniu ustawą bram piekielnych, o syndromie ocalańca, na który cierpi dziecko z in vitro, czując, że jego rodzeństwo umarło, by ono mogło żyć, i o tym, że in vitro to wyrafinowana aborcja.

Nie umiem nawet sobie wyobrazić, jaki ból takie słowa sprawiają ludziom, walczącym o to, by zostać rodzicami. I tym, którzy wychowują

dzieci, poczęte dzięki in vitro.

Kiedy książka się ukaże, ustawa wreszcie będzie obowiązywać. Właśnie dziś, w dniu, kiedy oddaję *Śnieżynki* do druku, prezydent ostatecznie zdecydował się ją podpisać!

Czy ten podpis oznacza koniec dyskusji? Na pewno nie. Już słysząc głosy, że zaraz po kolejnych wyborach ustawę trzeba będzie zmienić.

Jaka ona powinna być? To pytanie na pewno padnie niejedną raz w wywiadach po premierze *Śnieżynek*. Nie podejmę się odpowiedzi. Wiem jedno, na pewno powinna wreszcie BYĆ. Bo brak jakichkolwiek regulacji prawnych to chyba największy problem zarówno dla par starających się o dziecko, jak i dla lekarzy. Myślę też, że nie powinna składać się z samych zakazów i nakazów. Bo nikt nikogo do in vitro nie zmusza... A nasze własne sumienie jest często dużo wrażliwsze niż jakiegokolwiek zapisy, ustalone przez polityków.

Przy okazji: niedawno ukazała się niesamowita książka *Nie przeproszę, że urodziłam* Karoliny Domagalskiej. Trzymałam ją długo na półce. Nie chciałam czytać, zanim nie skończę *Śnieżynek*. Żeby niczym się nie zainspirować.

Na szczęście teraz już mi wolno na tę półkę sięgnąć.

*Nie przeproszę...* to cała seria prawdziwych historii o rodzinach, w których urodziło się dziecko z in vitro. Historii, jakich nie wymyśliłby żaden autor. A gdyby nawet wymyślił, to wydawca pogoniłby go gdzie pieprz rośnie, mówiąc, że są zbyt nieprawdopodobne, by czytelnik mógł się na nie nabrać. Bo kto wydałby powieść o dziadku, który – z miłości do bezpłodnego syna – oddaje nasienie, żeby jego synowa mogła urodzić wnuka? Albo o człowieku, który nagle orientuje się, że ma, być może, ponad setkę dzieci? W tych reportażach można znaleźć nieprawdopodobne, ale prawdziwe, bardzo zmuszające do myślenia historie. Historie, które mówią to samo, co ja próbowałam powiedzieć *Śnieżynkami*: nowoczesna medycyna to wielka szansa, cudowne możliwości, ale też dylematy, których nikt na świecie nie miał jeszcze w czasach mojego dzieciństwa. A za każdym z nich stoi prawdziwy ludzki dramat.

Tu nie ma prostych odpowiedzi.

I dlatego ta książka nie kończy się happy endem. Mam nadzieję, że mi wybaczycie.

Mam w głowie jej dalszy ciąg. Jeszcze bardziej skomplikowany niż ta historia. Może kiedyś przyjdzie moment, żeby go napisać? A może każdy czytelnik dopisze sam swoje własne zakończenie?

A teraz, oczywiście, czas na podziękowania. Moja ulubiona część każdej książki!

Muszę podziękować – to już chyba będzie tradycja – dwóm największym wariatkom wśród pisarek, które w jakiś cudowny sposób stały się moimi przyjaciółkami. Bez Magdy Witkiewicz i Nataszy Sochy ta książka być może też by powstała... ale jej pisanie nie byłoby ani tak proste, ani tak miłe, ani tak szybkie. W każdej chwili czułam ich wsparcie i wiarę w to, że zdążę – nawet kiedy ja sama przestawałam już wierzyć. Dziewczyny, kocham Was i to tajne okienko w rogu komputera, z którego mówicie (albo chichoczą) do mnie o najdziwniejszych porach dnia i nocy!!!

Zawsze mi się wydawało, że nie istnieje przyjaźń między pisarkami. Bo zawiść, bo podkradanie sobie pomysłów... Teraz już wiem, że się myliłam. I to jak!

A najfajniejsze jest to, że kiedy mówię do Magdy i Nataszy „deadline za tydzień” albo „bohaterka mi się zbuntowała i nie trzyma się planu” – one naprawdę wiedzą, co mam na myśli. Nikt nie potrafi tak mnie wesprzeć, rozśmieszyć, zmotywować, jak one!

Magda i Natasza to moja ukochana pisarska grupa wsparcia... Ale jest też druga grupa, równie ważna: Ewelina, Ewa i Anka. Moje cudowne Lejdis z uczelni. Dziękuję Wam za wszystkie nasze środy... A także za kawy, barszczyki i maile po północy. Za to, że jesteście. Aż się boję dnia, gdy skończymy pisać te doktoraty i nie będziemy już miały okazji regularnie na siebie wpadać. Chyba że wszystkie zostaniemy na uczelni? Co Wy na to? Na pewno byłoby wesoło...

Muszę wymienić też te kobiety, którym dziękuję w każdej książce... I będę dziękować pewnie w każdej następnej... Wiem, że to trochę nudne, ale naprawdę nie wyobrażam sobie bez nich mojego życia.

A więc, przede wszystkim, jak zawsze, mojej mamie Marylce.



Najfajniejszej, najnowocześniejszej, najlepszej na świecie. Mamie, która mnie rozpieszcza tak samo, jak w dzieciństwie. Mamie, która nauczyła mnie wierzyć, że mogę osiągnąć wszystko, czego pragnę, i która jest najcudowniejszym, najweselszym i najmniej problemowym kompanem w każdej podróży. Teraz, kiedy książka jest już gotowa, możemy znowu ruszać w drogę. Tylko błagam, nie rób worka kanapek!!!

Dziękuję też mojej siostrze Koali. Zaczynałam *Śnieżynki* w jej towarzystwie w deszczowym Wrocławiu, w hinduskiej knajpce niedaleko rynku... Razem oglądałyśmy pierwsze przymiarki do okładki (Olga, znowu jest cudownie! Magicznie, ciepło, tajemniczo. Dziękuję!!!). Koalciu, w następnej książce już naprawdę będzie ta urocza, wredna małpa, którą obiecuję Ci od tak dawna! Naprawdę!!!

Dziękuję Małgosi, której wsparcie i poczucie humoru leci do mnie codziennie przez ocean...

Kasi, która zawsze jest po drugiej stronie telefonu, gotowa mnie wysłuchać i rozbawić.

Marcie, która wciąż jest moją przyjaciółką, mimo że nie dzwonię, nie przyjeżdżam, obiecuję i zapominam... Nie wiem, jak to znosisz od tylu lat, naprawdę nie wiem!

Julce, z którą nie widziałam się od roku, nie wiem, jakim cudem... Ale teraz już na pewno to nadrobimy! Muszę przecież poznać Twoje koty!

I Ninie, której nie widziałam jeszcze dłużej... I której córeczka pewnie pójdzie do przedszkola albo szkoły, zanim zdążymy się spotkać! Dobrze, że na świecie są maile...

Joli, która od kilku tygodni czekała w blokach startowych, żeby przeczytać *Śnieżynki*. I która wyczuła dokładnie moment, kiedy je skończyłam – dosłownie pięć minut później napisała „Czy to już?”. Ach, ta słynna wrocławska intuicja!

*Helen, you have been so patient last months. Thank you! I am so sorry for being such a horrible friend... I will be better now, I promise. Until the next novel at least...*

I, chyba po raz pierwszy, muszę podziękować mojej córce. Bo pozwoliła mi pisać. Bo, nawet kiedy pływałyśmy razem w morzu, była cicho, bo wiedziała, że myślę nad tym, jak wyprostować (albo poplątać

jeszcze bardziej) losy moich bohaterów. I tylko pytała co chwilę „Może mogę ci jakoś pomóc? Opowiedz mi, o czym jest ta książka i wymyślimy coś razem”. Przy kolejnej pomożesz, obiecuję! Tym razem nie będzie w niej żadnych skomplikowanych, medycznych historii... i żadnych dzieci!

Jakoś tak się składa, że mężczyzna w tych moich podziękowaniach jest zwykle tylko jeden. Tym razem będzie tak samo. Mówił, żeby mu nie dziękować, że już wystarczy. Ale ja muszę. Tomku, bez Ciebie nie dałoby się nic napisać. Przecież wiesz...

Duża część tej książki powstała w bardzo upalne czerwcowe i lipcowe dni na Malcie, na zacienionym dachu Alpha School. To najgorętsze, ale chyba i najmiłsze miejsce, w jakim zdarzyło mi się pisać.

*Pat, Darren, Tanya, Maria, Peter, Abigail, April... Thank you for every moment on your roof, for your amazing hospitality and the care (and fun!) you provided to my daughter – allowing me to work for long hours. Andrew – thank you for my latte macchiato, super cold sparkling water and chocolate muffins, it was the highlight of every single day on Alpha's roof!*

Szczególne podziękowania należą się osobom, które wspierały mnie swoją wiedzą i poczuciem humoru: Ani, która opowiedziała mi sporo o życiu muzyka w dużej orkiestrze, oraz Agnieszce i jej fantastycznemu bratu, których zawsze mogłam zapytać o religijne niuanse. Bez was nie poradziłabym sobie z tą historią!

A teraz czas zjeść tę miskę czereśni, pewnie już ostatnich tego lata... Miskę, która stoi i czeka od samego rana... Potem przespać dziewięć albo dziesięć godzin, nareszcie... Zaparzyć kawę, wziąć głęboki oddech... I rzucić się do pracy nad nową książką! To będzie zimowa, zabawna i wzruszająca historia, którą noszę w sobie chyba prawie tak długo jak *Śnieżynki*... Czas wypuścić ją wreszcie na światło dzienne! Już mrowią mnie palce, już mam pierwsze zdanie...

Chcecie wiedzieć jakie?

To zdanie śpiewane przez trzy bohaterki, pełną piersią:  
*Ona ślub bierze dzisiaj ranooooooo! Ding dong! Ding dooong!*  
Pisać dalej? Tak? No to piszę...

## SPIS TREŚCI

Okładka

Karta tytułowa

\* \* \*

ROZDZIAŁ 1: POCZĄTEK

ROZDZIAŁ 2: FRĘDZEL

ROZDZIAŁ 3: GUMOWA RĘKAWICA

ROZDZIAŁ 4: KAPRYS

ROZDZIAŁ 5: PÓJDEŃ Z TOBĄ

ROZDZIAŁ 6: MARMUROWY STOLIK

ROZDZIAŁ 7: APARTAMENT KRÓLEWSKI

ROZDZIAŁ 8: MRRRU

ROZDZIAŁ 9: NIESPODZIEWANA WIZYTA

ROZDZIAŁ 10: DECYZJA

ROZDZIAŁ 11: TANIE WINO, DROGI SZAMPAN

ROZDZIAŁ 12: ZADOŚĆUCZYNIENIE

ROZDZIAŁ 13: JAK W RAJU

ROZDZIAŁ 14: ROZTOPIONE LODY

ROZDZIAŁ 15: WOJTUŚ

ROZDZIAŁ 16: NIESPODZIANKA

ROZDZIAŁ 17: DELIKATNA SUGESTIA

ROZDZIAŁ 18: OBIAD Z TRZECH DAŃ. PLUS DESER

ROZDZIAŁ 19: ZABAWA W PANA BOGA

ROZDZIAŁ 20: TALIZMAN

ROZDZIAŁ 21: ŁATWA RECEPТА

ROZDZIAŁ 22: NIEOCZEKIWANY GOŚĆ

ROZDZIAŁ 23: ŁAPÓWKA, SZANTAŻ I INNE CHWYTY  
NIEDOZWOLONE

ROZDZIAŁ 24: ZA PÓŻNO

ROZDZIAŁ 25: SPRAWA MATCZAKÓW

ROZDZIAŁ 26: LIST NA STOLE

ROZDZIAŁ 27: NIESPODZIANKA

EPILOG: CZTERY MIESIĄCE PÓŻNIEJ

OD AUTORKI

Reklama 1

Reklama 2

Reklama 3

Reklama 4

Karta redakcyjna



**KOCHANEK SPRZED LAT.  
OBIETNICA ZŁOŻONA MAŁEJ DZIEWCZYŃCE.  
SEKRET, KTÓRY MOŻE KOSZTOWAĆ ŻYCIE WIELU LUDZI.**

*Córeczka* to powieść o różnych obliczach miłości,  
o sile, którą może odnaleźć w sobie kobieta w najtrudniejszej  
w życiu chwili. O przeszłości, która staje się teraźniejszością  
i o odpowiedzialności, która czasami każe  
dokonywać śmiertelnie trudnych wyborów.

**FILIA**





Gdy Amelia spotkała wreszcie  
mężczyznę swojego życia zapragnęła jeść go łyżkami.  
I wtedy okazało się,  
że łyżkę trzyma już inna kobieta.  
Jego Matka.



FILIA







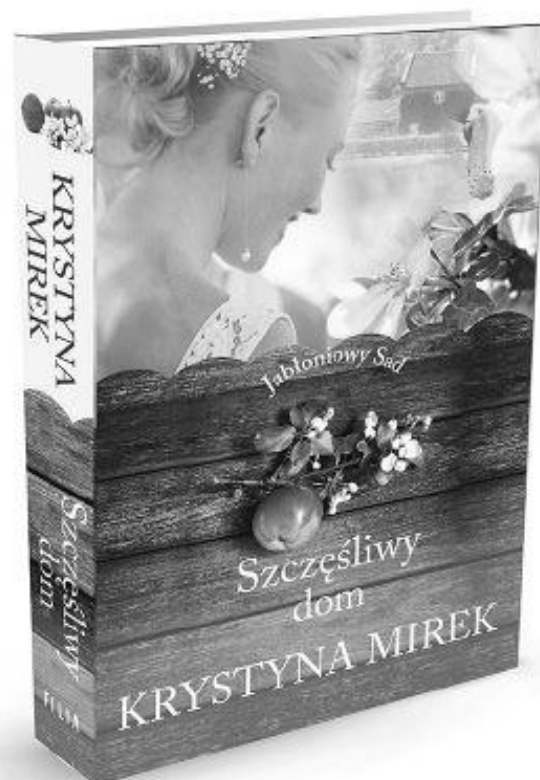
**Czasem niespodziewany gość  
odmienia twoje życie**

Historia przyjaźni, która po latach rodzi się na nowo,  
miłości, która wybucha gwałtownie i niespodziewanie.  
Opowieść o trudnych wyborach, które mogą podarować komuś życie,  
o przebaczeniu i zrozumieniu oraz o wielkiej nadziei i sile kobiet.

**FILIA**



# KRYSTYNA MIREK



Pierwsza część współczesnej sagi rodziny Zagórskich

## Jabłoniowy Sad

kolejne tomy w przygotowaniu

Rodzinne sekrety  

---

Spełnione marzenia

**FILIA**

Copyright © by Liliana Fabisińska, 2015

Copyright © by Wydawnictwo FILIA, 2015

Wszelkie prawa zastrzeżone

Żaden z fragmentów tej książki nie może być publikowany w jakiegokolwiek formie bez wcześniejszej pisemnej zgody Wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pośrednictwem nośników elektronicznych.

Wydanie I, Poznań 2015

Projekt okładki: Olga Reszelska

Zdjęcie na okładce © Ruth Jenkinson/Dorling Kindersley/Getty Images

Redakcja: Editio

Korekta: Editio

Skład i łamanie: Editio

eISBN: 978-83-8075-050-0

**FILIA**

Wszelkie pytania prosimy kierować na adres:

[czytelnicy@wydawnictwofilia.pl](mailto:czytelnicy@wydawnictwofilia.pl)

Dołącz do nas na Facebooku!

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej:

„DARKHART”

Dariusz Nowacki

darkhart@wp.pl

